

Amerykańska autorka thrillerów prawniczych,
której debiut stał się oszalamiającym sukcesem


SERIA

GINI HARTMARK



PRAWO WYBORU

GINI HARTZMARK

Gini Hartzmark studiowała prawo i ekonomię na uniwersytecie w Chicago. Jest współautorką kilku podręczników akademickich. Publikowała też artykuły o różnorodnej tematyce w renomowanych dziennikach.

Jej pierwsza powieść, **Linia obrony** (1992), była nominowana do nagrody im. Edgara Allana Poe. W 1994 roku Hartzmark wydała drugą książkę, **Prawo wyboru**.

Równym powodzeniem cieszy się ostatnia powieść autorki – **Bitter business** (1995).

Bohaterką prawniczych thrillerów Gini Hartzmark jest Katharine Millholland, młoda energiczna kobieta pochodząca z jednej z najbardziej wpływowych chicagowskich rodzin. Wbrew oczekiwaniom swoich bliskich podejmuje pracę w firmie adwokackiej. Wykonując rutynowe zlecenia, mimowolnie podąża śladem ludzi zdecydowanych na wszystko w szalerczej pogoni za pieniądzem.

PRAWO WYBORU

Młoda prawniczka Kate Millholland jedzie na umówione spotkanie z klientem, Bartem Hexterem, rekinem chicagowskiej giełdy towarowej. Nie wierzy własnym oczom, gdy w limuzynie stojącej przed willą znajduje jego zwłoki. Nieoczekiwanie policja zaczyna podejrzewać Kate o zamordowanie Hextera. Okazuje się, że prawniczka jest bardziej uwikłana w ciemne interesy Barta, niż mogłaby przypuszczać. Podejmuje więc prywatne śledztwo – musi odnaleźć zabójcę i udowodnić swoją niewinność. Jednak szybko uświadamia sobie, że może stać się następną ofiarą bezwzględного mordercy...



1 zima 2002 r. 11,50 zł (18 900,-)

ISBN 83-7169-079-7



9 788371 690792

Powieści

Gini Hartzmark

w Wydawnictwie Amber

Linia obrony

Prawo wyboru

w przygotowaniu

Bitter Business

GINI
HARTZMARK
PRAWO WYBORU

Przekład
Jan Meus



Tytuł oryginału

FINAL OPTION

Ilustracja na okładce

KLAUDIUSZ MAJKOWSKI

Redakcja merytoryczna

GRAŻYNA KUNICKA

Redakcja techniczna

ANDRZEJ WITKOWSKI

Korekta

MAŁGORZATA LEWANDOWSKA

Copyright 1994 by Gini Hartzmark

For the Polish edition

Copyright © 19996 by Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

ISBN 83-7169-079-7

Wydawnictwo Amber Sp, z o.o.

Warszawa 1996

Wydanie I

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne w Bydgoszczy

Dla Sama, Jonathana i JoAnny

Podziękowanie

Pragnę wyrazić wdzięczność wszystkim tym zapracowanym ludziom, którzy, tak szczerze poświęcając swój czas, służyli mi pomocą przy opracowywaniu materiału do tej powieści. Mark Koller z Knight-Ridder Financial News dzielił się ze mną swoim doświadczeniem, zaznajamiając mnie z podstawami funkcjonowania rynku kontraktów terminowych, podobnie jak Roger Rutz i Thom Thompson z Chicago Board of Trade. Korzystając z uprzejmości Jima Portera z Chicago Research and Trading Group, Ltd., mogłam się zaznajomić z tajnikami funkcjonowania jego firmy.

Pragnę podziękować przyjaciołom — dr Mike'owi Rocco, Rickowi Cooperowi, Chuckowi Zellmerowi, Ruth Bergen, Larry'emu Bakerowi, Michaelowi Baderowi, Emmeline Diller i Scottowi oraz Jodi Schumannom za lekcje, których mi udzielali przy kuchennym stole lub ogrodowym płocie. Z głębi serca dziękuję Nancy Love, Leonowi Danco, Janowi Haraydzie, a także mojemu wydawcy — Susan Randol, mojej przyjaciółce Ann Rocco, a przede wszystkim mojemu mężowi, Michaelowi, za nieustające poparcie.

Wyrażając wyżej wymienionym podziękowanie za ich wkład pracy i dobre rady, pragnę zarazem stwierdzić, że za wszystkie ewentualne błędy i uchybienia ponoszę odpowiedzialność wyłącznie ja sama.

Rozdział 1

Odkąd go tylko poznałam, Bart Hexter miał zwyczaj bawić się ze mną w kotka i myszkę. Również i tego ranka nie było inaczej — jeszcze jeden powód do irytacji mogłam dołączyć do długiej listy jego przewinień. Hexter był moim klientem, zajmował się spekulacją kontraktami terminowymi na giełdzie towarowej. W Chicago stał się postacią niemal legendarną. Był typem ostrego gracza, biznesmena, jakich spotyka się głównie w tym mieście, gdzie trzeba dobrze rozpychać się łokciami. Błyskotliwy, interesowny, niestroniący od ryzyka, dorobił się przydomka Czarny Bart — tyleż z uwagi na gwałtowny temperament, co z powodu charakterystycznych kruczoczarnych włosów.

Miał również dar przekonywania godny męża stanu i uznawano go za zręcznego lobbyistę kręgów związanych z giełdą towarową i transakcjami terminowymi. Bart i jego żona Pamela znani byli z inicjowania wielu akcji filantropijnych, oddania sprawom rodziny i lokalnej społeczności. Uważano ich za przykładne małżeństwo i stawiano za wzór do naśladowania.

Znajdowali się jednak i tacy, którzy nie dawali się zwieść pozorom patrycjuszowskiej patyny Barta. Utrzymywali, że spekulacja kontraktami terminowymi to dziedzina, gdzie liczy się zachłanność, podstęp i agresja. Wskazywali, że w ciągu ostatnich trzydziestu lat Bart Hexter był w tej grze liderem i, jak twierdzili, to on stosował najgorsze chwytły.

Niedawno Hexter i jego firma, Hexter Commodities, stali się obiektem dochodzenia prowadzonego przez jedną z rządowych agend. Każdemu z rekinów giełdy zdarza się to od czasu do czasu i jako radcę prawnego, z którego usług korzystała firma Barta Hextera, nie martwiło mnie to zbytnio. Jednak nonszalancja Hextera w tej sprawie była irytująca. Już od tygodni błagałam go o kopie dokumentów mających związek z rządowym dochodzeniem — rejestry operacji i wyciągi z rachunków potrzebne mi były, by móc się ustosunkować do wysuwanych

pod adresem firmy zarzutów. Na odpowiedź pozostało już tylko pięć dni, a ja nie dostałam jeszcze od Barta ani jednego dokumentu.

Nie byłam tym zachwycona.

Ustalaliśmy już wiele terminów spotkań dla przedyskutowania tej sprawy, ale jak dotąd Hexter wszystkie je odwoływał — zazwyczaj w ostatniej chwili. Jego dotychczasowe wymówki to napięty kalendarz spotkań, pomyłka sekretarki, pogorszenie sytuacji na giełdzie, a nawet umówiony poker. Ostatni termin, naznaczony na miniony piątek o czwartej po południu, został odwołany bez jakiegokolwiek usprawiedliwienia. Kipiąc z wściekłości, zadzwoniłam do Barta i zażądałam spotkania podczas weekendu. Hexter odparował, że jedyny możliwy termin to ósma rano w niedzielę.

Tak więc, zamiast wylegiwać się w łóżku z opasłym niedzielnym wydaniem *The New York Timesa*, znalazłam się za kółkiem mojego samochodu. Omijając pracujące przy budowie autostrady Edens walce drogowe, mówiłam sobie, że od tego spotkania nie uda się już Hexterowi wymigać.

Bart Hexter zamieszkiwał posiadłość w Lake Forest, od czterech pokoleń należąca do rodziny jego żony. Żył tam z wystawnym przepychem, afiszując się luksusem i pławiąc się w nim z ostentacją typową dla nowobogackich. Ubóstwo, w którym wychował się Bart, było dotkliwie nawet jak na warunki irlandzkiej dzielnicy Bridgeport w południowej części Chicago, gdzie wtedy mieszkał. Jego ojciec — niewierny mąż i niepoprawny hazardzista — pracował jako marynarz na frachtowcu zbożowym, kursującym po Wielkich Jeziorach. Wracał na łono rodziny tylko wtedy, gdy już skończyły mu się pieniądze albo szczęście w grze. Matka Barta była pobożną kobietą i znosiła perfidię męża niczym krzyż pański. Synów — Barta i jego młodszego brata Billy'ego — wychowywała, stosując zasadę, że dyscyplina i religia są w życiu równie ważne.

Wytrwawszy trzy lata szkoły pod wezwaniem świętej Bernadetty, a potem trzy lata służby wojskowej w Korei, Hexter znalazł pracę jako goniec na parkiecie giełdy towarowej. Niezbyt sobie początkowo cenił to zajęcie, ale pracę kończył wcześniej i pozostawało mu wiele czasu na pokera, w którym znalazł w wojsku upodobanie i, jak się okazało, miał do niego sporo talentu. W weekendy Bart grywał czasami na trąbce w prowadzonym przez przyjaciela zespole muzycznym, występującym na wieczorkach tanecznych, i właśnie dzięki temu poznał pannę Pamelę Worley Manderson z Lake Forest.

Pamela, wychuchana i nieśmiała, jedyna córka Letycji i Sterlinga Mandersonów, dziedziczka ich wyrosłej na handlu mięsem fortuny, łatwo dała się zauroczyć byronowskiemu profilowi i gorącemu spojrzeniu młodego Irlandczyka. Sześć miesięcy później ich ślub stał się skandalem roku. Można się tylko domyślać, jak wielu łez i błagań, ilu gróźb ucieczki z ukochanym i zerwania wszelkich stosunków trzeba było, by wymusić na rodzicach Pameli zgodę na ten ślub.

Pomimo skandalu lub też właśnie może z jego powodu, Mandersonowie zaproponowali młodej parze, by osiedliła się w ich włościach i wybudowali młodym dom za wysokimi żywoplotami swojej posiadłości. Parę miesięcy później Bart Hexter zastawił go pod kredyt hipoteczny, a za uzyskane pieniądze wykupił członkostwo CBOT — Chicago Board of Trade — głównej giełdy handlowej dla finansowych kontraktów terminowych i opcji dotyczących metali i towarów rolnych.

W niecałe dwa lata, mając już rocznego syna i córkę w drodze, Hexter spłacił hipotekę i wyburzył dom, który otrzymał w prezencie ślubnym. Na jego miejscu postawił inny, w podobnie jak siedziba teściów tudoriańskim stylu, ale cztery razy większy. Kiedy zakończono budowę, rodzinny dom Pameli znalazł się w cieniu przytłaczającego go ogromem domu Hextera.

Podróż z mojego mieszkania w centrum do Lake Forest to męcząca przeprawa przez łańcuch autostrad — Dan Ryena, Kennedy’ego i Edens, które, przechodząc jedna w drugą, stanowią trasę codziennej ucieczki z miasta dla zamieszkujących suburbia. Kiedy już się człowiek wyplące z terenów budowlanych w Wrigley Field, minie schludne bungalowy w Skokie, wyjeżdża na otwartą przestrzeń, jałową jak powierzchnia księżyca. Pola uprawne wyasfaltowano tu, zamieniając je w parkingi dla samochodów, a z płaskiej, pustej równiny wykwitły wieże biurowców niczym trujące grzyby.

Wystarczy jednak skrócić z autostrady na drogę numer 41 i wpada się w wiejski krajobraz tak gwałtownie, jakby ktoś nagle zapalił światło — choć jest to lukrowana i bardzo kosztowna wersja sielskości, na którą składają się północne przedmieścia Chicago. Korony prastarych ogromnych wiązków łączą się nad drogą, osłaniając ją ciemnym liściastym baldachimem. Z oddali dobiega przytłumiony pomruk kosiarek do strzyżenia trawników, a puszczając wodze fantazji, można sobie wyobrazić, że zza drzew docierają słabe odgłosy uderzeń kijów w piłki golfowe.

Jak na kwiecień, było wyjątkowo ciepło. Kiedy opuściłam szybę w samochodzie, poczułam, że powietrze przesycone jest wilgotnym, gęstym zapachem zbliżającej się wiosny. Skręciłam w Deerpath Road i skierowałam się w stronę Lake Forest, tego bastionu spokoju. Po prawej stronie minęłam jakieś budynki administracji lokalnej, odsunięte od drogi, jak gdyby to była szkoła, potem trzy kwartały niewiarygodnie drogiego sklepowo o przesadnie uduziwnionej architekturze, które tworzyły tutejsze centrum handlowe. Następnie przejechałam przez tory kolejowe. Stacja pomalowana jest na tak niezwykle kolor, że kojarzy mi się zawsze z piernikiem. Skręciłam w Parkland Avenue. Po przejechaniu mili lub dwóch zwolniłam i zaczęłam się rozglądać za podwójnymi filarami z czerwonej cegły, stojącymi u wjazdu do posiadłości Mandersonów.

Sekretarka Hextera przesłała mi faksem instrukcję, jak dojechać do jego domu — była tam nawet mapka, ale zostawiłam ją w biurze. Nie potrzebowałam objaśnień. Wychowałam się jakąś milę od tego domu.

Z łatwością odnalazłam filary bramy wjazdowej i wjechałam na pokrytą nową nawierzchnią drogę dojazdową, która wiała się celowo zaprojektowanymi zakosami. Dom, o ile sobie dobrze przypomiinałam, stał w dosyć znacznym od-daleniu od ulicy, w parku, nawet jak na standardy Lake Forest wyjątkowo rozle-głym.

Zaraz za pierwszym zakrętem, w znajdującym się w niewielkiej odległości od drogi rowie odwadniającym, z zaskoczeniem zauważyłam samochód. Z rury wydechowej unosił się lekki dymek. Zwolniłam i zgasiłam silnik.

Wszyscy znali samochód Barta — wykonany na zamówienie Rolls-Royce Silver Phantom — czarny z białym dachem. Na tablicy rejestracyjnej było napi-sane po prostu BART. Ale jak on tam się znalazł, z tylnymi kołami groteskowo wystającymi ponad krawędzią rowu odwadniającego i przodem wbitym w mło-dą brzozę?

Zesłam w dół po nieco grząskim, lekko opadającym zboczcu.

Okno od strony kierowcy było opuszczone, zawołałam Barta po imieniu. Nie czekałam na odpowiedź. Z tej odległości mogłam już wyraźnie dostrzec spusto-szenia, których dokonały dwa pociski.

Siła uderzenia odrzuciła go w stronę siedzenia pasażera, gdzie leżał, odziany jedynie w czerwoną jedwabną piżamę, z groteskowo przechyloną głową i jed-nym okiem wpatrzonym we mnie z jakąś niemą prośbą i zdumieniem. Poniżej lewej skroni widniał okrągły czerwony otwór, a pod spodem drugi, znacznie większy i bardziej poszarpany. Ręce rozrzucone bezwładnie — jedna zastygła nad jego głową, a druga zwisała luźno z siedzenia. Szyję miał wykręconą pod kątem, pod jakim trudno by ją było utrzymać żyjącemu człowiekowi.

Okno po stronie pasażera było purpurowe, biała skóra wyścielająca wnętrze samochodu pochlapana krwią i, jak sądziłam, strzępami mózgu oraz odłamkami kości. Gdzieś czarne włosy przyłgnęły do kleistej mazi. „Czarny Irland-czyk”, przypomniało mi się i przeszedł mnie dreszcz. Nagle zaczęło mi brakować powietrza i zaczęłam robić krótkie, płytkie wdechy. Moja mama zawsze tak określała Barta, a ton jej głosu sugerował, że to najgorszy rodzaj ludzi. Poranna gazeta, cała przesiąknięta krwią leżała obok jego głowy.

Nie wiem, jak długo tam stałam zahipnotyzowana tym widokiem. Czułam, jak kotłują się we mnie emocje. Paraliżujący strach, obrzydzenie, szok, a potem przyływ adrenaliny. Gdzieś w głębi pozostawało jednak chłodne zaciekawienie. Rozegrał się tu jakiś dramat z krwawym finałem. Bardzo chciałam wiedzieć, jak to się stało, że Bart Hexter znalazł się tutaj, zastrzelony na drodze dojazdowej do własnego domu.

Kiedy dotarło do mnie wycie policyjnych syren, byłam już praktycznie otoczona. Światła błyskały, samochody zatrzymywały się z piskiem opon — dwa wozy patrolowe, ambulans i jedna biała, cywilna limuzyna. Zamarłam w bezruchu jak lania oślepiąca światłem reflektorów. Zastanawiałam się, kto wezwał policję, ponieważ rollsa Barta nie było widać z ulicy.

— Proszę odsunąć się od samochodu — warknął głos z megafonu.

Otworzyły się drzwi wozów i ze środka wysypali się policjanci z bronią gotową do strzału. — Ręce do góry!

Zaskoczona, spojrzałam za siebie. Dopiero w następnej chwili zdałam sobie sprawę, że to ja mam wykonać ten rozkaz. Jeden z policjantów podbiegł do mnie. Kiedy już stanęłam w rozkroku, oparta o samochód, sprawdził pobieżnie, czy nie mam broni.

— Kim pani jest? — donośnym, pełnym napięcia głosem zażądał odpowiedzi otyły sierżant.

— Kate Millholland.

— Co pani tu robi?

— Byłam umówiona z panem Hexterem na spotkanie — wyjąkałam.

— Co za spotkanie?

— W interesach. Zobaczyłam, że jego samochód wypadł z drogi. Podeszłam, żeby sprawdzić, co się stało... a pan Hexter jest... jest zastrzelony.

— Nie żyje?

— Chyba tak — z trudem wydobywałam z siebie głos. Mówiłam prawie szeptem, monosylabami.

— O której godzinie pani tu przyjechała? — warknął policjant.

— Nie bardzo pamiętam, spotkanie miało się odbyć o ósmej. Byłam chyba kilka minut wcześniej. — Spojrzałam na zegarek. Dochodziła ósma piętnaście.

— Pani pozwoli ze mną.

Kiwnęłam głową i dałam się zaprowadzić do jednego z wozów patrolowych na przesłuchanie. Kątem oka dostrzegłam, że z nieoznakowanego samochodu wysiada rudowłosa mężczyzna i kieruje się niespiesznym krokiem w stronę rollsa. Jego spokój bardzo kontrastował z nerwową energią eskortującego mnie policjanta. Policjant otworzył drzwi i wsunęłam się na tylne siedzenie wozu patrolowego. Był to caprice, wyglądający zbyt czysto i nowo jak na samochód policyjny; bardzo się różnił od tych poobijanych niebiesko-białych aut chicagowskiej policji, które, huśtając się na olejowych amortyzatorach, snują się w okolicy domu, gdzie mieszkam. Metalowa siatka oddzielała tylne siedzenie od przedniej części kabiny. Zanim się zorientowałam, drzwi zostały zatrzaśnięte i zablokowane. Zostałam w środku sama. Z przedniej części kabiny dobiegał jaszgot policyjnej krótkofalówki.

Po kilku minutach cichej kontemplacji doszłam do wniosku, że musiałam całkiem zidiociec od tego szoku. Fakt, że sytuacja, gdy przybywa się na spotkanie z klientem, a tu tymczasem okazuje się, że ktoś go zastrzelił, może człowieka rozstroić nerwowo, lecz nawet nie zadałam sobie trudu, żeby się zastanowić, kto

i czy w ogóle go zabił. Myślałam nad tym przez chwilę. Dlaczego właściwie automatycznie zakładałam, że to ktoś inny pociągnął za spust, przecież całkiem prawdopodobne było samobójstwo? Spekulacja kontraktami terminowymi przynosi krociowe zyski, ale i straty bywają równie zawrotne. Jeśli się targnął na życie, Bart Hexter nie byłby pierwszym spekulantem, który, odkrywszy, że siedzi na bombie zegarowej nietrafionych kontraktów, wołał raczej pociągnąć za spust, niż czekać aż bomba wybuchnie.

Prawie godzinę czekałam zamknięta na tylnym siedzeniu wozu patrolowego, stając się coraz to bardziej zniecierpliwiona, wściekła, a w końcu znudzona. Wreszcie drzwi otworzył rudowłosy mężczyzna. Miał czterdzieści kilka lat, nosił połyskliwy niebieski garnitur i krawat chyba ciut za szeroki. Był mocno zbudowany, z lekką nadwagą. Czekaając, aż wysiądę, nerwowo bębnił palcami o dach samochodu.

— Detektyw Ruskowski — przedstawił się, nie podając mi ręki. Oceniałam, że brakuje mu cala do sześciu stóp wzrostu. Spojrzeliśmy sobie prosto w oczy. Jego piegowata twarz poorana była zmarszczkami, a rude włosy gęsto poprzetykane siwizną. Przemknęło mi przez myśl, że musi być starszy, niż początkowo przypuszczałam albo że nie miał lekkiego życia.

— Kate Millholland?

— Tak.

— Jest pani spokrewniona z Millhollandami, którzy mieszkają przy Jessup Road?

— To moi rodzice.

Czekałam na następne pytanie, ale nie padło. Milczeliśmy. Cisza zaczęła mi działać na nerwy.

— Może w końcu powie mi pan, co się stało? — zasugerowałam, starając się, żeby to nie zabrzmiało zbyt opryskliwe.

— Wolałbym, żeby to pani mi opowiedziała — odparł detektyw.

— Dziś rano miałam umówione spotkanie z Bartem Hexterem. Kiedy wjechałam na drogę dojazdową, zobaczyłam w rowie jego samochód. Zatrzymałam się, żeby sprawdzić, co się stało. Bart tkwił za kierownicą, ubrany tylko w piżamę. Wyglądało na to, że ktoś do niego strzelił. Jestem pewna, że nie żył.

— Rzeczywiście jest martwy — stwierdził Ruskowski. Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki mały notatnik i zaczął przerzucać kartki.

Znowu zapadła cisza, z każdą mijającą sekundą stawała się coraz to bardziej nie do zniesienia. Nie wiedziałam, co sądzić o zachowaniu detektywa, drażniła mnie ta gra. Uważałam, że policjanci są od zadawania pytań. Może Ruskowski sądził, iż milcząc jak zakłęty, sprawi, że sama w końcu coś z siebie wyrzucę — może jakieś wyznanie.

— Czy to było samobójstwo? — spytałam wreszcie, by skończyć tę grę.

— A tego się pani spodziewała?

- Spodziewałam się, że zastanę go tu dziś rano żywego — wypaliłam.
- Czego miało dotyczyć to spotkanie?
- Interesów.
- Jakiego rodzaju interesów?
- Pan Hexter spekulował kontraktami terminowymi na giełdzie towarowej
- odparłam, z przerażeniem uświadamiając sobie, jak szybko zaczęłam o nim mówić w czasie przeszłym. CFTC — Komisja do Spraw Handlu Giełdowymi Kontraktami Terminowymi zamierza wysunąć wobec pana Hextera i jego firmy zarzut naruszenia limitu wielkości sum kontraktowych w odniesieniu do kontraktów na soję z marca i kwietnia zeszłego roku.
- Czy to mogło być powodem, dla którego miałby się targnąć na życie?
- Nie wydaje mi się. To nawet nie podlega pod kodeks karny — odparłam, przypominając sobie równocześnie, że kiedyś słyszałam, jak Hexter określił grzywnę w wysokości dwudziestu pięciu tysięcy dolarów jako mandat za złe parkowanie.
- Jak dawno temu ustaliliście państwo termin spotkania?
- W piątek późnym popołudniem.
- Kto jeszcze o tym wiedział?
- Nie wiem... jego sekretarka, moja sekretarka. Sądzę, że i jego żona, skoro mieliśmy się spotkać u niego w domu...
- Czy miała pani okazję poznać panią Hexter? — wtrącił Ruskowski.
- Tak.
- Czy jesteście panie zaprzyjaźnione?
- Raczej nie. Ona ma więcej wspólnego z generacją mojej matki.
- Czy posiada pani broń?
- Nie — skłamałam.
- Od jak dawna znała pani Barta Hextera?
- Był moim klientem od niespełna roku.
- Wcześniej nie znała go pani? Może przy okazji towarzyskich spotkań w szerszym gronie?
- Oczywiście widywałam go wcześniej, spotykaliśmy się na przyjęciach, ale dopiero zeszłej wiosny nawiązaliśmy bliższe kontakty. Bart zwolnił właśnie radcę prawnego, z którego usług dotąd korzystał, i szukał kogoś na jego miejsce.
- I pani zajęła to miejsce?
- Tak.
- Dlaczego wybrał panią? — zapytał Ruskowski. W tonie zadawanych pytań i wzroku, którym zdawał się prześwieślać mnie na wskroś, było coś, co sprawiało, że ciarki chodziły mi po plecach.
- Jestem pewna, że uważał, iż najlepiej się na to miejsce nadawałam — odparłam.
- Nie było żadnego innego powodu? — dociekał Ruskowski głosem, w którym wyczuwało się jakąś insynuację.
- Może raczej zajmijmy się tym, co istotne — syknęłam.

— Panno Millholland — warknął Ruskowski — jestem detektywem z wydziału zabójstw i zastałem panią na miejscu zbrodni. A to znaczy, że akurat w tym miejscu mam prawo ustalać reguły gry. Ja zadaję pytania, a pani odpowiada. Nie muszą się przed panią tłumaczyć. Nie muszą zważać na pani uczucia ani reputację. Mam zadanie do wykonania, a tym razem oznacza to znalezienie zabójcy Barta Hextera. Jeśli nie podobają się pani moje pytania, z przyjemnością zakuję panią w kajdanki i zawiozę na komendę, gdzie poczeka pani sobie, aż znajdzie czas, żeby z panią ponownie porozmawiać.

— To musi być naprawdę fantastyczne — powiedziałam, nie bacząc na konsekwencje mojego wybuchu — mieć taką pracę, gdzie można sobie pozwalać na jawny pokaz obrażonego majestatu.

Tym razem cisza trwała na tyle długo, że zaczęłam już godzić się z tym, że dzięki mojej niewyparzonej gębie spędzę resztę dnia w gościnnych progach komendy policji w Lake Forest.

— Niech pani idzie za mną — rzucił w końcu Ruskowski. Odwrócił się na pięcie i szybko ruszył w stronę rowu odwadniającego.

Podążyłam za nim, z trudnością dotrzymując mu kroku. Zbliżaliśmy się do rollsa Hextera. Policjanci zdążyli już rozciągnąć na drzewach żółtą taśmę, żeby oznaczyć granice terenu, na który nie wolno wchodzić. Uwijało się tam sporo funkcjonariuszy.

Kiedy podeszliśmy do samochodu, trochę mi zrzedła mina, gdy sobie uświadomiłam, co Ruskowski ma dla mnie w zanadrzu. Co innego natknąć się przypadkowo na zwłoki, a co innego iść je celowo oglądać po raz drugi.

— Czy sam się zastrzelił? — odważyłam się zadać pytanie.

— Jak na razie — odparł detektyw — wiem tylko, że mam trupa.

Rozdział 2

Moja mama dawno temu zawyrokowała, że dom Barta Hextera jest najbrzydszy w Lake Forest. Nigdy dotąd nie byłam w środku, mama z kąśliwą szczegółowością twierdziła, że dom jest wzorowany na jednym ze słynnych angielskich dworów. Kiedy jednak zbliżyłam się do niego pieszo w towarzystwie dwóch policjantów, sprawiał tylko wrażenie ogromnego i ponurego gmaszyska. Długa droga podjazdowa, schodząca zakosami w dół, kończyła się szerokim rondem przed drzwiami frontowymi. Na środku tego ronda wznosiła się marmurowa fontanna, wyglądała dość pretensjonalnie: dwa splecione ze sobą delfiny i konie morskie wydmuchujące łukowate strugi wody, które iskrzyły się w mdławym kwietniowym słońcu.

Policja zaanektowała ciemny, chłodny pokój, do którego wchodziło się z obszernego holu. Mój wzrok przyciągnął kamienny kominak tak duży, że można w nim było stanąć. Wysoki sufit podpierały belki z czarnego dębu. Wystrój dopełniały rzeźbione, elżbietańskie meble. Jedną ze ścian zdobił ogromny gobelin — na tyle zużyty, że mógł być autentyczny. W tym otoczeniu, przywodzącym ńa myśl czasy inkwizycji, złożyłam detektywowi Ruskowskiemu formalne zeznanie.

Pytania, na które musiałam odpowiadać, były bardzo szczegółowe. Ruskowski chciał wiedzieć z detalami o każdym moim spotkaniu z Hexterem, pragnął poznać moje opinie o nim jako człowieku i biznesmenie. Potem musiałam minutę po minucie wyjaśniać, co robiłam w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. W trakcie przesłuchania Ruskowski zachowywał się z agresywną podejrzliwością, co mi przypominało, że policjanci, bardziej jeszcze niż prawnicy, muszą się liczyć z tym, że się ich okłamuje.

Kiedy skończyliśmy, Ruskowski przekazał mnie swojej młodej koleżance z laboratorium kryminalistycznego, która ochoczo zabrała się do przeprowadzenia badania dłoni na aktywację neutronową. Takie badanie wykonuje się, by stwierdzić obecność baru i antymonu — ich ślady zazwyczaj pozostają na dłoni

po wystrzale. Potem zaś, czując się jak bohaterka jakiegoś nędznego serialu, musiałam pozwolić, by zdjęto mi odciski palców.

Skończywszy z policją, udałam się do toalety, by umyć ręce. Jej ściany wyklejono ręcznie malowaną francuską tapetą. Kiedy już usunęłam z palców lepki atrament, sięgnęłam po ręcznik i zamarłam. Woda z rąk kapiała na płytki posadzki. Przede mną leżały trzy wyprasowane, lniane ręczniki z monogramami. Zwykle dostaje się takie w prezencie ślubnym.

Moje prezenty ślubne leżały spakowane w pudłach: porcelanowa zastawa na dwadzieścia cztery osoby, kryształowe kieliszki do szampana i kieliszki do wina z fabryki Waterforda. Mam tam obrusy i kosze piknikowe, różne kuchenne utensylia, pojemniki na chleb, ramy do obrazów, srebrne tace i wyprasowane ręczniki z wyhaftowanymi inicjałami, którymi zbyt krótko mogłam się cieszyć.

Byłam kiedyś zameżna, nawet nie tak dawno temu.

Poznaliśmy się z Russellem na studiach prawniczych. W ciągu dnia zmagaliśmy się ze sobą w inscenizowanych rozprawach sądowych, a w nocy — już zupełnie inaczej — w jego skrzypiącym łóżku. Russel posiadał te cechy, których mnie brakuje: samozaparcie w dążeniu do celu i pewność siebie. Potrafił kontrolować swoje życie i zawsze był panem sytuacji, czy to na studiach, czy w staraniach o pracę, czy też podczas spotkań z moją rodziną. Pobraliśmy się latem, zaraz po ukończeniu studiów. Miodowy miesiąc spędziliśmy na Krecie. Żeglaliśmy po morzu, opalaliśmy się, a późnymi wieczorami, przytuleni, przy mdłym świetle oliwnych lamp sączyliśmy retsynę w kawiarnianych ogródkach, snując szeptem plany na przyszłość.

Kiedy wróciliśmy do Chicago, rozpoczęliśmy pracę — ja jako pracownik w kancelarii Callahan Ross, a Russel jako urzędnik w kancelarii sędziego Federalnego Sądu Apelacyjnego — Myrona Wertza. Początkowo zbyt byliśmy zajęci, by zwrócić uwagę na lekkie utykanie Russela, którego się nabawił w Grecji. Wydawało nam się oczywiste, że odezwała się jakaś dawna kontuzja futbolowa, ale w końcu Russel wybrał się do lekarza. W sześć tygodni od dnia naszego ślubu otrzymał diagnozę — rak mózgu. Nim upłynął rok, zostałam wdową.

To było trzy lata temu. Co dzień powtarzam sobie, że najgorsze już za mną, ale mój ból, piekące poczucie ogromnej straty, towarzyszy mi jak wyciszona ścieżka dźwiękowa. Bywają dni takie jak ten, kiedy wystarczy przypadkowy bodziec — zachwianie równowagi z powodu śmierci Hextera, utarczki z policją lub widok zupełnie prozaicznego przedmiotu, tak zwykłego, jak gładko uprasowany prostokąt irlandzkiego płótna — by odblokować fale ponurych wspomnień.

Spojrzałam na siebie w lustrze, stanowczo przykazując sobie, że nie może być mowy o żadnych łzach. Wyjęłam szpilki z włosów, poprawiłam fryzurę. Zimną wodą spryskałam sobie twarz i wysuszyłam ją papierem higienicznym, nie chcąc tykać ręczników. Zrobiłam głęboki wdech i przybrałam zwykłą minę zapracowanego radcy prawnego, jaką na co dzień prezentowałam światu.

Dom był przepastny i łatwo mogłam się w nim zgubić, musiałam więc znaleźć jakiegoś domownika, akurat niezajętego rozmową z policją. W końcu naknęłam się na młodą kobietę o posepnym wzroku, noszącą fartuszek pokojówki, która zgodziła się sprawdzić, czy pani Hexter znajdzie trochę czasu, by ze mną porozmawiać. Czekając na jej powrót, spojrzałam przez oprawną w ołów szybę wysokiego okna we frontowej ścianie domu, w samą porę, by jeszcze dostrzec odjeżdżające sprzed budynku dwa wozy patrolowe i ambulans. Bart Hexter opuszczał swój dom na zawsze.

Pamela Manderson Hexter przyjęła mnie w ładnym pokoju, znajdującym się na piętrze w odległym skrzydle domu. Był to słoneczny salonik z wysokim sufitem, urządzone meblami w stylu królowej Anny, z obiciami w kolorach czereśniowym i żółtym — cóż za kontrast w porównaniu z resztą domu. Pomyślałam, że ten pokój, komfortowy i odosobniony, z ulubionymi meblami zapewne jeszcze z domu rodziców był jej prywatnym ustroniem. Świeżo upieczona wdowa przywitała mnie z fotela z wysokim oparciem, ustawionego przy okiennym wykuszu wychodzącym na długi ogród z kwiatowymi rabatami.

Hexterów powszechnie znano. Bart, który nie lubił chować się w cieniu, już na samym początku wyciągnął żonę w światła reflektorów, z czasem nie tylko się do tego przyzwyczaiła, lecz nawet i polubiła ten styl życia. Oboje udzielali się w wielu organizacjach charytatywnych, między innymi założyli fundację własnego imienia, której celem była pomoc rodzinom poważnie chorych dzieci. Poza tym oboje byli niestrudzeni w ucześnieści na wszelkiego rodzaju przyjęcia, tak że rzadko zdarzał się tydzień, by nie wspomniano o nich w prasowych kronikach towarzyskich.

Pamela, blondynka o nienagannej prezencji, w wieku trudnym do określenia, prowadziła bitwę z upływem czasu, korzystając z pomocy noża chirurga plastycznego. Miała na sobie prosty szary kostium od Castelberry'ego. Błądą twarz bez śladu łez okalały starannie ufryzowane włosy, sztywne od lakieru.

— Pani Hexter — powiedziałam, podchodząc do niej. — Przepraszam, że przeszkadzam pani w tej tak trudnej dla niej chwili.

— Proszę, mów mi Pamelu — odparła, wymawiając słowa w charakterystyczny dla wyższych sfer sposób, prawie nie rozwierając szczęk. — Znam twoją matkę niemal całe życie. Bardzo mnie zaskoczyło, kiedy dowiedziałam się od Barta, że masz dziś do nas przyjść. Kto by to pomyślał... córka Astrid prawnikiem... — Ręką wskazała mi krzesło naprzeciw siebie. Na niskim stoliku pomiędzy nami leżał koszyk z tamborkiem do wyszywania i notatnik, w którym widniała długa lista nazwisk, wypisanych ozdobnym pismem, jakiego człowiek uczy się jeszcze w podstawówce, potem przydaje się ono do wypełniania zaproszeń i podziękowań.

— Tak mi przykro — powiedziałam z konwencjonalną uprzejmością. — To musiał być dla ciebie straszny szok.

— Nadal nie mogę w to uwierzyć — odparła cicho, splatając ręce na

kolanach, wyglądała przy tym jak uczennica, która recytuje wyuczoną lekcję. — Zawsze mi się wydawało... to znaczy, zawsze obawialiśmy się, że to się może stać z powodu jego serca. Kilka lat temu Bart miał atak serca. Niewiele brakowało, a już wtedy byśmy go utracili. Od tamtej pory ciągle niedomagał, ale ja się tym martwiłam bardziej niż on. Dziś rano, kiedy długo nie wracał, a pojechał tylko po gazetę, niepokoiłam się, że zapomniał wziąć lekarstwo na serce. Wyjechałam po niego moim wózkiem golfowym, żeby się upewnić, że nic mu nie jest. Kiedy zobaczyłam jego samochód... ten szok... — urwała, a twarz jej sposepniała na wspomnienie tego, co zobaczyła. Do tej pory sądziłam, że to ja pierwsza odkryłam ciało Hextera. Ale widocznie to Pamela znalazła go wcześniej i powiadomiła policję.

— Pani Hexter... Pamelo — poprawiłam się. — Strasznie mi głupio, że muszę teraz o tym mówić, ale jak wiesz, handel kontraktami terminowymi to bardzo chwiejny, szybko reagujący na zmiany biznes. Chciałabym cię prosić o zgodę na zawiadomienie giełdy jeszcze dzisiaj. Jestem pewna, że będą chcieli przejrzeć rejestr transakcji twojego męża, żeby się upewnić, że nie będzie żadnych niespodzianek.

— Ależ oczywiście.

— Czy nie słyszałaś, żeby Bart miał ostatnio jakieś problemy w interesach? — sondażowałam delikatnie. — Coś, co mogło go szczególnie trapić?

— Nie mam pojęcia — odparła chłodno. — Mówiłam już policji, że nigdy się nie interesowałam nawet w najmniejszym stopniu interesami mojego męża — z tonu Pameli Hexter można było wyczuć, że spekulacja giełdowa była czymś znacznie poniżej jej poziomu.

— Więc nie wydaje ci się, żeby Bart miał jakieś większe problemy w firmie? Nie wyglądał na poirytowanego czy zmartwionego?

— W żadnym wypadku. Spędziliśmy zupełnie normalny weekend. W piątek wieczorem odwiedziły nas dzieci. W sobotę byliśmy gospodarzami rozgrywek klubowych na polu golfowym. Robimy to co roku. Na rozpoczęcie sezonu wiosennego gramy jeszcze osiemnaście dołków według regulaminu zimowego. Świetnie się bawiliśmy. Wczoraj wieczorem poszliśmy również do klubu, na przyjęcie. Jak już mówiłam policji, nic niezwykłego nie wydarzyło się podczas weekendu. Powinni wreszcie przestać zajmować się naszym prywatnym życiem i złapać szaleńca, który dopuścił się tej potworności.

— Większość ludzi ginie z ręki kogoś znajomego — powiedziałam.

Pamela nastroszyła się, a z jej oczu zniknął przyjacielski wyraz.

— Bart to nie większość ludzi — warknęła. — To absurd przypuszczać, że ktoś, kogo znamy, byłby zdolny do czegoś takiego. To musi być jakiś szaleniec, czyhający na osoby będące postaciami życia publicznego, tak jak ten człowiek, który zabił tego piosenkarza... jak to on się nazywał? Jack Lennon, zdaje się?

— John Lennon — poprawiłam. Jestem pewna, że zdawała sobie sprawę, że właśnie w kręgu ich prywatnych znajomych policja najpierw zacznie szukać zabójcy jej męża. Zmieniłam temat.

— Czy wiesz może, jak wyglądają sprawy spadkowe, jeśli chodzi o firmę męża?

— Wszystko dzielą między siebie dzieci — odparła. — Nasz syn, Barton junior, jest wykonawcą testamentu, więc myślę, że sprawy finansowe z nim powinnaś omówić. Mnie, jeśli mam być szczerą, niewiele to obchodzi.

Wiadomość o śmierci Barta Hextera na pewno spowoduje wiele zamieszania w świecie finansowym. Odbije się to na rynkach od Londynu po Tokio. Aktywa Hexter Commodities warte były setki milionów dolarów i stanowiły dorobek całego jego życia. A żona twierdzi, że ją to niewiele obchodzi.

— Czy chciałabyś może, żeby ci zorganizować jakąś dodatkową ochronę. Jak mówiłaś, twój mąż był osobą publiczną...

— Myślisz, że będą nas nękać reporterzy? — zapytała, otwierając szeroko oczy. — Jakoś mi to nie przyszło do głowy. No tak, oczywiście, jeśli uważasz, że będą nas tu chcieli niepokoić...

— Zajmę się tym z przyjemnością — zapewniłam. Gdy informacja o śmierci Hextera dotrze do mediów, nie tylko dziennikarze staną się problemem. Tłumy gapiów pojawią się na Parkland Road, żeby sobie obejrzeć dom, w którego pobliżu zamordowano Barta Hextera. Do drzwi będą dzwonić pośrednicy w handlu nieruchomościami, żeby zapytać, czy teraz, kiedy została sama, nadal planuje zamieszkiwać w tym dużym domu. Jeśli będzie miała pecha, to złożą jej wizytę przedsiębiorczy włamywacze w nadziei, że bezpiecznie obrabują dom, kiedy cała rodzina pojedzie na pogrzeb. — Jeszcze jedna rzecz — powiedziałam. — Twój mąż miał mi przekazać pewne dokumenty w związku z możliwością wytoczenia mu sprawy w sądzie. Czy nie wiesz przypadkiem, gdzie mógł je zostawić?

— Będą w jego gabinecie. Tylko tam trzymał dokumenty związane z interesami. Bart lubił sobie zapalić cygaro przy pracy, a ja nie pozwalałam na palenie gdzie indziej.

— Czy mogłabym w takim razie rozejrzeć się w jego gabinecie?

— Bez przeszkód — powiedziała. — Policja już tam była w poszukiwaniu listu poźegnalnego.

— Czy go znaleźli? — spytałam, zaciskając kciuki.

— Barton nigdy nie popełniłby samobójstwa — odparła z przekonaniem wdowa.

— Nawet gdyby się wplątał w finansowe tarapaty? — sondowałam dalej.

— Nie znałaś mojego męża zbyt dobrze, prawda? W przeciwnym razie wiedziałabyś, jakiego typu człowiekiem był Bart. Gdyby się wpakował w jakieś tarapaty, to najpierw wykończyłby wszystkich, którzy go w nie wpędzili.

Pamela Hexter zadzwoniła na pokojówkę Helenę, żeby mnie zaprowadziła do gabinetu Barta.

— Nie rozumiem, co się mogło stać z tą dziewczyną — denerwowała się pani Hexter, na próżno czekając na pokojówkę.

Ja mogłam sobie wyobrazić bardzo różne scenariusze. Na przykład Elenę telefonującą właśnie do *The Daily Enquirer*, żeby im sprzedać wyłączność na historię życia i śmierci Barta Hextera. Albo Elenę w garażu flirtującą z przystojnym policjantem lub też wydzwanianą do przyjaciół, żeby im z pierwszej ręki zrelacjonować jeszcze świeżą historię śmierci swojego pracodawcy.

W końcu zapewniłam panią Hexter, że sama sobie poradzę, lecz kiedy tylko wyszłam na schody, pożałowałam swojego optymizmu. Jak trafić przez labirynt mdławo oświetlonych korytarzy i nazbyt dekoracyjnych pokoi? Salonik do muzyki, pokój myśliwski, pokój z kolekcją broni, pokój do gier; zaglądałam do nich wszystkich, szukając gabinetu. Stosując proces eliminacji, znalazłam hol, który, jak sądziłam, zaprowadzi mnie na powrót do frontowej części domu. Kiedy jednak dotarłam do jego końca, nie wiedząc czemu znalazłam się w kuchni — obszernej, białej i sterylnie czystej. Po jej drugiej stronie zauważyłam drzwi prowadzące zapewne do służbówki, skąd, jak przypuszczałam, będzie przejście do jadalni, która musi się znajdować w głównej części budynku. Kiedy jednak otworzyłam te drzwi, zobaczyłam szerokie plecy detektywa Ruskowskiego. Właśnie spierał się o coś z kimś znacznie od niego drobniejszym i nie tak hałaśliwym. Słyszając za sobą kroki, odwrócił się, a ja ze zdumieniem odkryłam, że osobą, z którą rozmawiał, był Ken Kurlander.

Kurlander, jeden ze wspólników w mojej firmie, specjalizował się w sprawach powiernictwa majątkowego. Przez całą swoją długą praktykę obsługiwał stare fortuny, dbając, by przechodziły z pokolenia na pokolenie. Mimo że zbliżał się do siedemdziesiątki — wieku, w którym obowiązkowo odchodzi się w naszej firmie na emeryturę — Kurlander mógł pretendować do tytułu księcia prawników. Białowłosa, o ostro zarysowanej szczęce, zawsze ubrany w prosty czarny garnitur. W firmie żartowano, że jego szafa jest jednym z najczarniejszych miejsc w Chicago.

Eufemizmem byłoby twierdzenie, że Ken Kurlander za mną nie przepada. Moją obecność w kancelarii Callahan Ross traktuje jako osobisty afront. Uważa mnie za zdrażczynię swojej klasy. Szczególnie naganne jest dla niego to, że z powodów czysto merkantylnych zajęłam się prawem gospodarczym. Kole go w oczy, że poświęcam się przygotowywaniu transakcji i występowaniu w imieniu takich ludzi jak Bart Hexter, zamiast, korzystając z przywileju dobrego wychowania, jakie odebrałam, spędzać czas na towarzyskich spotkaniach w country clubie. Ja z kolei uznawałam Kurlandera za męczącego starego pierdołę.

Kierując się bardziej spontanicznym odruchem niż kurtuazją, zapytałam:

— A cóż ty tutaj robisz, Ken?

— Pamela natychmiast do mnie zadzwoniła, biedaczka — odparł.

— Dziwne, że to do pana najpierw zadzwoniła — wtrącił Ruskowski. —

Większość kobiet, odkrywszy, że mąż został zamordowany, dzwoni najpierw na policję.

— Już panu wyjaśniałem — przypomniał tonem niechętniej wyrozumiałości

Kurlander — że w tych warunkach było oczywiste, iż pani Hexter będzie chciała skorzystać z mojej porady. Niech pan pamięta, że to ja zasugerowałem, by wykręciła 911, jak tylko skończy rozmowę ze mną.

— Dlaczego w takim razie nie pójdzie pan na górę do pani Hexter i nie doradzi jej, żeby zeszła porozmawiać z policją? Mam jeszcze kilka pytań.

— Tym razem — odparł Kurlander tonem głębokiego oburzenia — jako adwokat pani Hexter muszę nalegać, by tego ranka nie nękano jej już więcej przesłuchaniami. Wkrótce ma przyjechać jej lekarz. Pani Hexter odpowiadała już na pytania policji i była łaskawa zgodzić się, by przeszukano jej dom, pozwoliła też, by zdjęto jej odciski palców. Przyzna pan, że zwykła przyzwoitość każe zostawić odrobinę prywatności kobiecie, która dopiero co straciła męża.

Zauważyłam, że Ruskowski spogląda na Kurlandera w taki sam sposób, w jaki patrzył na mnie na moment przed wyłożeniem mi prerogatyw detektywa z wydziału zabójstw. Chwycałam Kurlandera za jeden z jego nieskazitelnych mankietów.

— Czy pozwoli pan — zwróciłam się do Ruskowskiego — że zamienię z moim kolegą kilka słów na osobności?

Ruskowski, zde gustowany, kiwnął twierdząco głową. Zaciągnęłam Kurlandera do kuchni, gdzie zaszyliśmy się w najdalszym kącie i konferowaliśmy szepcąc.

— Co to za nonsens? — zapytałam. — Przed chwilą rozmawiałam z Pamelą. Jest całkowicie opanowana. Dlaczego nie miałyby do końca im wszystkiego wyjaśnić?

— To nie ode mnie zależy — odparł Kurlander. — Ten policjant zadawał jej jakieś impertynenckie pytania i poczuła się śmiertelnie obrażona. Dzwoniła już do Boba Frackmana z urzędu burmistrza. Mówi, że jeśli nie przyślą innego policjanta, nie będzie już więcej odpowiadać na żadne pytania.

— Jak może marnować ich czas takimi głupotami? — zirytowałam się, nie po raz pierwszy zauważając, jak nieodpowiedzialni bywają bogaci ludzie.

— Musisz zrozumieć, że Pamela przyzwyczajona jest do tego, by spełniano jej wszelkie kaprysy — wyjaśnił mój kolega.

— Pytania policji to pestka w porównaniu z tym piekłem, jakie jej urządzi prasa do czasu, aż policja wykryje sprawcę zabójstwa. Ken, jesteś przecież jej przyjacielem. Zrób nam wszystkim przysługę i przekonaj Pamelę do współpracy z policją.

Ruskowski czekał na mnie w służbówce.

— Gdzie jest ten sztywniak? — zapytał.

— Poszedł porozmawiać z panią Hexter.

— Strasznie łatwo woda sodowa uderza mu do głowy.

— To nie jemu, to pani Hexter. Niektóre z pańskich pytań wytrąciły ją z równowagi.

Detektyw wydał z siebie dźwięk przypominający śmiech.

— Po prostu spytałam ją, kiedy ostatnio uprawiała z mężem seks.

— To wystarczyło — odparłam.

— To jedno z rutynowych pytań — wyjaśnił Ruskowski. — Odpowiedź może rzucić istotne światło na rodzaj więzi, jaka łączy dwoje ludzi. Czy, według pani, byli szczęśliwym małżeństwem?

— Trudno mi powiedzieć. Nie znalazłam ich na tyle dobrze. Można sądzić, że tak. No, wie pan, wszędzie występowali razem, w kronikach towarzyskich pełno było zdjęć ich roześmianych twarzy. A przede wszystkim, nadal byli małżeństwem, co o czymś świadczy. Speculanci giełdowi miewają zwykle tyle żon, co pieniędzy. Chicago Board of Trade urządza co roku wielkie spotkanie o nazwie Żniwny Bal. Pierwsze żony można tam policzyć na palcach jednej ręki.

— Czy w takim razie nie podejrzewa pani, kto mógł chcieć jego śmierci?

— Jeśli chodzi o konkretne osoby, to nie.

— Co chce pani przez to powiedzieć?

— Zna się pan choć trochę na spekulacjach giełdowych?

— Nie bardzo.

— Handel kontraktami terminowymi to gra kończąca się wynikiem zero-wym — powiedziałam. — Zawsze jest ktoś, kto zyskuje i ktoś, kto traci. Każdy dolar, którego ktoś zarabia, ktoś inny traci. Przez ostatnie trzydzieści lat Bart Hexter odnosił nieustanne sukcesy w tej grze. Trudno tego dokonać, nie robiąc sobie przy okazji kilku wrogów.

— Ale nie zna pani nikogo takiego, kto żywiłby do Hextera urazę, groził mu lub czynnie go w przeszłości atakował.

— Nie, nie znam — odparłam. — Będę musiała poinformować zarząd giełdy o jego śmierci. — Spojrzałam na zegarek. — Czy chce pan to ukryć przed dziennikarzami?

— Prokurator o drugiej wyda oświadczenie w tej sprawie, ale na pewno wcześniej będzie jakiś przeciek, zawsze się znajdzie jakaś papla. Policjanci nazywają takie sprawy „żagiewkami”. Wie pani dlaczego?

— Myślę, że zaraz mi pan to powie.

— Bo dopóki nie znajdzie się sprawcy, ma się wrażenie, że jest się żagwią, na którą dmuchają wszyscy, począwszy od gubernatora, a skończywszy na najniższym szczeblu, żeby się szybciej paliła. Czy pani mnie rozumie, panno Millholland? Jeśli będzie pani próbować ze mną jakichś sztuczek, to spłonimy razem.

Rozdział 3

Kontraktami terminowymi handluje się na całym świecie — od Singapuru i Sydney po Tokio i Nowy Jork, ale najwięcej transakcji zawiera się w Chicago — na parkietach Chicago Board of Trade, CBOT, i Chicago Mercantile Exchange, nazywanej w skrócie Mercem. To właśnie tutaj, w tętniących szaleńczym rytmem ringach CBOT i Merca ustala się światowe ceny na zboża i soję, bydło, złoto i platynę oraz obligacje skarbowe czy obligacje pożyczek komunalnych. Handluje się tu też walutami.

Kontrakt terminowy to po prostu umowa kupna lub sprzedaży pewnej określonej ilości danego towaru w jakimś terminie w przyszłości po cenie ustalonej w dniu zawierania umowy. Taki sposób zawierania umów wywodzi się z potrzeby zapewnienia sobie przez farmerów okresowo stałych cen na swoje produkty. Kontrakty terminowe w dalszym ciągu stanowią ważne źródło zapewnienia płynności w handlu produktami rolniczymi. Przykładowo, farmer uprawiający soję unieruchamia swój kapitał na większą część roku. Jeżeli przed zbiorami potrzebuje pieniędzy, to skąd ma je wziąć? Banki żądają dodatkowego zabezpieczenia, ale kto wie, jaką cenę farmer uzyska za soję za pięć miesięcy. Banki nie zajmują się spekulowaniem na wahaniami cen płodów rolnych.

Ale ringi na parkietach CBOT i Merca pełne są spekulantów. Na długo przed porą zbiorów, farmer może zakontraktować sprzedaż swoich zbiorów na którejś z giełd towarowych na jakiś określony termin w przyszłości i po określonej cenie. Dysponując umową ze stałą ceną, bank chętnie pożycza pieniądze, przyjmując kontrakt terminowy jako zabezpieczenie. W żargonie giełdy towarowej taki farmer nazywany jest hedgerem.

Hedgerem może stać się każdy producent, który obawia się zmienności cen

na swoje produkty. Na przykład Exxon, niepokojąc się o możliwość spadku cen ropy, może zawrzeć transakcję terminową na jej dostawę. Nabisco, w obawie, że wzrost ceny cukru zmusi firmę do podniesienia ceny ciasteczek, kupuje kontrakty terminowe z ceną ustaloną na przeszłość.

Hedgerzy to z konieczności tylko połowa równania. Ludzie tacy jak Bart Hexter nie uprawiają soi, nie rafinują ropy ani nie pieką ciasteczek. Nie odczuwają też potrzeby rzeczywistego posiadania transportu półtusz wieprzowych czy buszli fasoli sojowej. Ci ludzie są graczami lub, jeśli kto woli, spekulantami. Jediną rzeczą, jaka ich w tym wszystkim interesuje jest robienie pieniędzy. Dokonują tego, spekulując co do kierunków, w jakich będą się zmieniać ceny towarów. Biorą na siebie ryzyko, którego hedgerzy chcą uniknąć.

Załóżmy, że w lutym zeszłego roku Bart Hexter przejął kontrakt na zakup soi o wartości dziesięciu tysięcy dolarów, która miała zostać zebrana w październiku. Załóżmy dalej, że w lipcu susza zniszczyła połowę plantacji, co sprawiło, że ceny wzrosły do takiego poziomu, że ta sama ilość fasoli sojowej warta teraz była trzydzieści tysięcy dolarów. Hexter mógł więc sprzedać swoje kontrakty, nie widząc na oczy nawet jednego ziarna fasoli sojowej, bogatszy o dwadzieścia tysięcy dolarów. Otrzymał nagrodę za postawienie właściwej prognozy ruchu cen. Wielcy spekulanci w kontraktach terminowych czują się jak ryby w wodzie. Tempo gry jest szaleńcze, a stawki ogromne. Pikanterii dodaje jeszcze fakt, że gracze giełdowi muszą dysponować jedynie niewielką ilością gotówki w relacji do wartości kontraktu, który chcą zakupić. Spekulant giełdowy składa tylko depozyt w wysokości pięciu procent wartości kontraktu. Ta zasada nazywa się *leverage* * i jest bardzo ważnym narzędziem w jego ręku — pozwala mu zakupić fasolę sojową wartości dziesięciu tysięcy dolarów za pięćset dolarów gotówki. Oczywiście, kiedy ceny rosną gwałtownie, wymagane pięć procent rośnie w takim samym tempie. W spekulacji kontraktami terminowymi nie ma praktycznie granicy ani zysków, ani strat.

* *Lever de rideau* (fr.) - podniesienie kurtyny (przyp. red.)

Odwiedziłam kiedyś Barta Hextera w dniu, gdy zarobił ponad sześćset tysięcy dolarów, korzystając z fali rosnących cen, przeskakując z niższych na coraz wyższe jak pływak na desce surfingowej. Zostałam go w szampańskim humorze, był wylewny, szarmancki i zadowolony z siebie. Palił cygaro, opowiadał o filozofii spekulacji giełdowych, o sprycie, intuicji i umiejętności opanowania strachu, które potrzebne są, by wygrywać. Zakończył zdaniem, które teraz mi się przypomniało. „W tym fachu, roześmiał się, albo ty zjesz niedźwiedzia, albo niedźwiedź ciebie”.

Wtedy potraktowałam to tylko jako błyskotliwą uwagę człowieka nieustannie ryzykującego cały swój majątek. Ale tego ranka, zaledwie w kilka godzin po tym, jak znaleziono go z dwiema kulami w głowie, zastanawiałam się, kto zaprosił niedźwiedzia na śniadanie.

Gabinet Barta Hextera wyglądał jak żywcem przeniesiony z żurnala *Architectural Digest* — prawdziwe sanktuarium biznesmena. Ściany zakrywały półki wypełnione oprawnymi w cielecą skórę woluminami, których Hexter z pewnością nigdy nie czytał. Biurko było ogromne, a na nim ekskluzywny zestaw przyborów do pisania, fotografie w ramkach i kryształowa szkatuła ze szmuglowanymi hawańskimi cygarami. Za biurkiem stało obite skórą obrotowe krzesło z oparciem tak wysokim, że wyglądało jak tron. Przy jednej ze ścian znajdowała się drabina biblioteczna. Za balkonowymi drzwiami rozciągał się francuski ogród. Grządki kwiatowe, niedawno przekopywane, z brązową i wilgotną ziemią na tle zielonej trawy nasuwały skojarzenie ze świeżo usypanymi grobami.

Usiadłam za biurkiem Hextera i bardzo uważnie zaczęłam przeglądać jego rzeczy. Najpierw dokumenty niedbale rozrzucone na biurku. Prawie wszystkie dotyczyły spraw administracyjnych obu giełd. CBOT i Merc są w dużej mierze niezależne od siebie, a Hexter prowadził interesy na obydwu. Na biurku leżały również pliki kopert. Opasane gumkami i w większości nieotwierane, prawdopodobnie zawierały informacje bankowe o stanie kont. Wyglądało na to, że Hexter miał zaległości w przeglądaniu korespondencji. Pomyślałam, że Kurlandera czeka sporo zajęcia.

Teraz skupiłam uwagę na szufladach. Znajdowały się w nich zwykle materiały biurowe, takie jak ołówki, notatniki, gumki, znaczki — wszystko schludnie poukładane. W jednej z szuflad Hexter trzymał druki zleceń i różne formularze, w innej zwinięte w rulon mapy prognoz meteorologicznych. W końcu znalazłam coś pożytecznego. Z dolnej szuflady, spośród informatorów z różnych klubów wyciągnęłam spis domowych numerów telefonicznych wszystkich członków Chicago Board of Trade i Chicago Mercantile Exchange.

Zadzwoiłam do Ricky'ego Sullivana, obecnego prezesa CBOT i przyjaciela Hextera jeszcze z czasów szkolnych. Złapałam go, gdy wychodził do kościoła. Zgodził się zwołać spotkanie zarządu CBOT na dwunastą w południe. Można było poznać po jego głosie, że śmierć przyjaciela go zaszokowała, ale nie tracił czasu na rozpamiętywanie. Później, po zakończeniu sesji, przy kilku mocnych drinkach w barze Butcha McGuire'a, będzie czas na oplakiwanie kolegi, na dyskusje o nieuchronności śmierci. Dopóki jednak Ricky Sullivan nie mógł być pewien, że Czarny Bart nie wpakował się w takie tarapaty, że strzał z bliskiej odległości stał się jedynym rozwiązaniem, myśląc o śmierci przyjaciela, musiał odczuwać strach.

Metodyczne przeglądanie papierów Barta Hextera nie pozwoliło mi znaleźć niczego, co miałyby jakikolwiek związek z dochodzeniem prowadzonym przez CFTC — Komisję do Spraw Handlu Giełdowymi Kontraktami Terminowymi, wyjąwszy znaną w pustej aktówce małą różową karteczkę, na której było napisane: „niedziela, 8.00, Kate Millholland”. Jedna szuflada w biurku okazała się zamknięta na klucz, więc przewędrowałam kilka elżbietańskich korytarzy

ponurej rezydencji Hextera w poszukiwaniu pokojówki. Kiedy w końcu się na nią natknęłam, poprosiłam, żeby zapytała swoją panią, gdzie można znaleźć klucze do biurka. Elena wróciła po kilku minutach z całym ich pękiem.

Po paru nieudanych próbach udało mi się wreszcie trafić na właściwy klucz. Kiedy otworzyłam szufladę, spotkało mnie rozczarowanie. W środku nie było nic wartościowego ani interesującego — trochę drobnych pieniędzy w małej, płytkiej puszcze po cukierkach, parę znaczków, cztery cygara marki Montclair, każde zapakowane w osobny kremowy futerał, oraz tekturowe pudełko. Podniosłam wieczko — papeteria. Zniechęcona, zasunęłam szufladę i jęłam się tępo wpatrywać w blat biurka. Z oprawnych w srebro fotografii patrzyła na mnie cała gromada berbeciów — pomyślałam, że to pewnie wnuki Hextera.

Spędziłam tu prawie godzinę i nie znalazłam absolutnie niczego — żadnych listów z pogroźkami, zapowiedzi skandalu, w ogóle nic osobistego. Wszystko było w jak najlepszym porządku. Martwił mnie jednak całkowity brak dokumentów związanych z dochodzeniem CFTC przeciwko Hexter Commodities. W porównaniu z morderstwem sprawa wydawała się teraz może mało istotna, ale przecież Hexter miał mi dziś rano przekazać dokumenty dotyczące tej sprawy. Gdzie więc się podziały?

Sięgnęłam po pęk kluczy, żeby je zwrócić pokojówce, ale rozmyślałam się, powstrzymały mnie od tego pytania, na które nie znalazłam odpowiedzi. Po co, u licha, ktoś miałby zamykać na klucz trochę drobnych pieniędzy, pocztowe znaczki i pudełko papieru listowego? Po co zamykać montclairy, skoro na wierzchu stała szkatuła z kubańskimi cygarami? Przez chwilę ważyłam klucze w dłoni, a potem wyjęłam zawartość szuflady.

Otwierałam futerały cygar, ale w środku były tylko cygara. Znowu podniosłam wieczko tekturowego pudełka. Bingo! Pod papeterią znajdowało się jeszcze jedno pudełko, a w nim żółta koperta o wymiarach pięć na osiem cali i plik banknotów — gruby na trzy palce, opasany czerwoną gumką. Same setki. Zaczęłam liczyć, ale w końcu straciłam cierpliwość — było tam ponad trzydzieści tysięcy dolarów.

Mniejsze pudełko włożyłam na powrót do większego i przyłożyłam papeterię jak poprzednio. Schowałam do szuflady. Teraz dopiero otworzyłam tę kopertę.

W środku znajdowało się kilkanaście czarno-białych zdjęć, bardzo różnych od fotografii cherubinków uśmiechających się do mnie ze srebrnych ramek. Przedstawiały młodą, dwudziestokilkuletnią kobietę. Zupełnie nagą. Ciało miała drobne, włosy długie i ciemne. Obejrzałam wszystkie zdjęcia i doszłam do wniosku, że nie jest to dzieło zawodowca usiłującego wykrzesać nieco erotyzmu ze znudzonej modelki. Wyczuwało się atmosferę intymności i dawało poznać rękę amatora.

Kobieta pozwoliła się fotografować w bardzo różnych pozycjach: raz przeżyła się jak kocica, jedną ręką zasłaniając twarz w udawanej ekstazie, a drugą wsuwając między uda, a to znowu stała z rozchylonymi nogami, wygięta do tyłu tak, że jej

długie włosy zamiatały podłogę...

Nie ulegało wątpliwości, że fotografowi nie chodziło o twarz kobiety. Nie było ani jednego ujęcia, na którym byłoby ją dobrze widać. Siedziałam i przyglądałam się tym zdjęciom, bezskutecznie usiłując odkryć tożsamość kobiety i zastanawiając się, kto naciskał przycisk migawki.

Galka w drzwiach przekręciła się i zerwała się z krzesła jak oparzona.

— Nie chciałem cię przestraszyć — wyjąkał przepraszająco syn denata, Barton junior.

Szybko wsunęłam fotografie do koperty.

Ostatni raz widziałam Bartona, kiedy miałam dziewięć lat. Razem z moim bratem, Teddym, podkradali wtedy mojemu ojcu alkohol z barku. Barton, chuderlawy nastolatek, spoglądał na mnie z góry spod grzywy rozczochranych czarnych włosów. Chodził w dzwonach i brudnym podkoszulku. Usiłował zapuścić brodę, ale rezultat był żalony.

Czas sprawił, że stał się podobny do ojca. Czarne włosy, przerzedzające się już gdzieś tam, Barton junior nosił teraz krótko ostrzyżone. Miał oczy ojca, taką samą cerę i krzaczaste brwi. Był tylko nieco szczuplejszy, nie taki krępy. No i jeszcze miał w spojrzeniu coś figlarnego, czego nawet smutek nie mógł przytłumić. Mimo to podobieństwo było wręcz niesamowite, ale ograniczało się jedynie do wyglądu.

Czarny Bart zaznał ubóstwa i spędził życie, usiłując odgradzić się od biednego dzieciństwa możliwie dużą ilością dolarów. Barton junior wyrastał w oceanie dobrobytu i wybrał dla siebie życiową drogę, na której pieniądze i wartości materialne nie znaczą zbyt wiele.

Dr Barton Hexter jr, wykładowca matematyki teoretycznej w Northwestern University, był ekspertem na polu rozwijającej się teorii chaosu, która koncentruje się na opracowywaniu teoretycznych modeli dużych skomplikowanych systemów. Choć handel kontraktami terminowymi może stanowić przykład takiego systemu, zainteresowanie Bartona juniora, ku wielkiemu rozczarowaniu ojca, ograniczało się tylko do sfery czysto akademickiej.

— Ken Kurlander wspomniał, że będziesz chciała ze mną porozmawiać — powiedział Barton, kiedy skończyłam składać mu kondolencje.

— Strasznie nieprzyjemnie czuję się w tej roli — zaczęłam, świadoma tego, że będę musiała złożyć duży ciężar odpowiedzialności na braki człowieka, który godzinę temu dowiedział się, iż jego ojciec został brutalnie zamordowany. — Od twojej matki dowiedziałam się, że zostałeś wyznaczony na wykonawcę testamentu.

— Ken właśnie poinformował mnie o tym — odparł. — Ale co to właściwie oznacza?

— Bardzo wiele rzeczy — odpowiedziałam wolno. — Przede wszystkim to, że stajesz się teraz odpowiedzialny za dalsze losy Hexter Commodities.

Zrozumienie wszystkich implikacji tego stwierdzenia zabrało Bartonowi juniorowi prawie minutę. Hexter Commodities było firmą o wartości setek milionów dolarów. Tu nie chodziło o przejęcie drobnego rodzinnego interesu. To było coś o wiele poważniejszego niż, na przykład, pralnia chemiczna.

— Ja nie jestem biznesmenem — oznajmił wreszcie zduszonym głosem.

— Będziesz miał do pomocy wielu ludzi. Mnie, pracowników twojego ojca, Kena Kurlandera. Problem polega na tym, że handel kontraktami terminowymi to bardzo szybki biznes. Są rzeczy, które muszą zostać wykonane jeszcze dziś; decyzje, które należy podjąć w ciągu najbliższych siedemdziesięciu dwóch godzin; decyzje, których nie można odwlekać, bo wiążą się z tym poważne, długofalowe konsekwencje.

Barton junior zaszepił się.

— Skontaktowałam się już z giełdami — ciągnęłam. — Umówiłam się na dwunastą z Rickym Sullivanem, żeby przejrzeć księgi twojego ojca, by się upewnić, że nie kryją się w nich żadne niespodzianki.

— Masz na myśli coś, co mogłoby być powodem morderstwa?

— Między innymi. Czy chcesz tam ze mną iść?

— Nie. Myślę, że tu będę bardziej potrzebny.

— Mam nadzieję, że ze wszystkim sobie poradzę. W razie jakichś kłopotów, zadzwonię do ciebie. Giełda będzie chciała jak najszybciej pozbyć się pozycji terminowych twojego ojca.

— Nie możemy tego zrobić, dopóki się nie upewnimy, że nie zabezpieczył się za pomocą kontraktów kompensacyjnych na innych rynkach — wtrącił Barton. — Wiem, że ojciec wielokrotnie zabezpieczał transakcje w Chicago zakupem lub sprzedażą kompensacyjną w Hongkongu.

Odetchnęłam z ulgą. Jeśli Barton junior wiedział aż tyle, że mógł się niepokoić o transakcje kompensacyjne, istniała duża szansa, iż Hexter Commodities i mnie uda się razem przetrwać najbliższe tygodnie.

— Chciałabym, z twoją aprobatą, żeby giełda zgodziła się na stopniową likwidację rachunków, uzależniając jej tempo od rodzaju pozycji terminowych. Mogłoby to trwać jakieś siedem, dziesięć dni. To da nam szansę odnalezienia kwitów magazynowych lub potwierdzeń z innych rynków. Czy nie wiesz przypadkiem, gdzie mogą się znajdować?

— Jediną osobą, która może to wiedzieć, jest mój kuzyn Tim. Pracował jako asystent ojca.

— Masz może jego numer? — spytałam. — Chciałabym jeszcze, żeby ktoś zadzwonił do biura. Trzeba powiedzieć pracownikom, co się stało, by nie musieli się dowiadywać z prasy.

— Myślę, że nie uda ci się skontaktować z Timem przed południem. Jest członkiem klubu cyklistów. Co niedziela jeździ rowerem na długie wycieczki.

Wszyscy w rodzinie zawsze żartowali, że w każdą niedzielę Tim ucieka przed ojcem i dlatego jeszcze nie zwariował.

— Ciekawe, czy szef działu transakcji mógłby coś wiedzieć? Carl Savage. Ricky Sullivan powiedział, że zadzwoni do niego i zaprosi go na to spotkanie.

— Pewnie tak. Ależ to jest niesamowite! — wybuchnął nagle Barton. — Ciągle czekam, że usłyszę gdzieś z głębi domu jego głos. To wszystko jest takie nie-realne. Kiedy moja siostra Krissy dowiedziała się o tym, zemdląca. Musieli jej potem dać coś na uspokojenie. A tymczasem matka robi spokojnie listę osób, które należy zaprosić po pogrzebie. Nie udało mi się jak dotąd skontaktować z Jane, moją żoną. Wybrała się z dziećmi do Wisconsin, żeby odwiedzić rodziców. Kiedy tam zadzwoniłem, okazało się, że już wyjechała i jest w drodze powrotnej do domu. Zamierzałem jej zostawić na stole w kuchni notatkę, ale nie wiedziałem, co napisać. Jane jest w ósmym miesiącu ciąży. Nie chcę, żeby była sama, kiedy się o tym dowie. Nie chciałbym również, żeby usłyszała o tym z radia, wioząc dzieci do domu... — urwał pośpiesznie.

Nagle drzwi otwarły się z trzaskiem i do środka wpadła jak burza młoda kobieta.

— Och, Barton! — zawołała, rzucając mu się na szyję.

— Margot — powiedział jej brat bardziej tonem konstatacji niż powitania.

Margot Hexter, tylko o rok młodsza od brata, zachowywała się jak podłotek, co ujmowało jej lat. Była naprawdę ładna — bujne czarne włosy i duże brązowe oczy, jak u ojca. Nosila się jak na studentkę przystało: pomięty podkoszulek z napisem „Precz z Ciemnością”, wytarte dżinsy, grube skarpety i sandały.

— Nie wierzę! — Margot zupełnie nie zwracała uwagi na moją obecność. — Kiedy Krissy do mnie zadzwoniła, zabrzmiało to wręcz fantastycznie. Ktoś go zastrzelił. Czy to nie za dużo szczęścia? Wprost trudno uwierzyć. Tatusz nie żyje. Co za ulga, co za wolność! Jakież to stereotypowe i jakie prawdziwe. Zniknął ciężar z piersi. Czuję się, jakby wyrosły mi skrzydła. Aż mi się w głowie kręci z radości.

— Margot! — upomniał ją zgorzony Barton. — Lepiej nie pleć głupstw, które ci ślina na język przyniesie, szczególnie w obecności innych ludzi.

— A pani kim jest? — zażądała wyjaśnień.

— Kate Millholland. Pracuję w firmie prawniczej, z której usług korzystał pani ojciec.

— A więc to pani nam powie ile?

— Nie rozumiem...

— No, ile pieniędzy dostaniemy? Przecież właśnie tym się zajmują prawnicy, kiedy umrze ktoś bogaty. No, wie pani, przychodzą do domu i odczytują testament.

— Ja zajmuję się prawem gospodarczym — odparłam z przyganą w głosie. — Prawną stroną funkcjonowania Hexter Commodities.

— O kurza melodia! Prawo gospodarcze. Ależ to nudy. — Zwaliała się nie-dbale na kanapę i zwróciła do brata. — Jak myślisz, kto zamordował tatusia?

— Nikt jeszcze nic nie wie — wyjaśnił Barton tonem, w którym słyhać było autentyczny ból. — Policja prowadzi śledztwo.

— Daruj sobie tę zboląłą minę — powiedziała Margot. — Nic strasznego się nie stało. Stary potwór nie żyje, a my dostaniemy jego pieniądze. Zaszokowało mnie tylko, że go zastrzelili. Całkiem serio. Byłam pewna, że znajdą go nagiego w łóżku z szesnastoletnimi bliźniaczkami i nożyczkami w plecach.

Rozdział 4

Kiedy w końcu Margot dała się przekonać, by pójść na górę do matki, przekazałam Bartonowi pieniądze, które znalazłam w szufladzie biurka. Była to suma raczej spora, zwłaszcza że chodziło o gotówkę, ale dla Bartona juniora te pieniądze miały szczególne znaczenie. Rozwój wypadków postawił go u steru olbrzymiej fortuny, z którą związane były losy wielu ludzi. Barton w milczeniu ważył w ręce plik banknotów — pierwszy zwiastun odpowiedzialności.

Zdjęcia zostawiłam sobie. Jak na jeden dzień Barton miał już dość wrażeń. Nie chciałam ich na powrót chować do szuflady, bo nie wiadomo, kto następny by się na nie natknął. Właściwie to powinnam je oddać policji, ale ten pomysł wydał mi się odpychający. Pamiętałam, że Ruskowski nawet rutynowe pytania potrafił tak formułować, że brzmiały niczym zniewagi. Jak poczułaby się Pamela Hexter, gdyby ją zapytał o zdjęcia nagiej kobiety, znalezione w szufladzie Barta?

Zastanawiałam się, czy nie poradzić się Kurlandera, ale myśl, że miałabym ze starszym wspólnikiem z działu powiernictwa i nieruchomości dyskutować o jakichś pornograficznych zdjęciach, wydała mi się obrzydliwa. Poza tym wiedziałam, co powie: „Spal je, zniszcz, ale w żadnym wypadku nie przekazuj policji. Takie zdjęcia to dosyć kompromitująca sprawa, a naszym zadaniem jest nie dopuszczać, by jakieś kompromitujące materiały przedostawały się na zewnątrz”. Jak tylko sobie tak pomyślałam, zaraz zapieczętowałam kopertę i pospiesznie na niej nabazgrałam, gdzie została znaleziona. Wręczyłam ją pierwszemu napotkanemu policjantowi z prośbą, żeby przekazał detektywowi Ruskowskiemu.

Nawet sobie nie zdawałam sprawy, jak dużą przyjemność sprawi mi opuszczenie domu zamordowanego człowieka. Reakcje członków rodziny na tę śmierć mogły się wydawać dosyć niezwykle. Ale właściwie kto wie, na czym polega normalne zachowanie w obliczu takiej tragedii?

Jadąc na spotkanie w budynku CBOT, zadzwoniłam z samochodu do Elliotta

Abelmana. Elliott był prywatnym detektywem i pierwszą osobą, o której pomyślałam, że będzie w stanie załatwić ochronę rodzinie Hexterów. Zastałam go w domu i opowiedziałam, co się wydarzyło dzisiejszego ranka.

— Nie ma to jak być prawnikiem sławnych i bogatych! — zawołał.

— Obawiam się, że teraz to bogatych i okrytych niesławą.

— Sam się zastrzelił?

— Nie wiem. Leżał na przednim siedzeniu swojego rolls-royce'a w czerwonej jedwabnej piżamie, z dwoma kulkami w głowie.

— Ja bym się ubrał inaczej na taką pożegnalną przejażdżkę. Czy miał jakieś kontakty ze zorganizowaną przestępczością?

— Nie wiem. Myślisz, że mógł mieć?

— Wszyscy mówią, że mafia pierze pieniądze, wpuszczając je na giełdy, ale o Hexterze nic szczególnego nie słyszałem. Przyznasz jednak, że kula w łeb na podjeździe własnego domu wygląda raczej na robotę profesjonalisty. Czy policja kogoś podejrzewa?

— Jeśli nawet, to nie chcą mi powiedzieć.

— No cóż, jestem pewien, że w ciągu tych lat na giełdzie Hexter niejednemu narobił koło pióra. Nigdy nie dałem się przekonać temu jego pokazowemu wizerunkowi dobrego męża i przykładnego ojca. No i jeszcze wielkiego filantropa. Takich pieniędzy nie da się zrobić, żeby komuś nie nadepnąć na odcisk.

— W giełdowych spekulacjach wszyscy wszystkim depczą po odciskach. Tego nie musisz mi mówić, wiem coś o tym.

Giełda CBOT świeciła w niedzielę pustkami. W holu utrzymanym w stylu art deco i wyłożonym polerowanym marmurem tkwił znudzony strażnik. Zapisał moje nazwisko, nawet nie zaszczycając mnie spojrzeniem i wrócił do lektury rubryki sportowej. Wsiadłam do windy, której drzwi przyozdabiały wykonane w brzoje kłosa zboża, i pojechałam na czternaste piętro.

Jeśli spekulacja kontraktami terminowymi jest grą, to Izba Rozrachunkowa jest instytucją, która tę grę w ogóle umożliwia. Handel kontraktami terminowymi odbywa się w formie jawnej oferty słownej, wyrażanej krzykiem. Maklerzy dosłownie wrzeszczą do siebie w zatłoczonych ringach, komunikując zamiar kupna czy sprzedaży za pomocą kombinacji okrzyków i gestów dłoni, podobnie jak bukmacherzy na angielskich torach wyścigów konnych. Całe silosy pszenicy, wagony bydła, setki tysięcy dolarów przechodzą z rąk do rąk w ułamku sekundy, co potwierdzone jest pojedynczym słowem czy gestem. Nie ma czasu, by zastanawiać się, czy osoba po drugiej stronie rzeczywiście dysponuje pieniędzmi albo towarem, który jest przedmiotem transakcji.

To właśnie Izba Rozrachunkowa jest gwarantem wypłacalności i uczestniczy w każdej transakcji, działając jako coś w rodzaju banku centralnego. Izba Rozrachunkowa równocześnie kupuje od sprzedającego i sprzedaje kupującemu. W jej archiwach znajdują się zapisy wszystkich transakcji przeprowadzanych przez

giełdę. Każdy członek giełdy, będący równocześnie członkiem Izby Rozrachunkowej, musi dysponować kapitałem proporcjonalnym do ryzyka, które podejmuje na rynku.

Prezesem Izby Rozrachunkowej był niejaki Kent Rush. Wystrój jego gabinetu manifestował dostojność, które miało dodawać otuchy wątpięcym, rozciągając zarazem aurę nieskazitelnej uczciwości, co nabierało szczególnego znaczenia w przypadku tych, którzy podejrzewali, że zajęciem prezesa jest, mówiąc bez ogródek, zawiadywanie jaskinią hazardu. Po obu stronach biurka prezesa, podobnie jak w Owalnym Pokoju Białego Domu, znajdowały się flagi. Nieco z boku widać było drzwi. Przydawały się one w chwilach, gdy rejterada lepiej się mogła przysłużyć sprawie niż otwarta konfrontacja.

Kent podał mi rękę, a Rocky Sullivan, prezes giełdy, kiwnął mi głową na powitanie ze swojego miejsca na kanapie. Rozmawiał z kimś przez telefon, informując o śmierci Barta Hextera i wsłuchując się we wszelkie wzmianki, które mogłyby sugerować jakieś kłopotliwe powiązania zabitego maklera. Rush ruchem ręki wskazał, żebym zajęła miejsce i wręczył mi najświeższą listę osobistych aktywów Hextera. Papier był jeszcze ciepły, prosto z drukarki laserowej.

Ledwie zaczęłam przeglądać listę, kiedy pojawił się Carl Savage. Savage, z pochodzenia Teksańczyk, miał potężne bary i gruby kark; w szerokiej, gładko ogolonej twarzy tkwiły małe, nieufne stalowoszare oczy. Długie ciemne włosy nosił zaczesane do tyłu i związane w kucyk.

Szef działu transakcji Hextera podał wszystkim rękę na powitanie, odbierając przy okazji mruczone kondolencje, po czym zajął się relacjonowaniem stanu posiadania pryncypała. Bart był bogaty w styczniową pszenicę i mączkę sojową; z niemieckich marek wysprzedał się natomiast niemal całkowicie.

Usiłowałam zmusić się do słuchania, ale zmęczenie brało górę. Tego typu senność zawsze mnie ogarniała na zajęciach z geometrii. Teraz popadałam w taki stan, kiedy tylko zaczynały się dyskusje na temat księgowości. Na szczęście nauczyłam się udawać, że słucham z zainteresowaniem, bo wiedziałam już, że rachunkowość nigdy nie stanie się moją pasją.

Po przeanalizowaniu wszystkich pozycji terminowych Kent Rush zawyrokował, że stan posiadania Hextera jest proporcjonalny do udziału w rynkach. Wszyscy westchnęliśmy z ulgą.

Kiedy zaczęto omawiać sprawę likwidacji rachunków, ożywiłam się. Wiedziałam, że giełda będzie nalegać na jak najszybsze zlikwidowanie pozycji terminowych. Ale Bart Hexter to nie był jakiś tam drobny ciulać. W przypadku pewnych towarów szybka sprzedaż kontraktów, które Bart kupował na własny rachunek, mogłaby gwałtownie zdestabilizować rynek na te towary. Poza tym i tutaj istniało niebezpieczeństwo, że Hexter mógł zabezpieczyć niektóre pozycje aktywami rzeczowymi lub kontraktami kompensacyjnymi na zagranicznych rynkach. Nie chciałam się spieszyć z likwidacją, dopóki nie sprawdzimy, czy nie

znajdziemy gdzieś kwitów magazynowych albo potwierdzeń z innych rynków.

Okazało się, że w sumie mniej było przepychanek, niż się spodziewałam. Myśle, że ustalenie, iż w aktywach Hextera nie ma nic trefnego, odprężyło zebranych. W końcu zgodziliśmy się na pięciodniowy termin likwidacji wszystkich rachunków, oprócz tych, które dotyczyły soi. Wielkość pozycji wymagała terminu ośmiodniowego.

Biura Hexter Commodities spowijała weekendowa cisza. Labirynt przepieczeń, w których w ciągu dnia roilo się od maklerów i ich pomocników zionął pustką. Ekran monitorów otaczających salę operacyjną były wygasłe. Savage otworzył drzwi do swojego gabinetu, znajdującego się w sąsiedztwie stanowisk maklerskich i przysunął mi krzesło. Z dolnej szuflady biurka wyjął dwie odrapane szklaneczki i butelkę szkockiej. Bez słowa napełnił szklanki, a potem podsunął mi jedną.

— Za nieżyjącego — powiedział, wznosząc toast. — Niech spoczywa w pokoju. — Stuknęliśmy się szklankami.

Zazwyczaj nie pijam przed obiadem, szczególnie jeśli jestem bez śniadania, ale wychyliłam alkohol jednym haustem. To nie był zwykły dzień.

— Zanim wyszedłem z domu, zadzwoniła do mnie policja — powiedział Savage, uzupełniając swoją szklankę. — Chcą tu jutro przyjść i porozmawiać o Barcie ze mną oraz z pozostałymi pracownikami. Pewnie będą próbowali się dowiedzieć, kto go mógł zabić.

— Taką już mają pracę — odparłam. — A pan nikogo nie podejrzewa?

— Nie. Ale Hexter to był niezły drań. Połowie ludzi, którzy tu codziennie pracują, nie dałbym broni do ręki, nawet sobie bym nie ufał. No, ale w tym interesie trzeba być draniem. Najważniejszą sprawą jest, by robić pieniądze, a w tym Bart był dobry.

— Tak wszyscy mówią. W czym tkwił sekret jego nieustannego powodzenia?

— Żeby to wiedzieć, sam bym zabił — odparł smętnie Savage. — Nie wiem, na czym to polegało. Loretta, szef działu rozrachunkowego, wymyśliła mu przyzwisko. Savant, jak ten idiota z filmu *Rain Man*. Człowiek niedorozwinięty, obdarzony tylko jednym szczególnym talentem.

— Zwraçała się tak do niego publicznie?

— Loretta? Jasne. Ona się nie bała Barta. Cholerny geniusz. Ten człowiek nie przeczytał nawet jednej książki, odkąd ukończył szkołę. Gównu go obchodziło, czy świat jest płaski, czy okrągły. Nie potrafił się nauczyć obsługi komputera, mimo że wielokrotnie usiłowaliśmy mu to wtłoczyć do głowy. Ale jeśli chodzi o biznes, nie miał sobie równego. W ringach na parkiecie kłębią się specjaliści od analizy technicznej, faceci, którzy pracują dla dużych firm, takich jak CRT, i studiują różnokolorowe wykresy. Hexterowi to nie było potrzebne, wszystkie obliczenia wykonywał w głowie. Miał fotograficzną pamięć do liczb. Nigdy nie

musiał sprawdzać numerów telefonów. Wystarczyło, że wykreślił numer tylko raz i już pamiętał go na zawsze. Dwunastocyfrowe liczby mnożył w pamięci szybciej, niż trzeba czasu na włączenie kalkulatora...

— I co teraz będzie, kiedy zabrakło szefa? — przerwałam.

— To pani jest prawnikiem.

— Co zrobią wasi klienci, kiedy się dowiedzą o śmierci Barta?

Biuro Hextera prowadziło równocześnie trzy rodzaje działalności: maklerską — zawieranie transakcji terminowych w imieniu i na rachunek firm i osób fizycznych, podobnie jak to się dzieje w przypadku giełdowego obrotu akcjami przedsiębiorstw; rozrachunkową — na rzecz drobnych spekulantów, nazywanych lokalnymi, którzy zarabiali pieniądze na niewielkich zmianach cen. Hexter Commodities gwarantowało ich transakcje i przeprowadzało je przez Izbę Rozrachunkową, od każdej z nich pobierając stałą marżę. Ostatni rodzaj to transakcje przeprowadzane przez Hextera na własny rachunek. Kiedy się zlikwiduje tę pozycję, cała wartość Hexter Commodities będzie się sprowadzać do działalności maklerskiej i rozrachunkowej.

— Jak tylko drobni usłyszą, że Hexter nie żyje — powiedział Savage — dziewięćdziesiąt procent z nich przeniesie swoje rachunki gdzie indziej, chyba że damy im powód, by tego nie robili.

— Co pan proponuje?

— A kto jest teraz właścicielem firmy?

— O ile wiem, Bart wszystko zostawił dzieciom, a syna, Bartona juniora, ustanowił wykonawcą testamentu.

— Barton junior? — Savage dołał sobie whisky. Przez chwilę trzymał trunek w ustach, rozważając odpowiedź. — Czy jest szansa, że będzie dalej prowadził firmę?

— Trudno powiedzieć — odparłam. — Na razie próbuje się oswoić z myślą, że ojciec nie żyje. Jest profesorem matematyki teoretycznej i z tego, co słyszałam, w swojej dziedzinie znakomitością.

— Wiem. To jedyny człowiek, który mógłby przejąć firmę po ojcu. Prowadziłby ją inaczej, ale byłby w stanie to zrobić.

— Musimy mu dać trochę czasu.

— Czas to pieniądz — warknął Savage. — Co będzie, jeśli jutro nagle ceny polecą na łeb, na szyję?

— A co będzie, jeśli Barton zdecyduje się sprzedać firmę?

— I pani, i ja wiemy — zripostował Savage — że jeśli klienci przeniosą swoje rachunki gdzie indziej, nie bardzo będzie co sprzedawać.

Zmuszona powrócić do Lake Forest i pogrążonych w smutku Hexterów, niechętnie skręciłam na północ, w dochodzącą do Sheridan Road widokową drogę Lake Shore Drive. Wydawało się, że całe Chicago postanowiło skorzystać z pierwszego prawdziwie wiosennego dnia. W szmaragdowym pasie parków okalających jezioro Michigan widać było młodych ludzi z kijami baseballowymi,

dzieci grające we frisbee i psy spuszczone ze smyczy. Na ścieżce rowerowej cykliści, tak liczni jak trzmiele przy dobrej pogodzie, ścigali się z uprawiającymi jogging i jeżdżącymi na wrotkach. Zastanawiałam się, czy jednym z rowerzystów jest Tim, asystent Barta Hextera, nieświadom jeszcze śmierci swego wuja.

Fakt, że byłam tam zaraz po tym, jak to się stało, że widziałam zwłoki, nie pozwalał mi się zdystansować do tego zdarzenia, nie mówiąc już o tym, by je zupełnie zepchnąć gdzieś na margines świadomości. Pamięć wciąż odtwarzała tamte chwile, przypominałam sobie rozmowy z Ruskowskim, raz po raz wałkowałam je w myślach na nowo, jakby to były sceny z jakiegoś filmu. A przecież nie powinno mnie interesować, kto zabił Barta Hextera. Jeśli tylko nie miało to związku ze sprawami Hexter Commodities, skoro nie groziło finansową katastrofą i nie wiązało się z odkryciem jakichś ciemnych machinacji, powinnam być zadowolona, że mogę tę sprawę spokojnie pozostawić policji, sama koncentrując się na swojej robocie.

Ale prawników również nęka zwykła ludzka ciekawość, więc nie potrafiłam się oprzeć pokusie analizowania zbrodni. Bart Hexter był człowiekiem znanym, postacią publiczną. Kreował się na wzór pracowitości, dyscypliny i oddania wartościom rodzinnym — człowieka, którego przeznaczeniem było umrzeć w łóżku, w otoczeniu najbliższych. Carl Savage powiedział, że w pracy Hexter okazywał się prawdziwym draniem, ale za to zwykle się ludzi nie zabija. Gdyby tak się działo, to trup ściełiłby się gęsto. Musiał istnieć jakiś inny powód. Niestety, dopóki policja albo prasa go nie odkryje, przez jednych i drugich Hexterowie będą nękami bez litości.

Zastałam Hexterów w ogromnym salonie z galeryjkami jak dla orkiestry. Skupieni wokół barku na kółkach, zażywali trochę przedwczesnego wypoczynku przy koktajlu. Pamela Hexter uplasowała się na sofie, zajęta robótką hafciarską. Blisko drzwi, na twardym krześle, nieco z dala od reszty rodziny, siedział krępy, spocony młody człowiek, ubrany jak na *Tour de France*. Tim Hexter w czarnych szortach opinających jego muskularne nogi sprawiał wrażenie, jakby nie najlepiej czuł się w towarzystwie najbliższej rodziny.

Barton junior, autentycznie ucieszony moim przybyciem, szybko powstał i przedstawił mnie zebranym. Jego żona, Jane, blada i w mocno zaawansowanej ciąży, podniosła się ciężko z krzesła, żeby mnie przywitać. Krissy, młodsza siostra Bartona, pretensjonalna blondynka w wieku dwudziestu kilku lat spojrzała na mnie bez zainteresowania. Jej mąż, Fourey Chilcote, bąknął roztargnione: „Miło mi poznać”. Wiedziałam, że Chilcote’owie mieszkają tu na miejscu, w starym domu Mandersonów. Zastanawiałam się, dlaczego nie widziałam ich poprzednio.

Odmówiłam przyjęcia zaproponowanego mi przez Bartona drinka, rzucając zarazem łakome spojrzenie na miseczkę z orzeszkami i przeszłam z Bartonem

do sąsiedniego pokoju. Tim Hexter wezwany przez Bartona kiwnięciem głowy ruszył wolno za nami. Jego tępe rysy przywodziły mi na myśl skojarzenie z głupim, lecz wiernym psem, który właśnie odkrył, że jego pan nie żyje.

Na niskim koktajlowym stoliku rozłożyłam listę pozycji terminowych Barta Hextera, wyjaśniając wynegocjowane szczegóły planu ich likwidacji.

Widziałam, że większość z tego, co mówię, nie dociera do moich słuchaczy. Barton i jego kuzyn Tim znajdowali się w stanie emocjonalnego szoku, który blokował bodźce dopływające z zewnątrz, by móc przywrócić wewnętrzną równowagę psychiczną.

— Więc nie ma tu nic, co mogłoby mieć jakikolwiek związek z tym, co się stało? — zapytał wreszcie Barton, sprawiając wrażenie człowieka, który usiłuje coś dostrzec we mgle.

— Nic. Nie znaczy to jednak, że później coś jeszcze nie wyjdzie. Carl Savage udał się właśnie do Merca, żeby sprawdzić stan rachunków twojego ojca na tamtej giełdzie.

— Ojciec był członkiem nie tylko Merca, ale i również NYFE, COMEX, nawet takich małych giełd jak Mid-America, gdzie prowadził transakcje tylko na cudzy rachunek. We własnym imieniu i na własny rachunek zawierał tylko te, na których znał się najlepiej, to znaczy pszenica, kukurydza, soja i zawsze na CBOT.

— Savage twierdzi, że gdy tylko klienci waszego biura maklerskiego dowiedzą się o śmierci ojca, przeniosą rachunki gdzie indziej. Chce, żebyś poprowadził biuro.

— Ja?! — zawołał Barton. — Nie ma mowy. Nie jestem biznesmenem.

— Tylko na pewien czas, dopóki sprawy się jakoś nie ułożą.

— Ja mam pracę badawczą, zajęcia ze studentami. W przyszłym tygodniu muszę im wpisać zaliczenia. Nie mogę przecież tego wszystkiego tak po prostu rzucić.

— Głupio mi, że akurat dziś tak cię naciskam, ale jutro rano na giełdach znów będzie się handlować jak co dzień.

— Już to słyszałem od Kurlandera — warknął ze zniecierpliwieniem Barton, zrywając się z miejsca. — Bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie, chciałibyście, żebym to wszystko przyjął. Ale mnie pieniądze nie interesują. Jestem zadowolony z życia, które prowadzę. Nie mam ochoty brać na siebie takiej odpowiedzialności.

— Więc jeśli nie ty, to kto dalej poprowadzi interes? — zapytałam tonem, jakim się mówi do małego dziecka, żeby mu uzmysłowić nierozsądek jego uporu. — Carl Savage również nie chce takiej odpowiedzialności. Jego zadaniem jest koordynacja pracy maklerów i pilnowanie, żeby zlecenia były właściwie wypełniane. — Zwróciłam się teraz do Tima. — A pan? Pan by nie mógł tymczasowo pokierować pracą biura, dopóki nie znajdzie się jakieś rozwiązanie na dłuższą metę?

Tim uniósł się nieco na krześle, zarumienił się i zaczął jąkać w popłochu.

— N... nnie.... ja nie. Ja jestem tylko chłopcem na posyłki. Próbowałem kiedyś spekulacji, kilka lat temu. Bez powodzenia, straciłem pieniądze.

— Wszyscy inni w Hexter Commodities zajmują się promocją sprzedaży — ciągnęłam nieubłagane, patrząc na Bartona. — To tylko faceci, którzy dzwonią do dentystów w Dubuque i przekonują ich, że mogą zarobić fortunę na handlu kontraktami terminowymi. Przykro mi, jeśli rzeczywiście mówię jak Kurlander, ale fakt pozostaje faktem. To tobie ojciec zostawił firmę.

— A ja jej nie chcę — odparł zgorzkniałym głosem Barton.

— Spójrz — powiedziałam, podnosząc wydruk komputerowy z Izby Rozrachunkowej. — Sto siedemdziesiąt cztery kontrakty na zakup ośmiuset siedemdziesięciu tysięcy buszli styczniowej pszenicy po piętnaście tysięcy dolarów za kontrakt. To zobowiązanie warte jest dwa miliony sześćset dziesięć tysięcy dolarów, a to tylko jeden z rynków. Wystarczy, że cena spadnie o pięć centów, a strata wyniesie czterysta trzydzieści tysięcy dolarów. A teraz mi powiedz: kto ma podejmować takie decyzje?

Rozdział 5

Zamieszkiwanie w Hyde Parku jest jednym z moich starych aktów rebelii wobec rodziny. Tutaj, w sąsiedztwie University of Chicago, laureaci Nagród Nobla, studenci i naukowcy ze wszystkich stron świata mieszają się z bukmacherami, policjantami, drobnymi złodziejaskami, oszustami ubezpieczeniowymi i wyznawcami przywróconych do życia religii afrykańskich. W jego granicach można napotkać obszary okazałego luksusu, jak i marne, brudne bloki mieszkalne, są tu rezydencje i muzea. W nowoczesnych laboratoriach produkuje się narkotyki, a ćpuny konsumują te produkty przemysłu farmaceutycznego na pustych placach.

Dzielię mieszkanie z Claudią Stein, przyjaciółką ze studiów, obecnie chirurgiem w szpitalu przy University of Chicago. Podobnie jak wszystkie budynki po tej stronie bulwaru Hyde Park nasz okazały dom został wybudowany w latach dwudziestych. Pokoje są wielkie, z sufitami na wysokości dwunastu stóp i tak finezyjnymi detalami dekoracyjnymi, że każdy yuppie natychmiast wpada w zachwyty na ich widok. Ludzie, którzy się tu po nas wprowadzą z pewnością przywrócą to miejsce do należnej mu świetności — wyposażą kuchnię, wyczyszczą boazerie, przelożą i wypolerują parkiety. A na razie Claudia i ja upchnęliśmy tu trochę przypadkowych starych mebli i nazwałyśmy to miejsce domem.

Weszłam do mieszkania i skierowałam się prosto do kuchni, w równej mierze wiedziona tam optymizmem co głodem. Otworzyłam drzwi lodówki. Jej wnętrze powitało mnie widokiem dwóch butelek wody Evian, ząbkiem czosnku dość niejasnego pochodzenia — ponieważ ani ja, ani Claudia nigdy tu nie gotowałyśmy obiadu — oraz w połowie wypróżnioną butelką wina. Co do zamrażarki nie miałam złudzeń. Nie było w niej czego szukać.

Otworzyłam butelkę wody i udałam się do living roomu, żeby sprawdzić, czy na automatycznej sekretarce nie ma jakichś wiadomości.

„Katarzyno Anno Prescott Millholland, mówi twoja matka”, rozległ się głos, gdy tylko umilkł pisk przewijanej taśmy. Matka nigdy nie była wobec mnie szczególnie czuła, ale kiedy używała wszystkich moich imion, wiedziałam, że szykują się problemy. Zagłębiłam się w ogromnym fotelu, czując na plecach ciarki oczekiwania. „Właśnie rozmawiałam telefonicznie z twoim przyjacielem Stephenem Azzorini — ciągnął nagrany głos mojej mamy. Wyobrażasz sobie moje zdziwienie, kiedy się dowiedziałam, że nie zaprosiłaś go na dzisiejszą kolację. Jak można tak nie myśleć?”

Choć pytanie było retoryczne, mogłam na nie odpowiedzieć. Na początku tygodnia dzwoniłam do Stephena, żeby go zaprosić — nie, żeby go błagać, by poszedł ze mną na kolację do moich rodziców — ale był wtedy w interesach w Los Angeles. Kiedy wrócił, ja wyjechałam do Phoenix na negocjacje w Cragar Industries. Kiedy wróciłam, Hexter tak mnie wściekł odwołaniem spotkania, że po prostu zapomniałam....

Po krótkim pipnięciu odezwał się głos Stephena: „Cześć, Kate. Wyszło trochę niezręcznie z twoją mamą. Wygląda na to, że spodziewa się nas na kolacji. Mam, co prawda, spotkanie z szefem działu badań na hematologii, ale mógłbym po ciebie wpaść za piętnaście siódma. Mam nadzieję, że nie narobiłem ci kłopotów. Do zobaczenia”.

Spojrzałam na zegarek. Była za dwadzieścia szósta. Słuchając reszty nagrań, zrzucalam z siebie odzież. Dzwonił jeszcze ktoś do Claudii, z propozycją sprzedaży miejsc na cmentarzu oraz reporter z *Knight Ridder* i jeszcze jeden z *The Wall Street Journal*, obydwaj w nadziei otrzymania jakichś informacji o Hexterze.

Właściwie to nie miałam już czasu, żeby biegać, ale jednak wskoczyłam w spodnie od dresu i brudny podkoszulek, leżące na podłodze mojej garderoby. Zawiązałam buty i wybiegłam na zewnątrz. Sprintem przecięłam park, pokonałam most dla pieszych przy Pięćdziesiątej Pierwszej i dalej ruszyłam ścieżką rowerową biegnącą wokół jeziora. W parku nadal było mnóstwo ludzi, choć słońce już się chowało i robiło się chłodno. Przeciskając się między rowerzystami, biegłam na południe, okrążając półwysep Point, przebiegłam most dla pieszych przy plaży koło Pięćdziesiątej Siódmej. Przy Muzeum Nauki i Przemysłu zmęczeni turyści wlekli się przez parking, ciągnąc za sobą wykończone dzieci. Zmusiłam się, żeby wbiec na schody tak szybko, jak tylko mogłam. Następnie, ciężko dysząc, zrobiłam kilka skłonów i ruszyłam do dalszego biegu, żeby pokonać dzielące mnie jeszcze od domu sześć przecznic.

Wzięłam znacznie krótszy prysznic, niż miałabym ochotę. Powodowana rosnącą niechęcią do tej wizyty oraz żalem, że musiałam sobie odmówić dłuższej kąpieli, wypiłam szklaneczkę chivas z lodem. Ociekając wodą, owinięta w ręcznik, weszłam na pobjowisko, którym była moja garderoba, w poszukiwaniu czegoś do włożenia. Dla bezpieczeństwa wybrałam czarne wełniane spodnie i bluzkę z białego jedwabiu. Kiedy Stephen zadzwonił do drzwi, byłam już ubrana, uczesana i po dwóch szklaneczkach whisky, a także pogodzona z losem,

który mnie zmuszał do wzięcia udziału w kolacji w domu moich rodziców.

Otworzyłam drzwi i Stephen wszedł do środka tak, jak gdyby był właścicielem mieszkania. Zawsze lubił ostentację. Ze swoim wzrostem sześciu stóp i pięciu cali, ciemnymi włosami i greckim profilem przyzwyczaił się, że zwracano na niego uwagę. Będąc prezesem własnej firmy farmaceutycznej, nauczył się robić użytek ze swojej urody i siły osobowości.

Odkąd ukończyliśmy szkołę średnią, nasze drogi życiowe często się ze sobą splatały. Bywało, że zapomniałam, iż jest taki przystojny, ale zawsze znalazł się ktoś, kto mi zaraz o tym przypominał. Kobiety gapią się na niego na ulicy. Kelnierki zapominają języka w gębie na jego widok. Mężczyźni przyglądają się nam i czytają z ich twarzy, co myślą — że mógł lepiej trafić.

Nie będę zaprzeczać, że łączy nas pociąg fizyczny, ale nasz związek opiera się przede wszystkim na obustronnej wygodzie. Zarówno jego, jak i moje życie wypełnia praca i żadne z nas nie miałoby cierpliwości do umizgliwego randkowania czy powolnego budowania zażyłości. Wpasowaliśmy się w dziwną formułę, będącą czymś pośrednim między przyjaźnią a miłością. Jego sekretarka dzwoni do mojej. Obydwie sprawdzają w naszych kalendarzach, a potem uzgadniają, że piętnastego pójdziemy na imprezę dobroczynną Fundacji na rzecz Walki z chorobami Nerek. Często dowiaduję się o tych uzgodnieniach z wypisanego na maszynie rozkładu dnia, który Cheryl, moja sekretarka, zostawia mi codziennie rano na biurku. Tak umówione spotkania na ogół kończą się w łóżku, lecz Cheryl wciąż martwi się niedostatkiem romansu w moim życiu. Ostatnio przy imieniu Stephena na moim kalendarzu spotkań rysuje mi czerwone serduszka.

Stephen wyciągnął się wygodnie na mojej podniszczonej sofie i z małej szkatułki z różowego marmuru, która wraz z książką do botaniki, należąca do Claudii, zbierała kurz na stoliku do kawy, wyjął skręta.

— To już będzie twój ostatni — oświadczył, zwilżając bibułkę i zapalając zapalniczkę.

Pokręciłam odmownie głową.

— Pracuję nad tym — powiedziałam, wskazując na szklanekę z whisky.

— Jesteś chyba jedyną osobą na świecie, która przed wizytą u matki musi się napić.

— Ponieważ na świecie nie ma innej Astrid Millholland — odparłam. — Makijaż zrobię w dwie minuty.

— Niepotrzebny ci makijaż — powiedział Stephen, przyciągając mnie do siebie.

Zawsze zdumiewa mnie to elektryzujące napięcie, jakie razem wytwarzamy. Nie wiem skąd w nas tyle energii, że aż iskrzy. Nieświadomość pochodzenia tej siły nie odbiera mi jednak ochoty, by poddać się jej działaniu. Kiedy już żaden guzik nie spinał mojej jedwabnej bluzki, pomyślałam przelotnie, że wolałabym, by Claudia była jeszcze w szpitalu, a nie w drodze do domu. Wypita whisky

usunęła jednak wszelkie zahamowania, a stres związany ze śmiercią Barta Hextera dopełnił reszty, więc nawet nie zaproponowałam, żebyśmy przeszli do sypialni.

Podobnie jak Hexterowie, ja również wyrastałam w domu skrytym przed wścibskim wzrokiem przechodniów. Posesja otoczona jest wysoką kamienną ścianą; drugą zaporę stanowi bariera wiecznie zielonej roślinności, którą trzeba pokonać, żeby w końcu ujrzeć georgiański budynek z czerwonej cegły. Dom moich rodziców to arcydzieło sztuki architektonicznej — obszerny, przytulny i pełen pięknych przedmiotów. Odkąd go opuściłam, zdążyłam już nabrać na tyle dystansu, by móc docenić energię mojej mamy i jej umiejętność dokonywania perfekcyjnego wyboru — czy to właściwego obrazu, czy unikatowego mebla. Mając już za sobą doświadczenia życia niezależnego, potrafię docenić jej osiągnięcie, którym jest wykreowanie tego piękna. Jednak wspomnienia kłótni i pijackich scen mącą mi ten obraz.

Ojciec przywitał nas w drzwiach z nieodłączną szklaneczką dżinu z tonikiem. Musnął mnie w policzek i podał Stephenowi rękę. Stephen mamę tolerował, ale do ojca czuł autentyczną sympatię. Mama z kolei tolerowała Stephena, ponieważ zdążyłam jej już uświadomić, że stać mnie na coś znacznie gorszego, przynajmniej w jej oczach. Ostatecznie, byłam już żoną człowieka o nazwisku Dubrinski, zmuszając ją tym samym do witania gości na przyjęciu weselnym wespół z krawcem imigrantem i jego żoną.

Podążyliśmy za tatą do biblioteki, gdzie zrobił nam koktajle. Rzuciłam się na tacę z krakersami i serem, a panowie omawiali wydarzenia sportowe — zaczęli od baseballu, przerzucili się na hokej, a potem na siatkówkę, by po chwili znów wrócić do baseballu.

— Wiesz przecież, że ser ma w sobie dużo tłuszczu — powiedziała wyniośle od drzwi moja mama.

— Dlaczego więc go podajesz? — odpaliłam. Odkąd pamiętam, zawsze się z matką o coś spierałam.

Moja mama jest piękną kobietą, zajęta głównie byciem Astrid Millholland. Niezmordowanie oddaje się różnym dobroczynnym akcjom, czyniąc z ubierania się sztukę i z żelazną dyscypliną kontrolując swój wygląd w lustrze. Po dwudziestu dziewięciu latach małżeństwa nadal waży co do funta tyle, ile ważyła w dniu ślubu. Jej skóra jest jędrna i nieskazitelna, duże oczy tryskają energią. Kasztanowe włosy, gęste i lśniące, a fryzura nieskończenie bardziej stylowa od mojej.

— Jesteśmy tylko rodziną, ale myślę, że mogłaś znaleźć trochę czasu, żeby zrobić choćby lekki makijaż — zganiała mnie mama. — Aż trudno mi uwierzyć, że możesz się tak pokazywać Stephenowi.

— Czy moglibyśmy już zacząć kolację? — zapytałam, zwracając się do ojca.
— Nie jadłam cały dzień.

Te rodzinne wieczory nieraz przybierają całkiem niespodziewany obrót,

szczególnie od czasu, gdy moja młodsza siostra Beth wyjechała do szkoły z internatem. Mama, weteran tysiąca proszonych kolacji, nie ma pojęcia, jak rozmawiać z kimś, kto nie zasiada do stołu w smokingu. Tkwiłiśmy więc wśród sreber i porcelany od Spode'a, usiłując zapęlić jakoś przerwy pomiędzy przystawkami i deserem.

Przy zupie mama wyjawiała nam szczegóły swojego najnowszego projektu dekoracyjnego — zaplanowała całkowitą zmianę wystroju salonu, saloniku muzycznego i solarium.

— Wiem, że to zaszokuje ludzi — wyznała — ale postanowiłam skorzystać tym razem z usług nowego dekoratora. Mimi Ashford brak już pomysłów. Jeden z dekorowanych przez nią pokoi przypomina koszulkę z nadrukiem „Chanel”. Jej styl bardzo łatwo rozpoznać, wszędzie powtarza pewne elementy, jak choćby te kunsztownie upięte kotary i frędzle, które mamy w saloniku muzycznym. No i jest strasznie nieelastyczna. Kiedy jadłyśmy ostatnio razem lunch, powiedziałam, że byłoby cudownie, gdyby jeszcze gdzieś w salonie znalazło się miejsce, żeby postawić drinki. Mimi spojrzała na mnie krytycznie i stwierdziła: „Żadnych stolików do kawy. Kropka”. Dlatego postanowiłam wypróbować tego nowego dekoratora, Gordona jakiegośtam. Binnie Wadsworth twierdzi, że nie ma lepszego, w każdym razie on nie zadziera tak strasznie nosa. Poza tym od jutra będzie miał znacznie więcej czasu. Wiem, że miał zmienić wystrój sali balowej u Hexterów. Nie wydaje mi się, żeby po tym wszystkim Pamela nadal miała zamiar to robić.

— Słyszał pan już najnowszą wiadomość? — spytał ojciec, zwracając się do Stephena. — Ktoś zastrzelił Barta Hextera. Zabił go na podjeździe do domu.

— Dzwoniła dziś do mnie po południu Miriam i opowiedziała mi o tym — wtrąciła mama. — Jedna z jej służących ma siostrę, która pracuje u Hexterów. Cała ta pochodząca z zagranicy służba jest ze sobą spokrewniona. To oburzające, jak bezczelnie poczynają sobie obecnie złodzieje. Miriam zastanawia się, czy nie założyć wokół posesji ogrodzenia pod napięciem i nie skorzystać z usług jednego z tych przedsiębiorstw, które wypożyczają psy do ochrony.

— Myślę, że to nie włamywacz go zastrzelił — powiedziałam.

— Dlaczego tak uważasz? — zażądała wyjaśnień mama. — Miriam mówi, iż dowiedziała się od Sissy Linder, że już od kilku tygodni bandy rabusiów plądrują okolicę.

— Bart Hexter był moim klientem. Znalazłam się w jego domu zaraz po tym, jak został zastrzelony.

Stephen, który już o tym słyszał po drodze w samochodzie, z uprzejmości musiał teraz ponownie wysłuchać opisu tego, co się dziś wydarzyło.

— W końcu Bart Hexter oszukał niewłaściwą osobę — zawyrokował mój ojciec z twarzą zaróżowioną od dżinu.

— Nonsens — stwierdziła mama. — Ludzie, którzy inwestują w transakcje terminowe spodziewają się, że zostaną oszukani.

— Nie oszukani, mamó — zaprotestowałam z lojalności wobec mojego

klienta. — Ludzie, którzy spekulują, muszą się liczyć z możliwością strat. Wiedzą, że to ryzykowny biznes.

— Żył jak ladaco ten Irlandczyk i w końcu się dograł — stwierdził mój ojciec.

— Jaki on był? — zapytał Stephen.

— Nie całkiem z naszej sfery — pospieszyła z charakterystyką mama. — Ogromnie lubił się afiszować swoim bogactwem. Pamela robiła co mogła, żeby poskramiać jego zapędy, ale Bart musiał mieć wszystko największe i najwspanialsze. To naprawdę było dla niej męczące. Oczywiście ludzie tolerowali go z uwagi na nią, ale nigdy nie traktowano go jak swojego.

— Czy byli ze sobą szczęśliwi? — zapytałam.

— Szczęśliwi? — powtórzyła mama, jakby niezbyt dobrze znała to słowo. — Kto to może wiedzieć, czy jakieś małżeństwo jest szczęśliwe? Bez wątplenia starali się sprawiać takie wrażenie na zewnątrz, ale Bart był człowiekiem o bardzo gwałtownym charakterze i wiem, że często dochodziło między nimi do sprzeczek. W sobotę wieczorem byli na przyjęciu w klubie i też się pokłócili. W każdym razie Gladys i Elmer Cranshawowie musieli podwieźć Pamelę do domu. Tak ogólnie jednak chyba wszyscy się zgadzają, że układało się między nimi nie najgorzej.

— Pamela — dodał ojciec — zawsze stroiła fochy. Założę się, że wszyscy uważali, iż nigdy nie wyjdzie za mąż. Możliwe, że Bart nie okazał się księciem z bajki, ale z pewnością sprawił, że zaczęła się pokazywać między ludźmi. Mandersonowie to dziwni ludzie. Jej ojciec, Sterling, był gburem i zarozumiałcem.

— Bez względu na to, co ludzie sądzili o Barcie, jestem pewna, że dla Pameli to musiało być coś okropnego — powiedziała mama. — Jakie żenujące. Trudno sobie wyobrazić coś bardziej w złym guście, niż dać się zastrzelić.

Kiedy wróciłam do domu, ujrzałam moją współmieszkankę leżącą na podłodze w salonie. Ubrana w swoje zwykłe łaszki w kolorze chirurgicznej zieleni, miała na głowie słuchawki. Przewód łączący je z aparaturą stereo wił się jak wąż.

— Ciężki dzień?! — krzyknęłam.

Claudia otworzyła oczy, powoli wstała i przykręciła głośność w aparacie. Była to niewielka kobieta, mierzyła zaledwie pięć stóp wzrostu, lecz emanowała z niej siła niewspółmierna do drobnego ciała.

— Miałaś ciężki dzień? — zapytałam ponownie.

— Potworny — odparła moja współmieszkanka. — Albo i jeszcze gorszy...

— Co się działo?

— Wszystko to, co zwykle, tyle że dwa razy więcej. Najpierw dwóch młodych chłopaków, którzy za pomocą kuchennych noży usiłowali rozstrzygnąć spór o ukradziony magnetofon. Jeden z nich prawie się wykrwawił, nim go

przywieźli. Kiedy już ich przygotowano do zabiegu chirurgicznego, jakiś geniusz postawił ich łóżka obok siebie na bloku operacyjnym, a wtedy ten bardziej żywotny zerwał się i, brocząc obficie krwią, rzucił się na drugiego, próbując go udusić. Zaraz potem przysyłają mi sześćdziesięcioletnią Portugalkę ze złamaniem kości piszczelowej. Ortopeda źle oznaczył zdjęcie rentgenowskie, więc najpierw otwarłam niewłaściwą nogę. Kiedy skończyłam z Portugalką, pędzę operować pęknięty wyrostek robaczkowy, by zaraz potem asystować przy wariackim cerowaniu osiemdziesięciodwuletniej kobiety potrąconej przez autobus; trudno było u niej znaleźć organ, który by nie krwawił. W końcu, kiedy się wydawało, że już się obrobiliśmy, znowu przywożą Portugalkę ze złamaną nogą. Podczas przemieszczania pacjentów na sali pooperacyjnej, dyżurna pielęgniarka na moment wystawiła kobietę na korytarz, gdzie wpadł na nią jeden z tych wielkich wózków, którymi rozwozi się żywność. Portugalka spadła z łóżka, rozbiła sobie czoło i złamała nos oraz obydwie ręce. Ciągnęliśmy potem losy, kto ma o tym powiedzieć rodzinie. Wypadło na mnie.

— Niesamowite.

— Jeszcze ci nie opowiedziałam o żółtym facecie.

— Co to za żółty facet?

— Żółty facet jest niemal stałym pacjentem szpitali uniwersyteckich. Pięćdziesiąt osiem lat, biały, chory na marskość wątroby. Jest to tak ekstremalny przypadek, że choroba spowodowała u niego zażółcenie skóry i jeszcze w dodatku kompletnego świra. Z pewnością go widziałas. Sypia pod wiaduktem przy Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Cały czas nosi czerwony kask hokejowy, ponieważ kiedy dostaje napadów, wali głową w co popadnie. Z powodu ostrego zapalenia przelyku trzymali go na oddziale intensywnej terapii. Żeby już nie przedłużać, powiem ci tylko, że udało mu się wyzwolić z krępujących go więzów i wyskoczyć przez okno z piątego piętra, ale spadł z wysokości jedynie dwóch pięter, bo zleciał na dach porodówki.

— I co mu się stało?

— Połamał sobie wszystkie kości, ale głowę ma całą, ponieważ ochronił ją kask. Poskładaliśmy go i odesłali z powrotem na oddział intensywnej terapii.

— Dzień rzeczywiście miałaś potworny — przyznałam.

— A tobie jak minął?

— Dopóki mi nie opowiedziałas, co się u ciebie działo, wydawało mi się, że był niezwykle emocjonujący — odparłam. — Udałam się na spotkanie z klientem, ale kiedy przybyłam na miejsce, okazało się, że mój klient został zamordowany.

— Żartujesz! — zawołała Claudia. — Co się stało?

Opowiedziałam Claudii o zabójstwie Barta Hextera. Robiłam to już nie pierwszy raz, więc relacja poszła mi całkiem zgrabnie.

— I na pewno nie był to wypadek? — spytała Claudia, kiedy skończyłam.

— Czyżbyś przypuszczała, że mógł wsiąść w piżamie do swojego rollsa i zajechać na skraj podjazdu tylko po to, żeby tam wyczyścić pistolet?

- No tak, jasne... A co rodzina na to? Nie uważają, że to mogło być samobójstwo?
- Jak na razie wszyscy są zbyt dobrze wychowani, żeby dyskutować o takich sprawach. Kiedy jednak rozmawiałam z jego żoną, była pewna, że nie targnął się na życie. Powiedziała jeszcze, że nigdzie nie znaleziono żadnego listu pożegnalnego.
- Tylko co drugi samobójca zostawia taki list — odparła moja współlokalka. — Studiując medycynę, można się czasem dowiedzieć ciekawych rzeczy.
- Może policja w końcu coś ustali — westchnęłam.
- Nie doceniasz policji — upomniała mnie Claudia. — Przez naszą izbę przyjęć na ostrym dyżurze przewija się sporo detektywów z wydziału zabójstw. Rzadko kiedy coś ujdzie ich uwagi.
- Może i niewiele uszło uwagi detektywa z wydziału zabójstw, który mnie dziś przesłuchiwał, ale za to był wyjątkowo niemily.
- To dlatego, że jesteś podejrzana, ty idiotko. Z tobą nie musiał się patyczkować.
- Nie bądź śmieszna. Nie ma powodu, żeby mnie o cokolwiek podejrzewać.
- Czy oni was tam niczego nie uczą na tych studiach prawniczych? Przecież sama mi powiedziałaś, że byłaś pierwszą osobą, która pojawiła się na miejscu zbrodni. W dniu, kiedy Hexter został zabity, miał się spotkać właśnie z tobą. Jestem pewna, że na policyjnej liście jesteś podejrzaną numer jeden.
- Oj przestań — powiedziałam. — Lepiej mnie nie strasz. I tak mam zbyt wiele spraw na głowie. Nie mam czasu, żeby być podejrzaną w sprawie o morderstwo. A tak, à propos, to co by powiedzieli twoi rodzice, gdyby słyszeli, jak bardzo cenisz policję? — Rodzice Claudii byli profesorami na nowojorskim uniwersytecie. Choć siwowłosi, należeli do grona żydowskich radykałów intelektualistów, niechętnych wszelkiej władzy.
- Ja tylko powiedziałam, że policjanci z wydziału zabójstw na ogół mają głowę na karku. Z policjantami jest podobnie jak z hydraulikami — niektórzy są dobrzy, ale większość zła. Sporą część czasu spędzam na zaszywaniu różnych dziur w ludziach, których mogliby nie mieć, gdyby tylko policjanci właściwie wywiązywali się ze swoich obowiązków. Wiesz, co się mówi o policjantach w izbie przyjęć ostrego dyżuru?
- Co?
- Zadzwoń po policjanta i po pizzę. Ciekawe, co przyjedzie najpierw.

Rozdział 6

Gięda Chicago Board of Trade rzuca długi cień na wawóz biurowców stojących przy LaSalle, chicagowskiej wersji Wall Street. Ze szczytu jej piramidalnie ukształtowanego dachu brązowa statua Ceres — rzymskiej bogini zasiewów — góruje niewzruszenie nad codziennym zgiełkiem parkietu transakcji terminowych. Ukryte za fałdami jej tuniki anteny satelitarne przekazują na cały świat zmieniające się ceny towarów.

Już od wczesnego rana urzędowaliśmy z Bartonem juniorem, Carlem Savage'em i Timem Hexterem w zadymionej sali konferencyjnej, znajdującej się w sąsiedztwie parkietu, na którym dokonywano transakcji. Tim wydawał się dzisiaj jeszcze bardziej niż poprzednio zagubiony i oszołomiony. Po kolei wzywaliśmy maklerów parkietowych, żeby przeprowadzić likwidację pozycji terminowych Barta Hextera. Trochę później Bart junior miał wystąpić przed zespołem pracowników Hexter Commodities. Miał również pozostać w biurze większą część dnia, by pomagać w podejmowaniu ważnych decyzji. Wyrażano przy tym nadzieję, że jego fizyczna obecność zostanie odebrana przez inwestorów jako sygnał ciągłości rodzinnej tradycji i oddania sprawom firmy.

Kiedy skończyliśmy rozmowy z maklerami parkietowymi, Barton skorzystał z wolnej chwili, żeby przygotować treść wystąpienia. Ja wymknęłam się na górę, na galerię dla publiczności, żeby obserwować otwarcie handlu na ringu sojowym. W Chicago ringi na parkiecie uważa się za miejsca niemal mityczne, ale w rzeczywistości nie ma w nich nic szczególnego. Bez względu na to, czym w danym ringu się handluje, każdy wygląda tak samo; ośmiokątne podwyższenie, pokryte czarną gumą, która ma chronić przed poślizgiem, tłumić hałas i dawać stopom poczucie komfortu.

Z punktu obserwacyjnego nad salą transakcyjną mogłam się przyglądać zielonym marynarkom kontrolerów, niektórzy z nich byli na nogach już od czwartej

rano, pracując nad komputerowymi wydrukami piętrzącymi się w stosach na składanych stolikach znajdujących się obok ringu. Codziennie rano sprawdzają, czy w wydrukach transakcji nie ma błędów. Wszelkie nieścisłości w zestawieniach kupna i sprzedaży z poprzedniego dnia muszą być usunięte przed otwarciem sesji. Kiedy zbliża się pora otwarcia, maklerzy zaczynają niecierpliwie krążyć wokół sali transakcyjnej, czekając, aż kontrolerzy zakończą pracę.

Ring sojowy już był wypełniony. Zajmowali go głównie pomocnicy maklerów, wielu z nich wyglądało na kilkunastoletnich chłopców. Ich zadaniem było zarezerwować danemu maklerowi dobre miejsce w ringu. Zwykle ci młodzi ludzie większość dnia spędzają na rozwiązywaniu krzyżówek i zabawianiu się przenośnymi gramami komputerowymi, ale dziś jak jeden mąż studiowali gazety, w których pisano o śmierci Hextera.

W ringu obowiązują ściśle zasady doboru koloru odzieży, co nie ma związku z estetyką, lecz ułatwia orientację. Maklerzy noszą marynarki podobne w kroju do tych, w jakich widuje się chłopców sprzedających wodę sodową, w kolorze zarezerwowanym dla firmy maklerskiej, którą reprezentują. Na przykład, maklerzy reprezentujący biuro maklerskie Merrill Lynch noszą marynarki w kolorze ciemnozielonym, maklerzy od Dellshera jasno-błękitne, a reprezentujący Hexter Commodities czarne. Gońcy noszą złote. Ci posłańcy biegają pomiędzy obserwatorami przy telefonach, którzy odbierają zlecenia kupna i sprzedaży, i maklerami w ringach, którzy przeprowadzają transakcje.

Kiedy o ósmej trzydzieści zabrzmiał gong otwierający dzienną sesję, hałas o mało nie zwałił mnie z nóg. W ringu natychmiast rozpoczął się szaleńczy ruch. Patrząc z góry na maklerów w kolorowych marynarkach, zapamiętałam wymachujących rękoma i wrzeszczących ile sił w płucach, miałam wrażenie, że ogarnęła ich psychodeliczny trans. Tego dnia otwarcie sesji przebiegało szczególnie emocjonująco, co częściowo można było przypisać wiadomości o śmierci Hextera.

Doug Wirtman spekulował soją dla Hexter Commodities. Dostrzegłam go w jego zwykłym miejscu, na szczytowym stopniu ringu. Do kieszeni czarnej marynarki miał przypiętą błyszczącą kartę identyfikacyjną z dużymi literami BART. Wirtman był przystojnym ekspilkarzem, który grał dwa sezony w zawodowej lidze piłki nożnej, zanim przerwiał się na poważniejszą grę w ringu sojowym. Nic w jego zachowaniu nie zdradzało, że jego pracodawca dopiero co rozstał się z tym światem. Doug był absolutnie skoncentrowany. Obie ręce trzymał nad głową z dłońmi odwróconymi na zewnątrz, sygnalizując chęć sprzedaży.

Ring w sali transakcyjnej to nie jest miłe miejsce pracy. Potworny hałas z czasem odbija się na słuchu pracujących tu ludzi. Starzy wyjadacze nabawiają się lekkiej formy głuchoty, nazywanej głuchotą parkietową, a ich głosy od wieloletnich wrzasków stają się szorstkie. Samo fizyczne przybywanie w ringu również jest wyczerpujące, niesie konieczność stałego, nieprzerwanego kontaktu z

innymi ludźmi, jak przy grze w koszykówkę. Czasami ring aż się chwije pod naporem giełdowych spekulantów.

Ringi to świat mężczyzn, gdzie przewagę mają silni, duzi i krzykliwi. W żargonie giełdowym wiele jest elementów seksualnych. Rynek można „podmasować”, „połaskotać” albo „wydmuchać”, można się też „rozłożyć” lub „przerznąć”. Wszyscy tu wiedzą, że , jak się włoży i nie wyciągnie, kiedy się idzie pod prąd, to się ma przerypane”.

W ringach nie ma miejsca na uprzejmości. W maniakalnej pogoni za zyskiem brak czasu na podanie dłoni, powiedzenie „dziękuję” czy „przepraszam”. Maklerzy rozpychają się łokciami, roztrącają, duka pięściami i depczą sobie po palcach. Wykrzykując oferty, opluwają się śliną. Fechtują ołówkami jak orężem.

Ringi są również miejscem, gdzie mężczyźni tacy jak Bart Hexter przychodzą, by móc sprawdzić, co potrafią osiągnąć... i słuchają codziennie, od rana do wieczora, jak rynek ocenia ich wartość.

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się w oczy, kiedy się wchodziło do gabinetu Barta Hextera, był tygrys bengalski, jakby szykujący się do skoku. Hexter zastrzelił zwierza na safari i dał go do wypchania. Przesłanie dla gości było jasne. „Jeśli nie bałem się tygrysa, nie myśl, że boję się ciebie”.

Barton junior przemówił do zgromadzonych pracowników zza biurka, za którym przez lata siadywał jego ojciec. Powody ku temu były zarówno symbolicznej, jak i praktycznej natury. Chcieliśmy, by odebrano to jako przejaw rodzinnej kontynuacji. Szefem Hexter Commodities nadal jest Hexter. Praktycznie zaś gabinet Hextera był jedynym miejscem, które mogło pomieścić wszystkich, oddalonym od nieustannie dzwoniących telefonów i tablic z cenami.

Barton wyglądał dziś starzej, bruzdy na jego sposepniętej twarzy pogłębiły się. Z czarnymi, zaczesanymi do tyłu włosami tak bardzo przypominał ojca, że jestem pewna, iż nie byłam jedyną osobą, którą to podobieństwo przyprawiało o drżenie.

Mówił spokojnie, z pewnością siebie człowieka obytego z salami wykładowymi, jego dobrze postawiony głos docierał nawet do stojących na palcach w połowie korytarza gońców w złotych marynarkach. Poinformował o śmierci ojca i konieczności współpracy z policją. Rzeczowym, pozbawionym egzaltacji głosem podkreślał znaczenie lojalności pracowników wobec firmy i swoją determinację utrzymania Hexter Commodities.

Stałam obok Bartona, kiedy przemawiał. Cieszyłam się, że tak elegancko potrafił podejść do sprawy, dla której miał tak mało serca. Tim Hexter, siedzący w pierwszym rzędzie słuchaczy wyglądał na mocno przybitego. Był jedynym dzieckiem starszego brata Barta, Billy’ego, i w jego fizjonomii również zaznaczały się charakterystyczne cechy Hexterów. I tak jak wszyscy mężczyźni w tej rodzinie wyróżniał się mocną budową i dużymi jak wiosła dłońmi. Jednak nie

dostawało mu tej energii, która emanowała z jego kuzynów. Sprawiał wrażenie przyciężkawego i dość tępego.

Spekulowanie kontraktami terminowymi to szczególny biznes, gdzie ojcowie i synowie pracują ramię w ramię, złączeni żelaznymi okowami krwi i pieniędzy. Skoro Bart nie mógł zwabić syna do rodzinnego biznesu, to chociaż wciągnął do niego bratanka pomimo jego intelektualnych ograniczeń, czyniąc z niego powiernika swoich sekretów.

Siedząca obok Tima elegancka, korpulentna kobieta łkała, ocierając sobie oczy chusteczką. Była to wieloletnia sekretarka Barta Hextera — pani Titlebaum. Jak dotąd nie zauważyłam, żeby ktoś ronił łzy po jego śmierci.

Kiedy tylko Barton skończył, większość pracowników Hextera powróciła natchmiasz na parkiet, część personelu administracyjnego pozostała, by złożyć Bartonowi kondolencje. Usunęłam się na bok, żeby nie przeszkadzać.

Zwróciłam uwagę na młodą kobietę stojącą w pobliżu drzwi. Na czarnej sukience nosiła złoty żakiet gońca i w przygnębieniu opierała się o ścianę, z rękoma splecionymi przed sobą. Ciemne włosy okalały jej niezwykle piękną twarz. Miała nieskazitelną skórę, wystające kości policzkowe oraz pełne, idealnie zarysowane usta. Jej oczy, tak głębokie, że mężczyzna mógł w nich utonąć, były jakby przymglone i przysłonięte długimi rzęsami.

Podeszła do niej inna kobieta — około czterdziestki, o rudych, upiętych w kok włosach, niezwykle elegancka, w śmiałym lawendowym kostiumie. Ich rozmowa — jeśli to można tak nazwać, bo młodsza kobieta nie odezwała się ani słowem — była krótka i zwięzła. Ruda powiedziała tylko kilka zdań, ale kiedy się odwróciła, na jej twarzy malował się złośliwy triumf. Młodsza stała nieruchomo, dopóki tamta nie zniknęła jej z oczu. Wtedy bliska płaczu wybiegła na korytarz.

— Ojciec uwielbiał ten widok — powiedział Barton junior, patrząc przez znajdujące się naprzeciw biurka ojca szerokie okno wychodzące na LaSalle Street. — Jestem pewien, że siedząc tutaj, wyobrażał sobie, iż jest królem giełdy.

Sekretarka przyniosła nam kawę i wróciła za swoje biurko. Na jej twarzy nadal widać było ślady łez.

— Co za ironia losu. Czy wiesz, czego mój ojciec pragnął najbardziej? — zapytał Barton.

— Czego?

— Chciał, żebym u niego pracował. Podczas ostatniego spotkania nawet się o to pokłóciliśmy. W piątek byliśmy na kolacji u rodziców całą rodziną. Kolacja okazała się zupełnym niewypałem. Ojciec się spóźnił, a moje dzieci były głodne i rozbrykane, matka jednak stwierdziła, że poda kolację dopiero, gdy wróci ojciec. A poza tym wszyscy byliśmy trochę poirytowani, bo Margot przyprowadziła ze sobą przyjaciółkę, Brooke.

— A dlaczego to was tak poirytowało? — zapytałam. — Wymawiasz jej imię z takim wyrazem twarzy, jakby to ona była morderczynią.

— Nie chodzi o samą Brooke. Osobiście nawet ją dosyć lubię. Chodzi o to,

że w Święta Bożego Narodzenia Margot oświadczyła, że postanowiła, jak to ujęła „spróbować lesbijskiego stylu życia”. Brooke jest osobą, z którą zdecydowała się to wypróbować. Jeśli Margot jest z tym dobrze, to i ja nie mam nic przeciwko. Rodzice nie są jednak tak liberalni w poglądach. Więc Brooke nie była najszcześliwiej dobranym gościem na tej rodzinnej kolacji. Kiedy w końcu pojawił się ojciec, po jego minie dostrzegłem, że szuka okazji do zwarcia. Czasami taki bywa. Coś go wyprowadzi z równowagi w pracy i wraca wtedy do domu tak naładowany, że musi znaleźć jakiegoś kozła ofiarnego, żeby się na nim wyżąć.

— I tym razem była to Margot?

— Nie. Oczywiście irytowało go, że Margot przyprowadziła Brooke, ale Margot nie daje sobie w kaszę dmuchać i potrafi się odciąć. Ojciec wybrał więc łatwiejszy cel. Mnie. Zaczął od zwykłych lamentów. Wszyscy ludzie, którzy dla niego pracują, to złodzieje. Biorą pieniądze i cały czas obmyślają, jak by mu wbić nóż w plecy, i tak dalej. Ojciec miał zwyczaj przeklinać, zostało mu to jeszcze z czasów, kiedy sam pracował w ringu. Jane, moja żona, nie cierpi takiego plugawego języka, szczególnie w obecności dzieci. Zgadzam się z nią. Nie jest miło, kiedy z przedszkola dzwonią do domu, że mały Peter znowu używał słów zaczynających się na „p”. Więc Jane poprosiła ojca, żeby zwracał uwagę, jak się wyraża. No i wtedy ojciec się wściekł. Zaczął wrzeszczeć na Jane, że nikt mu tu nie będzie robił uwag w jego własnym domu. No cóż. Nie znasz Jane, ale podnoszenie głosu w jej obecności się nie opłaca. Po prostu wstała i powiedziała: „Bardzo dobrze. W takim razie wychodzimy”. W ciągu dwóch minut ubrała chłopców i wyszła. Wstałem, żeby pójść z nimi, ale powinnaś widzieć ten błagalny wyraz twarzy matki...

— Twój ojciec mówił mi, że już raz dla niego pracowałeś.

— Raz wystarczyło.

— Kiedy to było?

— Jakies dziesięć lat temu. Ukończyłem wtedy właśnie pierwszy rok studiów doktoranckich i czułem się jak wypalony wrak. Chciałem gdzieś wyjechać, odpocząć nad morzem. Ale ojciec odebrał to moje zmęczenie jako znak, że widocznie nie zostałem stworzony na matematyka. Nigdy nie rozumiał tego, co robiłem. Wszystko co teoretyczne było dla niego bez znaczenia. Tacy ludzie jak ja, to, według niego, faceci bez jaj, którzy zabawiają się cyferkami. Ojciec wyznawał zasadę, że w życiu nie ma nic za darmo. Powiedział, że jeśli ma płacić za następny rok moich studiów, to muszę popracować dla niego przez wakacje. Ale praca dla niego to wręcz katorga. Nie mam pojęcia, jak ci wszyscy ludzie z nim wytrzymywali. Nigdy nie spotkałem nikogo równie apodyktycznego jak on. Zawsze musiało być dokładnie tak, jak kazał. Nikt nie miał szansy na wykazanie inicjatywy. No i ten jego wybuchowy temperament. Nie wiem, co za diabeł w nim siedział. Oczywiście pamiętam, że jego dzieciństwo nie było idylliczne, ale myślę, że doznawał jakiejś perwersyjnej przyjemności, widząc, jak drżą przed

nim podwładni. Już jako dziecko sporo wycierpiałem przez ten jego wybuchowy charakter i nie miałem ochoty na powtórkę. To wszystko było takie frustrujące. Przez całe życie słyszałem, jak bardzo pragnie, żebym dla niego pracował, jednak kiedy podjąłem tę pracę, nie potrafił się zmusić, żeby mnie traktować inaczej, niż gdy byłem dzieckiem. Oczywiście ojciec odnosił sukcesy, ale widziałem możliwości na jeszcze większe. Często chodziło o proste rzeczy, choćby takie jak uporządkowanie rejestru transakcji, ale ojciec nie cierpiał komputerów. Całe archiwum usiłował trzymać w głowie. Zapisywanie czegokolwiek było dla niego synonimem słabości. Bywał również niewolnikiem swoich przyzwyczajęń. Już wtedy pracowałem nad teorią chaosu i chciałem ją praktycznie zastosować do operacji giełdowych, ale ojciec nie chciał nawet o tym słyszeć. Wolał pozostać przy tym, co znał — handel płodami rolnymi, ring z kłębowiskiem ludzi i terroryzowanie maklerów. Czy wiesz coś na temat chaosu?

— Nie takiego, o jakim mówisz — odparłam.

— To relatywnie nowy obszar zainteresowań matematyki teoretycznej, zajmujący się modelowaniem skomplikowanych systemów, przypominających rzeczywiste. Początkowe opracowania koncentrowały się na przydatności tej teorii do prognozowania pogody, co ma bezpośredni związek z ruchami cen na rynku produktów rolnych. Ale teoria chaosu może mieć zastosowanie w modelowaniu każdego niestabilnego, nieliniowego systemu — choćby takiego, jak same transakcje kontraktami terminowymi. Spójrzmy prawdzie w oczy. Większość z tych facetów, tam na ringu, to niezbyt wykształceni ludzie, którzy dosyć przypadkowo zawierają transakcje. Tu i ówdzie udaje im się wycisnąć trochę dolców, wyprzedzając działania drobnych inwestorów. Jest już jednak kilka biur, gdzie z powodzeniem stosuje się zasady wyższej matematyki do handlu kontraktami terminowymi. Weź chociażby CRT. Tworzy je garstka filozofów i fizyków, którzy opracowali bardzo skomplikowany system spekulacji giełdowej. Okazuje się, że są sto razy skuteczniejsi, niż był ojciec.

— Ale twojego ojca to nie interesowało.

— Jego nie interesowało nic, na co nie mógł mieć bezpośredniego wpływu. Chciał, żebym dla niego pracował, ale nie umiał znaleźć zastosowania dla tego, co mu oferowałem. Wyobrażał sobie, że zostanie jego jeszcze jednym wyrobnikiem i klakierem, jak Tim. Wiesz, jak nazywano Tima, kiedy tam pracowałem? Glista.

— Glista?

— Bo taki z niego był oślizgły sługus. Wiem, że Tim to mój kuzyn i że ojciec dał mu tę pracę, bo to jego bratanek, ale Tim nie ma za grosz talentu do biznesu, jednak, czego ojciec nigdy nie zapominał podkreślić, był wobec niego tak lojalny jak rodzony syn.

— I co zrobił twój ojciec, kiedy porzuciłeś pracę?

— Był wściekły i powiedział, że nie zapłaci chesnego. Udałem się więc do

działu finansowego na uczelni i wyjaśniłem im sytuację, ale tam mnie tylko wyśmiali. „Barton Hexter bez grosza, biedaczysko”. Akurat wtedy Merc zorganizował konkurs na symulowaną grę giełdową, w którym nagrodą było dwadzieścia tysięcy dolarów. Postanowiłem wziąć w nim udział.

— Chodzi ci o te konkursy, gdzie każdy zawodnik startuje z taką samą ilością teoretycznej gotówki?

— I gdzie osoba, która po trzydziestu dniach wykaże się największą zarobioną sumą, wygrywa. Ukończyłem mając o osiemset dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów więcej niż zawodnik zajmujący drugie miejsce. Otrzymałem dwadzieścia tysięcy dolarów i dyplom za zajęcie pierwszego miejsca. Pieniądze wykorzystałem na opłacenie czesnego, a dyplom przesłałem ojcu. Drań kazał go sobie oprawić. Wisi tam nadal, obok fotografii ojca z Bobem Hope'em.

— I co się dalej działo?

— Nic. Wróciłem na studia. W połowie drugiego semestru znowu zaczęły nadchodzić czeki od ojca. Przyjechali z mamą odwiedzić mnie podczas któregoś weekendu i zachowywaliśmy się tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

— To dobrze o tobie świadczy, że mu wybaczyłeś — wtrąciłam, myśląc równocześnie o moich nie najlepszych stosunkach z mamą.

— Wtedy znałem już Jane. To ona pomogła mi nabrać większego dystansu do ojca. Ojciec był tak wielką osobowością, że zawsze wydawało mi się, że traktuje mnie jako kogoś zupełnie nieistotnego w swoim życiu. Jane pomogła mi zrozumieć, że muszę go brać takim, jaki jest i nie przejmować się.

— Miałaś szczęście, że znalazłeś mądrą kobietę.

— Wiem o tym. Ojciec nigdy nie potrafił zrozumieć, co w niej widzę. Wiesz, że Jane jest pianistką i stale współpracuje z Chicagowską Orkiestrą Symfoniczną?

— Wiedziałam, że skądś znam jej twarz! — wykrzyknęłam. — Słyszałam jak gra. W listopadzie ubiegłego roku. Grała jakiś koncert Beethovena. Była znakomita. Niektórzy pianiści usiłują olśnić publiczność techniką. Ona grała inaczej, tak jak gdyby naprawdę głęboko przeżywała tę muzykę. Grała cudownie.

Barton aż pokraśniał z zadowolenia, dumny z osiągnięć żony.

— Sądziłabym, że twój ojciec powinien być raczej zachwycony, że ma tak słynną synową.

— On to widział inaczej. Uważał, że kobieta, podobnie jak moja matka czy siostra Krissy, powinna dbać o swój wygląd i kosztownie się ubierać, by godnie reprezentować swego męża, czytaj: pana i władzę.

— A twoja mama lubi Jane?

— Powiem raczej, że nie czuje do niej niechęci. Mama po prostu nie rozumie kobiet, które są inne niż ona. Przyzwyczaiła się już do Jane, choć myślę, że byłaby bardziej zadowolona, gdybym się ożenił z córką którejś z jej przyjaciółek.

Drzwi do gabinetu Barta Hextera otworzyły się i do środka weszła rudowłosa kobieta w lawendowym kostiumie.

- Ooch... przepraszam — wyjąkała zaskoczona naszym widokiem. — Nie wiedziałam, że ktoś tu jeszcze jest.
- Czy potrzebuje pani czegoś? — zapytał Barton.
- Tylko kilku dokumentów — odparła, wycofując się do drzwi. — Przyjdę później.
- Kto to? — zapytałam, kiedy wyszła.
- Loretta Resch. Jest szefem działu rozrachunkowego. Jeśli wierzyć opowieściom mojej siostry Margot, Loretta była niegdyś kochanką ojca.

Rozdział 7

Po obu stronach mahoniowych drzwi prowadzących do biur kancelarii prawniczej Callahan Ross wznoszą się dwie kolumny z polerowanego marmuru, których nikt by się nie spodziewał na czterdziestym drugim piętrze budynku biurowego w centrum miasta. Legenda głosi, że kupił je od upadającego banku Ewald Callahan, jeden ze współników — założycieli firmy, chcąc przydać nowo powstałej kancelarii aury szacowności. Teraz, oczywiście, szacowność jest autentyczna. Zatrudniając dwustu prawników i posiadając filie w Waszyngtonie, Los Angeles, Atlancie, Londynie, Paryżu i Brukseli firma nierozzerwalnie już zrosła się ze światem biznesu.

W kościelnym mroku holu recepcyjnego można dostrzec wiszącą na ścianie listę współników, przedstawioną w postaci drzewa genealogicznego i oprawioną w złote ramy. Moje nazwisko jest tu najświeższej daty. W lutym tego roku zostałam najmłodszym współnikiem w dziejach szacownej firmy.

Dawniej wyobrażałam sobie, że uzyskanie statusu współnika odbiorę jako jakieś szczególne osiągnięcie, że doznam poczucia wyjątkowej więzi, łączącej mnie z miejscem pracy. Nic takiego się nie zdarzyło, po prostu poznałam tylko od kulis, jak naprawdę zarządza się firmą, oraz uwolniłam się od niemilej dominacji współnika, z którym dotąd współpracowałam jako zwykły pracownik. Oczywiście dostałam również wyższą pensję. Prawnicy, którzy zaczęli pracować w firmie jeszcze przede mną i nie zostali jak dotąd współnikami, traktują mnie z mieszaniną szacunku i goryczy. Zawiesz jest jak kaszel, nie da się jej ukryć. Wspólnicy podchodzą do mnie z sympatią, ale i podejrzliwością. U Callahana współnikami są tylko cztery kobiety, wliczając w to moją osobę, więc sporo słyszę cmokania zarówno nad moim wiekiem, jak i płcią.

Bez wątpienia z rangą wiążą się pewne przywileje. Mój nowy gabinet jest niezwykle przestronny i ma okno wychodzące na zachód. Można przez nie, jeśli się podejdzie bliżej, dostrzec rzekę. Za sąsiada mam słynnego Howarda Acker-

mana. Howard to prawnik legenda — źmija w okularach w drucianych oprawkach i muszce.

Legenda głosi, że kiedyś, występując jako obrońca w poważnej sprawie przeciw jednej z wielkich korporacji, oskarżonej o manipulowanie cenami akcji na giełdzie, w odpowiedzi na mowę oskarżycielską prokuratora Howard powoli wstał, podrapał się w głowę i powiedział: „No tak. Ale nie może pan tego dowieść”. I wygrał. Czasem słyszę go przez gipsową ścianę, która nas oddziela, jak, przygotowując się do rozprawy, wykrzykuje argumenty i sprzeciwy wobec urojonych sędziów i ławy przysięgłych, depcząc zarazem zawzięcie dywan koło biurka.

Drzwi do gabinetu Howarda zawsze są otwarte, kiedy je mijam.

— Słyszałem, że zastrzeliłaś jednego ze swoich klientów, Kate! — zawołał do mnie.

— Nigdy nie należy lekceważyć kobiet — odparłam.

— Następnym razem, kiedy będę cię chciał wkurzyć, przypomnę sobie te słowa — zachichotał.

Weszłam do mojego gabinetu. Rzuciłam aktówkę na biurko, zdjęłam żakiet i zawiesiłam go na oparciu krzesła. Gabinet jest moim azylem. Miejscem, gdzie wszystkie strapienia i smutki muszą ustąpić ciąglemu nawałowi pracy. Nieustanne telefony, sprawdzanie akt, dyktowanie pism — wszystko to składa się na codzienną, wyczerpującą rutynę praktyki w firmie prawniczej. Bez przerwy są jakieś problemy i afery, ale ja na to wszystko spoglądam z komfortowego dystansu, każąc sobie płacić za każde pięć minut fatygi.

Kiedy spojrzałam na mój wypisany na maszynie rozkład dnia oraz na świeżą pocztę, ułożoną stosownie do ważności sprawy, w drzwiach pojawiła się Cheryl, moja sekretarka, z grubym plikiem różnych notatek i dzbankiem kawy. Kiedy pojawiłam się u Callahana, miałam szczęście, że przydzielono mi właśnie Cheryl. Od tamtej pory nie rozstawałyśmy się, instynkt kazał mi się jej trzymać. Cheryl jest najmłodszą z ośmiorga rodzeństwa i pierwszym członkiem rodziny, któremu dane było się kształcić. Cheryl uczęszcza teraz na wieczorowe zajęcia w Prawniczej Szkole Loyoli. W ciągu dnia utrzymuje porządek w moim życiu zawodowym.

Siadła na swoim krześle, naląła dwie filiżanki kawy i otworzyła notatnik.

— Najpierw złe czy dobre wiadomości? — zapytała.

— Pozwól, niech zgadnę — odparłam. — Dzwoniła mama.

— Dzwoniło wielu ludzi — odparła moja wierna sekretarka. — Twoja mama była z nich najmilsza.

— Wielkie nieba! W takim razie zaczynaj.

— Więc tak. Dzwoniło jedenastu dziennikarzy z różnych gazet. Począwszy od *Crain's Chicago Business*, a skończywszy na *Daily Star*. Facet z *Daily Star* oferował mi pięćset dolców, jeśli mu załatwię z tobą wywiad. Kiedy stwierdziłam, że to psie pieniądze zaoferował, że skontaktuje się z wydawcą i zapyta, czy nie dadzą więcej.

— Cieszę się, że znasz swoją wartość.
— Dziękuję. Ken Kurlander dzwonił aż sześć razy. Masz się z nim natychmiast skontaktować, gdy tylko się pojawi.
— A te złe wieści? — spytałam, wiedząc, że Cheryl najgorsze zostawiła na koniec.

— Mam tutaj wezwanie z Biura Prokuratora Okręgowego. Przyszedł tu jakiś przedstawiciel prokuratury, więc zawołałam Skipa Tillmana, żeby przyjął wezwanie w imieniu firmy.

Przekazała mi pismo. Szybko przebiegłam je wzrokiem. Nakazywano mi dostarczyć wszystkie dokumenty dotyczące Hexter Commodities. Jęknęłam. Kiedy przejęłam sprawy Hextera od jego dawnej firmy, przysłali mi dokumenty ciężarówką. Żeby to wszystko skserować, trzeba by kilku tygodni.

— Strasznie im pilno — stwierdziłam. — Przecież zamordowano go nie dalej jak wczoraj. Spróbuj mi znaleźć numer tego prokuratora, który wydał ten nakaz. Chcę, żeby zrozumiał jaka to góra papierów. Może zgodzi się jakoś ograniczyć zakres wezwania.

Cheryl pochyliła się nad notatnikiem.

— To wszystko jest jakieś niesamowite — westchnęła. — Czytałam o tym w gazetach. Musieli go zastrzelić zaraz przed twoim zaplanowanym spotkaniem.

— Tak. Prawdopodobnie tuż przed ósmą.

— Okropne.

— Najbardziej ucierpi teraz rodzina. Nie dość, że stracili męża i ojca, to jeszcze zacnie się cyrk z prasą. Syn Hextera, którego nie interesują spekulacje giełdowe, nagle musi przejąć odpowiedzialność za Hexter Commodities. A tymczasem na razie nie wiadomo, kto pociągnął za spust. I dlaczego.

— Skąd możesz mieć pewność, że to nie ktoś z rodziny? — zapytała sekretarka.

Zadzwoił telefon. Ja zastanawiałam się nad odpowiedzią, a Cheryl wstała, żeby go odebrać.

— Biuro pani Millholland — powiedziała uprzejmie. Słuchała, trzymając słuchawkę mocno przyciśniętą do ucha, na jej czole pojawiła się zmarszczka.

Pokiwała poważnie głową, a potem, zakrywając mikrofon dłonią, powiedziała: — To ktoś z twojego banku. Przyszedł do nich urzędnik z prokuratury z nakazem ujawnienia stanu twoich kont. Chcą wiedzieć, co mają robić.

Jedyną rzeczą gorszą od posiadania klienta, który został zastrzelony, jest być podejrzanym o to, że się go zastrzeliło. Nie było innego wytłumaczenia dla tego nagłego napływu wezwań sądowych. Wykręciłam numer do Ruskowskiego, ponieważ wydało mi się to lepszym rozwiązaniem niż bierność. Nie było go, więc zostawiłam wiadomość u dyżurnego sierżanta. Z zadumy wyrwał mnie Kurlander.

— Trudno cię złapać — powiedział władczy, oskarżycielskim tonem.
— Byłam w Hexter Commodities.
— Telefonowała do mnie dziś rano Pamela. Jest bardzo przygnębiona. Znowu była u niej policja. Ten detektyw powiedział jej, że Bart bez wątpienia został zamordowany. Mieli nakaz rewizji i zadawali niemiłe pytania.

— Morderstwo to w ogóle bardzo niemiła sprawa — odparłam z większą gwałtownością, niż zamierzałam. Zastanawiałam się, czy nie powiedzieć mu o tych wezwaniach, ale nie zdecydowałam się na to. — Właśnie miałam do ciebie zadzwonić — rzekłam. — Muszę wiedzieć, jak Bart zadysponował w testamencie Hexter Commodities.

— Przyniosłem ci jeden egzemplarz — odparł Kurlander, wręczając mi oprawiony na niebiesko dokument. Zaczęłam przerzucać kartki testamentu, a Kurlander sięgnął do kieszeni po okulary.

Stan posiadania Barta Hextera był rozległy, więc i dokument z konieczności obszerny. Oprócz domu w Lake Forest, jak odnotowałam, Bart Hexter posiadał również domy w Vail i Palm Beach oraz działki w Montanie, Teksasie i Maine. Był właścicielem wielu nieruchomości przemysłowych w Chicago i biurowca w Nowym Jorku. W testamencie zapisał wszystkie nieruchomości swoim trojgu dzieciom do równego podziału. Dom w Lake Forest był wyjątkiem, ponieważ Bart zapisał go w całości Bartonowi z zastrzeżeniem, że Pamela będzie w nim mogła zamieszkiwać bez żadnych opłat do końca życia lub do chwili ponownego zamążpójścia.

— Nie bardzo to rozumiem — powiedziałam, podnosząc wzrok na Kurlandera. — Kto jest właścicielem gruntu, na którym stoi dom Hexterów? Zawsze sądziłam, że skoro przedtem posiadłość należała do Mandersonów, to z chwilą śmierci jej rodziców własność gruntu powinna przejść na Pamelę.

— I przeszła. Z wyjątkiem półtora akra, na którym stoi obecny dom. Własność domu i gruntu zapisana jest w księgach jako należąca wyłącznie do Barta Hextera i zgodnie z zapisem testamentu przechodzi teraz na Bartona juniora.

— Zatem, Pamela nie jest właścicielką domu, w którym mieszka?

— Ani gruntu, na którym on stoi.

Zdumiało mnie to. Taki podział własności nieruchomości znacząco zmniejszał jej wartość. Kto chciałby kupić rozległą posiadłość gruntową z półtoraarową działką pośrodku, której własność przypada komuś innemu? Hexterowie prawdopodobnie uważali to za rzecz bez znaczenia, bo i tak wszystko pozostawało w rodzinie, ale od tego ludzie mają prawników, by im nie pozwalali robić takich błędów. Nie spodziewałabym się czegoś podobnego po Kenie. Wyczytał widocznie przyganę w moich oczach.

— Musisz zrozumieć, że Bart i Pamela, zupełnie inaczej podchodzili do spraw pieniędzy i nieruchomości — wyjaśnił. — Te sprawy zawsze były przedmiotem tarć w ich małżeństwie. Pamelę bardzo zirytowało, że jej ojciec podarował parcelę samemu Bartowi, a nie im obydwójgu. Jednak, kiedy ostatnio proponowałem, by zmienić zapis na współwłasność, nie zgodziła się.

— Dziwne.

— Znamy się i przyjaźnimy z Pamelą od bardzo dawna — powiedział Kurlander. — Ale muszę przyznać, że Pamela ma swoje dziwactwa. Szczególnie jeśli chodzi o pieniądze. Zawsze była bardzo oszczędna i miała do nich dosyć niezwykły stosunek. Pozwól, że opowiem ci pewną historię. Wiele lat temu przyszła do mnie bardzo zmartwiona. Bart znalazł się w trudnej sytuacji finansowej. Wydaje mi się, że, używając określenia technicznego, nie był w stanie zamknąć dużej krótkoterminowej pozycji giełdowej. Zwrócił się o pomoc do Pameli. Potrzebował niebagatelnej sumy, ponad miliona dolarów, ale dla kogoś tak bogatego jak Pamela było to niemal jak kieszonkowe. Jednak nie kwapiła się, by użyczyć mężowi tych pieniędzy, mimo że ich brak wiązało się dla niego z nieuchronną ruiną finansową. Dla mnie była to wyjątkowo kłopotliwa sprawa. W końcu udało mi się przekonać Pamelę, żeby pożyczyła mężowi te pieniądze. Zgodziła się, ale pod zastaw dziesięciu procent udziałów w Hexter Commodities i zażądała sporządzenia formalnej umowy. Jeżeli dobrze sobie przypominam, to procent, na jaki udzieliła mu tej pożyczki, był nawet o jeden czy dwa punkty wyższy niż ogólnie stosowany, ponieważ Pamela uznała, że pożyczka obciążona jest dużym ryzykiem i że w jego sytuacji żaden bank by mu jej nie udzielił.

— Bardzo ciekawie musiały wtedy wyglądać ich dyskusje przy śniadaniu — wtrąciłam.

— Jak już mówiłem, Pamela i Bart podchodzili zupełnie inaczej do spraw pieniężnych. Pamela, która nigdy w życiu nie zarobiła ani centa, była oszczędna w stopniu, który Bart uznawał za groteskowy. W oczach żony Bart, który sam zarobił każdego swojego centa, uchodził za człowieka rozrzutnego. Jednak, o ile wiem, obydwójce byli ludźmi zadowolonymi z życia.

— Jest tu kilka całkiem interesujących zapisów — stwierdziłam powracając do testamentu. Parę umorzeń spłat kredytów hipotecznych: Janice Titlebaum, 2719 Manor Drive w Skokie, Loretta Resch, 19501 Sherbroke w Naperville, Tim Hexter, 2349 Lake Road w Wilmette...

— Bart udzielił wielu swoim pracownikom kredytów hipotecznych. O ile się nie mylę, pożyczka pani Titlebaum jest już niemal spłacona. Zauważ, że sześć miesięcy temu udzielił jeszcze jednej pożyczki w wysokości stu dwudziestu tysięcy dolarów swojemu bratankowi. Ta pożyczka również ulega umorzeniu.

— Całkiem niezła sumka. Czy wiadomo, na co miała być przeznaczona?

— Bart pożyczył Timowi te pieniądze w czasie, kiedy zginął jego brat. Nie wiem, czy czytałaś o tym w gazetach, ale to była okropna tragedia. Billy i Lilian wracali do domu z przyjęcia, kiedy nagle Bill doznał prawdopodobnie zawału serca. Stracił panowanie nad samochodem, zjechał na pas ruchu prowadzący w przeciwną stronę. Billy zginął na miejscu. Młoda kobieta, z której samochodem się zderzył, również. Matka Tima miała złamane obydwie nogi, biodro i mnóstwo obrażeń wewnętrznych. Odzyskała przytomność dopiero po śmierci Billy'ego.

W końcu doszła do siebie na tyle, że można jej było powiedzieć, co się z nim stało. W ciągu dwudziestu czterech godzin od momentu, kiedy jej o tym powiedziano, jej stan gwałtownie się pogorszył i również zmarła.

— Okropne.

— To jeszcze nie wszystko. Dopóki żył, Billy’emu udawało się utrzymywać w sekrecie swoją skłonność do hazardu, choć jestem pewien, że Bart musiał o tym wiedzieć. Billy był właścicielem niezłe prosperującego sklepu żelaznego, ale kiedy Tim przejął interes wyszło na jaw wiele różnych rzeczy.

— Jakich rzeczy?

— Na przykład, Billy zalegał sześć miesięcy z zapłatą czynszu, trzy lata z zapłatą należnych podatków i jakimś ciemnym typom winien był pięćdziesiąt tysięcy. Co więcej, od roku nie płacił składek ubezpieczenia zdrowotnego, a tymczasem wydatki na leczenie Lilian, zanim umarła, urosły do dziesiątek tysięcy dolarów.

— Biedny Tim.

— Rzeczywiście biedny. Nie miał innego wyjścia, jak tylko zwrócić się do Barta, który z kolei również nie miał innego wyjścia, niż przyjść z pomocą bratankowi, szczególnie że niesympatyczni wierzycciele usiłowali zmusić Tima, by spłacił długi ojca. Sytuacja była więc wysoce niemila. Stanowisko Pameli, muszę przyznać, tylko ją pogarszało. Wiem, że na każdym kroku wypominała Bartowi, iż niepotrzebnie wyrzuca pieniądze. Ciekawe, jak sobie wyobrażała rozwiązanie problemu Tima?

— Gdzie jest rozdział dotyczący Hexter Commodities? — zapytałam, przeczucując kartki testamentu. Cała ta rodzinna historia Hexterów była bardzo zajmująca, ale znajdowałam się na takim etapie kariery zawodowej, na którym nie miałam tyle czasu na dygresje co Ken Kurlander. — A, jest. Znalazłam.

Musiałam to przeczytać dwukrotnie, by się upewnić, że wszystko właściwie zrozumiałam. Sprawdziłam już wcześniej, że dziewięćdziesiąt procent udziałów należało do Barta. Akcje dzieliły się na zwykłe i uprzywilejowane. Akcje uprzywilejowane wyrażały wartość pieniężną przedsiębiorstwa, ale nie wiązało się z nimi prawo głosu. Te akcje po śmierci Barta miały zostać równo podzielone pomiędzy jego dzieci. Po trzydzieści procent dla Bartona juniora, Margot i Krisy, a Pamela zatrzymywała swoje dziesięć. Zwykłe akcje nie miały wartości pieniężnej, ale w pewnym sensie były bardziej wartościowe, ponieważ wiązało się z nimi prawo głosu. Wszystkie zostały zapisane Bartonowi. Inaczej mówiąc, dziewczyny posiadały dwie trzecie Hexter Commodities, ale nie miały nic do powiedzenia w sprawach dotyczących kierowania firmą.

— Nie podoba mi się to nierównoprawne potraktowanie kobiet i mężczyzn — zaprotestowałam. — Dziewczyny nie mają żadnego wpływu na zarządzanie firmą.

— Bart chciał się zabezpieczyć przed przejściem firmy w obce ręce —

wyjaśnił Kurlander. — W ten sposób utrudniał córkom uleganie ewentualnym podszeptom mężów, którzy mogliby je chcieć nakłonić do sprzedaży ich udziałów.

Jeszcze raz przejrzałam dokument.

— I to wszystko? Pamela nie dostaje żadnej części posiadłości? — spytałam zaskoczona. Byłam pewna, że Ken zapomniał wspomnieć Bartowi, iż żonie może przekazać nieruchomość bez podatku.

— Tak, wiem — odparł Kurlander z wyrazem zdegustowania na twarzy. — Co rok mu o tym przypominałem. Jedynym wytłumaczeniem takiego stanu rzeczy musi być celowe pominięcie Pameli. Może nie mógł jej zapomnieć tamtej pożyczki. Może w ten sposób chciał ukarać żonę za jej irytujące skąpstwo. Pamela każdego centa, zanim go wyda, ogląda tak, jakby to był jej ostatni. Korzystając ze swojego statusu drobnego udziałowca Hexter Commodities, co kwartał sprawdza księgowość firmy. Pod pewnymi względami Pamela bywa dziwaczna.

— Czy dyskutowałeś już z rodziną zapisy testamentu? — spytałam.

— Spotykamy się jutro o dziesiątej. Jest inna sprawa, na którą chciałem zwrócić twoją uwagę. Odkryłem coś bardzo intrygującego.

— Tak? Co takiego?

— Przez cały piątek nie było mnie w biurze, więc dowiedziałem się o tym dopiero dziś rano, kiedy przeglądałem kalendarz spotkań. Otóż Bart Hexter dzwonił do mnie w piątek rano i poprosił sekretarkę, żeby go ze mną umówiła na dzisiaj.

— Czy mówił, o co chodzi?

— Nie. Niczego nie wyjawiał sekretarce. Ale Bart i Pamela byli moimi klientami od przeszło trzydziestu lat i nigdy dla Barta nie załatwiałem niczego innego oprócz spraw majątkowych. Mogę więc zakładać, że chciał dokonać jakichś zmian w testamencie.

Detektyw Ruskowski przyłapał mnie z miseczką przyprawianej na ostro fasolki z mięsem na biurku i odrobiną topionego sera na policzku — co składało się na pozostałości z lunchu, który mogłam spożyć dzięki zapobiegliwości mojej nieocenionej sekretarki. Zobaczywszy policjanta, wstałam, szybko otarłam serwetką usta i strzepałam okruchy ze spódnicy. Ruskowski już w drzwiach rozejrzał się taksującym wzrokiem po moim gabinecie.

— Proszę, niech pan wejdzie — powiedziałam, wyciągając zwyczajem świata biznesu rękę na powitanie, ale Ruskowski zignorował wyciągniętą dłoń, pozostawiając mnie w dosyć niezręcznej pozycji. Czekałam. W końcu odwrócił się do mnie i przeczesał grubymi palcami rude włosy.

— Kiedy pierwszy raz spała pani z Bartem Hexterem?

Wytrącona z równowagi niespodziewanym pytaniem, dopiero po kilku sekundach wydusiłam z siebie odpowiedź:

— Nigdy nie spałam z Bartem Hexterem. — Odpowiadając na to pytanie uspokajałam się myślą, że Ruskowski wykonuje tylko swój zawód.

— Po co ta skromność? — spytał detektyw. — Jest pani dorosła, a ja jestem policjantem. Niewiele rzeczy może mnie zadziwić.

Zauważyłam, że ubrany był w ten sam co poprzedniego dnia granatowy garnitur. Oczy miał zaczerwienione ze zmęczenia, a jego piegowata skóra przybrała odcień niezdrowej bladości. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że w ogóle nie spał od czasu odkrycia morderstwa Hextera.

— Jestem pod wrażeniem pańskiej znajomości życia, prawda pozostaje jednak taka, że nigdy nie łączył mnie z Bartem Hexterem żaden bliższy związek. Byłam jedynie jego prawnikiem, a on był moim klientem. Występuję w imieniu różnych ludzi, z których wielu znam znacznie lepiej niż Barta Hextera.

— Chodzi pani o ludzi w rodzaju Stephena Azzoriniego?

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Czy doktor Azzorini nie jest pani klientem?

— Nie jest nim osobiście. Reprezentuję jego firmę, Wytwórnię Farmaceutyczną Azzor.

— Ale z nim pani sypia, prawda?

— Ze Stephenem znamy się od dzieciństwa.

— Nie interesuje mnie, od kiedy pieprzy się pani ze Stephenem — odparł Ruskowski, podnosząc głos niemal do krzyku. — Interesuje mnie, od kiedy zaczęła się pani pieprzyć z Hexterem.

Z trudnością oparłam się pokusie gwałtownej reakcji na prowokację, którą stanowiła ta nagła zmiana tonu.

— To, że utrzymuję stosunki seksualne z jednym z moich klientów niekoniecznie oznacza, że utrzymuję je z nimi wszystkimi. Gdyby tak było, musiałabym w swojej kancelarii zamiast biurka postawić łóżko i liczyć sobie za usługi znacznie więcej.

— Czy chce mi pani wmówić, że nie wiedziała pani, iż Bart Hexter wynajmował bez wiedzy żony apartament w Lake View Towers?

— Nic o tym nie wiedziałam.

— W takim razie zdziwi panią zapewne, że nocny portier z Lake View Towers na zdjęciach Hextera rozpoznał właśnie panią jako osobę, z którą Hexter tam się spotykał.

— Musiał się pomylić — odpowiedziałam głosem, który nawet mnie wydał się zbyt potulny.

Ruskowski wyjął z kieszeni marynarki żółtą kopertę z fotografiami, którą znalazłam w gabinecie Hextera, i zaczął rozkładać zdjęcia na moim biurku.

— Sądziła pani pewnie, że skoro nie widać zbyt dobrze twarzy, nie przyjdzie nam do głowy, że to pani. Albo myślała pani może, że jeśli sama pani odda te fotografie, to automatycznie nie możemy pani podejrzewać. Muszę przyznać, że ma pani wspaniałe cycki.

Uczono mnie, że prawnik, który reaguje emocjonalnie to zły prawnik.

Podeszłam do Ruskowskiego i zbliżyłam swoją twarz do jego twarzy. Czułam się obrażona, ale niewystraszona.

— Czy jestem aresztowana? — zapytałam.

— A chce pani?

— Niech się pan lepiej nie bawi ze mną w takie głupie gierki. Nie jestem byle gówniarzem, którego przyłapał pan na drobnej kradzieży. Jeśli ma pan zamiar kontynuować te insynuacje, to niech mnie pan zaaresztuje i zapozna z przysługującymi mi prawami. Jeśli nie, to wynocha z mojego gabinetu.

Ruskowski przez chwilę rozważał alternatywę. Patrzyłam na niego gniewnym, zaciętym wzrokiem.

Na piegowatej twarzy detektywa pojawił się uśmiech. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął kluczyki do samochodu. Podrzucił je w górę i zgrabnie pochwycił.

— Jeszcze porozmawiamy — obiecał.

I wyszedł.

Rozdział 8

Czego chciał? — zapytała Cheryl, kiedy Ruskowski wyszedł. Zazwyczaj szczyć się tym, że nie daję mężczyznom dmuchać sobie w kaszę, ale muszę przyznać, że to spotkanie trochę mnie wzburzyło.

— Myśli, że to ja zamordowałam Hextera.

— Śmieszne.

— Wiem. Ale kiedy przybyła policja, ja stałam obok ciała.

— Skoro cię już podejrzewają, to nie sądzisz, że powinnaś sobie załatwić jakiegoś adwokata? — podsunęła moja sekretarka.

— Niepotrzebny mi adwokat — oświadczyłam. — Nie zabiłam go.

— W filmach niewinni zawsze tak mówią na moment przed zakuciem w kajdanki i wtrąceniem do więzienia.

— Dziękuję, że mi o tym przypominasz. — Westchnęłam. Zmieniając temat, zapytałam: — Czy udało ci się złapać Hermana Geissa. — Herman był szefem działu kontroli i dochodzeń CFTC — Komisji do Spraw Handlu Giełdowymi Kontraktami Terminowymi.

— Nie. Od rana go nie ma. Zostawiłam mu wiadomość.

— W takim razie połącz mnie z Gregiem Shanahanem.

— Czy to adwokat od spraw kryminalnych?

— Nie. To makler giełdowy, mój klient. Jego numer znajdziesz w skorowidzu.

— Nadal uważam, że potrzebny ci adwokat.

— Ja zaś uważam — odparłam z udawaną surowością — że potrzebna mi sekretarka, która mnie zaraz połączy z Gregiem Shanahanem.

— Tak jest, szefie — odpowiedziała Cheryl, oddając mi żartobliwy salut.

— Lubię, jak się do mnie mówi „szefie”.

— Tylko się za bardzo do tego nie przyzwyczajaj — odparła, zamykając drzwi.

Przez resztę przedpołudnia walczyłam ze sobą, żeby nie myśleć o śmierci Hextera, lecz skoncentrować się na pracy. Roztrząsanie morderstwa groziło

kompletną paranoją. Ciarki mnie przechodziły na myśl, że Ruskowski właśnie w tej chwili może przeglądać moje rachunki bankowe lub przepytawać moich sąsiadów, lub pokazywać moje zdjęcie taksówkarzom jeżdżącym w okolicy Lake View Towers. Przypomniał mi się jego trik z rozkładaniem fotografii na biurku. Poczulałam się wtedy jak osaczona.

O pierwszej zadzwoniła Cheryl — Elliott Abelman ma właśnie spotkanie z Danielem Blumenthałem i chciałby wiedzieć, czy mógłby do mnie potem wpaść na minutę. Ucieszyłam się, że będę mogła na chwilę oderwać się od złych myśli i powiedziałam Cheryl, że chętnie go przyjmę.

Elliotta Abelmana trudno jednoznacznie sklasyfikować. Będąc synem detektywa z wydziału zabójstw, złamał rodzinną tradycję pracy w policji. Poszedł do college'u, w Wietnamie latał jako pilot wojskowego helikoptera, został odznaczony za waleczność i podjął studia na wydziale prawa. Pracował dla Elkina Caulfielda, znanego adwokata, dopóki sobie powoli nie uświadomił, że od kariery adwokackiej woli zajęcie detektywa. Porzuciwszy Elkina, rozpoczął pracę jako detektyw w Biurze Prokuratora Okręgowego, a potem otworzył własne prywatne biuro detektywistyczne.

Elliott jest dosyć przystojny, choć jego uroda nie zwala z nóg. Ma miękkie brązowe włosy i łagodne spojrzenie. Niczym się nie wyróżnia spośród wielu innych mężczyzn, ubranych w eleganckie garnitury, chyba że ktoś zauważy pod marynarką automatycznego browninga w kaburze pod pachą.

Wszedł do mojego gabinetu, trzymając w jednej ręce dzbanek kawy, a w drugiej dwa kubki.

— Powiedziałem Cheryl, że sam będę pełnił honory domu. — Uśmiechnął się.

Jego uśmiech był najlepszą rzeczą, jaka mogła mnie dziś spotkać. Kiedy Elliott się uśmiechał, niemal fizycznie czuło się słoneczne ciepło.

— Jak interesy? — zapytałam.

— Dobrze — odparł, spoglądając na mnie filuternie. — Łobuzów jest sporo, a porządnych facetów niewielu. — Takie równanie oznacza niezły ruch w interesie.

— Poleciałam cię kilku prawnikom z kancelarii Callahan Ross. Z przyjemnością dowiedziałam się, że już dostałeś od nas zlecenia.

— Dziękuję. A z ciebie zrobiła się, widzę, ważna persona — powiedział Elliott, rozglądając się po moim nowym gabinecie. — Jak się czujesz w roli współnika?

— Mniej więcej tak, jak czuje się dziewczyna na wieczorze kawalerskim — odparłam z niepotrzebną otwartością. — Współpracownicy mnie nienawidzą, a wspólnicy nie wiedzą, co ze mną począć. Myślę, że panuje ogólne przekonanie, że tak szybko zostałam współnikiem, ponieważ nazywam się Millholland, a moje nazwisko przydaje firmie prestiżu.

— Rzetelnie zapracowałaś na awans. A poza tym wydaje mi się, że obecnie coraz więcej kobiet zostaje współnikami w kancelariach prawniczych.

— Może, ale nie u Callahana. Jesteśmy tu tylko cztery. Margaret Schwager przeszła do nas jako wspólnik od Fenixa w Nowym Jorku i wniosła ze sobą swoich klientów. Kiedy przechodzi korytarzem, ludzie nieomal padają na kolana. Jest ostra i błyskotliwa. W jej obecności czuję się jak szara myszka. Podobnie jest z Elisabeth Seidel. Była drugą co do ważności osobą w Departamencie Sprawiedliwości za prezydentury Busha. Myślę, że popracuje tu tylko kilka lat. Podbuduje swoje konto bankowe, a potem przejdzie do sądownictwa. No i jeszcze Claire Halpern. Cudowna, ale ma o dziesięć lat więcej ode mnie i rodzinę na głowie. Odkąd powiła dzidziusia numer trzy prawie nie wychyla głowy z gabinetu, pracuje jak maniaczka, a zaraz potem pędzi do domu. Trudno mieć do niej o pretensje, ale trudno zamienić choćby kilka słów.

— Zatem czujesz się tu dosyć samotna — skomentował Elliott.

— Zawsze chciałam zostać wspólnikiem — powiedziałam. — Nie zamierzam więc użalać się z tego powodu. Po prostu potrzeba trochę czasu, żeby się wszyscy przyzwyczaili. A na razie unikam tylnych półek w bibliotece, żeby mnie ktoś nie dźgnął nożem w plecy.

— Skoro już mówimy o zabójstwie, to jak to się stało, że jesteś zamieszana w sprawę morderstwa Hextera? — zapytał Elliott. — Rozmawiałam dziś rano z ojcem i powiedział, że gliny o niczym innym teraz nie mówią. Mimo że znaleziono w samochodzie pistolet, wykluczają samobójstwo.

— Znaleźli w samochodzie pistolet? — zdumiałam się. — To mnie dziwi. Przecież widziałam ciało, ale żadnej broni nie zauważyłam.

— Leżała na podłodze koło jego stóp — odparł Elliott. — Nie widziałas, bo nie szukałaś. Na pewno nie mogłaś oderwać oczu od ciała.

— Ale skoro znaleźli pistolet, czy to by nie wskazywało na samobójstwo?

— Z tego, co słyszałem od ojca, gliniarze sądzą, że morderca, kiedy zrobił swoje, po prostu wrzucił broń do środka.

— Skąd mogą mieć pewność?

— Otóż, Hexter był praworęczny, a obydwa strzały padły z lewej strony. Praworęczni ludzie zazwyczaj strzelają prawą ręką. — Elliott zrobił z dłoni pistolet, by udowodnić, jak trudno prawą ręką strzelić sobie w lewą skroń. — Znaleziono też ślady prochu na twarzy i na dłoni denata, co wskazuje, że usiłował się nią osłonić przed strzałem. Często tak bywa w przypadku strzałów w głowę. Ofiara widzi, co się stanie, i instynktownie zasłania się ręką.

— Strasznie to ponure.

— Ironia losu polega na tym, że ten, kto załatwił Hextera, zupełnie nie musiał zadawać sobie tego trudu. Bart miał poważne kłopoty z sercem. Koroner twierdzi, że nie pociągnąłby dłużej niż do końca lata.

— Skąd o tym wiesz?

— Gliniarze pytują więcej niż panie u fryzjera. Ludziom się wydaje, że praca policjanta pełna jest emocji, ale dziewięćdziesiąt pięć procent czasu, to śmiertelnie nudna codzienna rutyna przyjmowania telefonów i składania raportów w trzech egzemplarzach. Kiedy wydarzy się coś takiego jak morderstwo

Hextera, to od razu jest tyle gadania jak przy okazji mistrzostw świata w piłce nożnej. No, ale jak ty w to wszystko zostałaś wplątana?

— Byłam tam zaraz po tym, jak dokonano zbrodni. Jestem prawnym przedstawicielem firmy Barta, Hexter Commodities. CFTC chce się im dobrać do skóry za jakieś naruszenie przepisów. Miałam się spotkać z Hexterem u niego w domu w porze, kiedy został zabity. W głowie mi się nie mieści, że przez ten zbieg okoliczności policja traktuje mnie jak podejrzaną. Zostałam wezwana przez Biuro Prokuratora Okręgowego do przekazania wszystkich dokumentów dotyczących sprawy Hextera. Urzędnik prokuratury w Lake County sprawdzał dziś moje konta bankowe, no i miałam uroczą wizytę niejakiego detektywa Ruskowskiego z policji w Lake Forest, który wbił sobie do głowy, że romansowałam z Hexterem.

— Rudy Ruskowski? — przerwał mi pytaniem Elliott.

— Znasz go?

— Kilka lat temu należał do grupy kierowanej przez mojego ojca. Przez cały ten czas, kiedy Ruskowski był jego podwładnym, ojciec miał z nim same kłopoty.

— Czyżby brakowało mu kompetencji? — zapytałam, czując dziwne ssanie w żołądku.

— Raczej wyobraźni. No wiesz, robił wszystko tak, jak jest w książkach. Problem w tym, że łapanie bandytów to nie składanie raportów w trzech egzemplarzach. Tata zawsze mówił, że Ruskowski okazywał się świetnym detektywem, kiedy osoba sprawcy nie budziła żadnych wątpliwości.

— Skąd się więc wziął w Lake Forest?

— To już polityka. Nieźle mu się oberwało przy okazji morderstwa Shawana Mortona. Pamiętasz to może?

— Trudno nie pamiętać. Jedenastoletnia dziewczynka uprowadzona w drodze ze szkoły do domu; znaleziona trzy dni później, zgwałcona i uduszona. Przez ładnych kilka miesięcy ta sprawa zajmowała pierwsze strony w gazetach.

— Ruskowski kierował dochodzeniem. Trzeba przyznać, że poświęcił tej sprawie naprawdę sporo czasu i energii, ale po roku nadal nie było winnego. Burmistrz musiał mieć jakiegoś kozła ofiarnego, a Ruskowski był dosyć oczywistym kandydatem. Bardzo przeżył, że go wylano. Zaczął pić. Żona go opuściła, zanim się wreszcie wziął w garść.

— Nic dziwnego, że tyle w nim teraz złości — zauważyłam posepnie.

— Tak więc, kiedy w Lake Forest zaczęli się rozglądać za detektywem z doświadczeniem w sprawach zabójstw, Ruskowski wydał im się nie lada okazją.

— Nie rozumiem, po co w Lake Forest wydział zabójstw? Przystępstwa kryminalne ograniczają się tu do złośliwych stłuczek cadillaców.

— Pewnie nie pamiętasz morderstwa Leslie Fassbinder.

— Jakoś nie kojarzę — przyznałam.

— Gazety w Chicago nie pisały o tym zbyt wiele. Leslie Fassbinder, uczennica

szkoły średniej, wymknęła się pewnej nocy na spotkanie ze swoim chłopakiem z tej samej klasy, Peterem Wishburnem. Około trzeciej nad ranem ktoś zadzwonił na policję, że słyszy krzyki kobiety. Kiedy policja przybyła na miejsce, zastała zakrwawionego Wishburna łkającego nad ciałem Leslie, która otrzymała kilka nacięć nożem. Ci geniusze, spojrzawszy tylko na Wishburna, uznali, że mają zabójcę. Zakuli chłopaka w kajdanki, nie sprawdzali nawet śladów na miejscu zbrodni, i zabrali go na komisariat, żeby wycisnąć z niego przyznanie się do winy.

— I przyznał się?

— Nie. Nie przyznał się, bo tego nie zrobił. Umówili się z Leslie, że spotkają się w leśnym wąwozie koło jej domu, ale kiedy Wishburn się tam pojawił, Leslie już nie żyła. Wygląda na to, że zabił ją inny kolega z klasy, który podsłuchał, jak Leslie z Wishburnem się umawiają. Niezrównoważony psychicznie chłopak ciągle ją śledził. Problem w tym, że policjanci stracili tak wiele czasu i energii, by skłonić Wishburna do przyznania się, że kiedy wreszcie doszli do wniosku, że złapali nie tego, co trzeba, prawdziwy morderca zdążył już pozbyć się narzędzia zbrodni i wszystkich dowodów, które mogłyby na niego wskazywać.

— I co działo się dalej?

— Nic szczególnie dobrego. W końcu Wishburn został uwolniony, a jego rodzice wytoczyli sprawę miastu. Policja nigdy nie zdołała zebrać wystarczającej ilości materiału dowodowego, żeby oskarżyć chłopaka, który naprawdę zamordował Leslie. Ten chłopak jest teraz studentem na University of Illinois, umawia się z innymi dziewczętami. Po tym wszystkim władze Lake Forest postanowiły, że zatrudnią kogoś, kto się zna na rzeczy, na wypadek następnego morderstwa. I zatrudnili Ruskowskiego.

— No to nieźle się wpakowałam — jęknęłam. — Wpadłam po same uszy.

— Dlaczego?

— Ruskowski wbił sobie do głowy, że to ja zamordowałam Hextera.

— A zrobiłaś to? — Uśmiech Elliotta złagodził cień zaniepokojenia w jego głosie.

— Nie mam zwyczaju mordować moich klientów, a nawet gdyby tak było, to jest kilku innych, którzy wyprzedziliby Hextera w kolejce.

— Mmm. Jestem pod wrażeniem. Czyżbyś pracowała dla większych drani niż Hexter?

— Dlaczego zakładasz, że był draniem? — zapytałam. — Nie czytujesz gazet. Przedstawiano go jako wzór cnót rodzinnych i obywatelskich.

— Po prostu wydawało mi się, że bycie draniem jest warunkiem odniesienia sukcesu w spekulacjach giełdowych. Im ktoś jest większym draniem, tym lepiej mu idzie. Biorąc pod uwagę jego sukcesy, wniosek wydaje się oczywisty.

— Jak dotąd słyszałam jedynie, że Hexter był apodyktyczny, nieznosny i używał nieparlamentarnego języka. Wiem też, że jedno z dzieci go nie cierpiało.

— Ilu spośród twoich klientów mogłabyś podciągnąć pod taki rys osobowości?

— Wszyscy moi klienci żyją i mają się dobrze. Jest też jeden rzeczywisty i żywy policjant, który myśli, że zastrzeliłam Barta Hextera. Taka świadomość nie jest zbyt miła.

— Wiem — odparł Elliott. — Ale nie przejmuj się tym aż tak bardzo. W końcu gliniarze dopadną właściwego sprawcę. Prawie zawsze im się to udaje.

Znalazłam Grega Shanahana w głębi baru McGuire'a, przy ścianie z koszami, gdzie z drugim maklerem rzucali piłką do kosza, przy czym każdy celny rzut wart był pięć dolarów. Uchylając się od przyjęcia zaproszenia, podeszłam do baru i zamówiłam whisky z wodą sodową. Odbierając od barmana szklaneczkę chivas, obserwowałam, jak Greg celnie lokuje piłkę w koszu. Bar McGuire'a był ulubionym miejscem spotkań maklerów z giełdy towarowej; nawet w poniedziałek wieczorem kłębił się tutaj tłum przyszłych Gatsbych i ich kobiet. Twarze były tak młode, że gdyby nie przewieszane przez poręcze krzesel służbowe marynarki i błyski roleksów, można by sądzić, że to studenci. Rozmawiano jednak o pieniądzach, a nie o zaliczeniach.

Greg przysiadł się do mnie przy barze.

— Przepraszam, że ci kazałem czekać — powiedział — ale nie mogłem przepuścić okazji, żeby ograć tego gamonia. Muszę jakoś zarabiać na życie. — Przechesał dłońmi kręcone blond włosy i zamówił džin z tonikiem. Ze swoimi niebieskimi oczyma i lnianymi włosami bardziej wyglądał na instruktora surfingu niż twardego kapitalistę. Mnie jednak nie mógł wyprowadzić w pole. Dla Grega, podobnie jak i wszystkich innych w giełdowych ringach, liczyły się jedynie pieniądze. Bez żenady przyznawał się, że zdobywanie pieniędzy jest dla niego sprawą największej wagi. Jednak w sportowych butach Nike, dzinsach, wymiętej koszuli i krawacie zawiązanym niedbale pod rozpiętym kołnierzykiem koszuli mógł uchodzić za pomocnika biurowego, który wpadł tu na drinka w drodze do domu.

— Jak leci? — zapytałam Grega, popychając w stronę barmana pustą szklaneczkę.

— Dziś poszło fantastycznie — odparł. — Już na samym początku zarobiłem dziesięć tysięcy dolców, otwierając dwie pozycje, potem wpadło mi dwa i pół tysiąca z zakładów o rodzaj śmierci, jaką zmarł Hexter — powiedział, wyciągając z tylnej kieszeni plik banknotów i rozkładając je przede mną — a potem jeszcze pięćdziesiąt pięć dolarów w rzucaniu do kosza. Nieźle, jak na jeden dzień pracy.

— Zakłady o rodzaj śmierci Hextera? To brzmi dosyć makabrycznie.

— To te świry z ringu eurodolarowego zaczęły — odparł Greg, tłumacząc się.
— Pięćdziesiąt dolców do puli na to, czy Hexter został zastrzelony, czy sam się

zastrelili i pięćdziesiąt na podanie czasu zabójstwa z dokładnością do pięciu minut w stosunku do czasu ogłoszonego przez koronera.

— Żartujesz.

— Ani trochę. Naprawdę niezłych świrusów można znaleźć wśród maklerów.

— Pewnie nie wszyscy ronią łzy z powodu śmierci Hextera?

— Niektórzy bardzo go lubili, ale większość nie cierpiała. Zresztą, co tam, do cholery. Zakład to zakład. Mówiłem ci, że pierwszą pracę dostałem od Hextera?

— Nie wiedziałam.

— Tak. Zacząłem jako goniec dla Hexter Commodities. Sam Czarny Bart przeprowadził ze mną rozmowę kwalifikacyjną. Było wolne miejsce na ringu marek niemieckich. Nie miałem wtedy pojęcia o giełdzie. Wiedziałem tyle, ile powiedział mi kumpel, że praca kończy się o drugiej i zostaje jeszcze sporo czasu, żeby iść na plażę i podrywać dziewczyny. Chciałem zaimponować Bartowi, więc mówię: „Marki niemieckie? To świetnie, akurat tak się składa, że trochę znam niemiecki”. A na to Hexter: „Bardzo interesujące, ale ja potrzebuję kogoś, kto umie liczyć do dziesięciu i nie będzie się spóźniał do pracy”.

Roześmialiśmy się.

— No, to co jeszcze możesz mi powiedzieć o Hexterze? — zapytałam. — Jest oczywiste, że kiedy coś takiego przydarza się facetowi, który ma tak mocną pozycję na rynku, wielu ludzi zaczyna się niepokoić, że może to mieć związek z jakimiś nielegalnymi machinacjami. Nic ci się nie obilo o uszy?

— Sama wiesz, jak to jest w ringach. Ciągle się słyszy różne plotki. Na przykład historia o facecie, który handlował kontraktami na sok pomarańczowy. Kiedyś chciało mu się pić, więc posłał gońca, żeby mu przyniósł puszkę soku pomarańczowego z automatu w holu. Goniec poszedł po sok, ale okazało się, że coś się stało z automatem, bo sok był zmrożony na lód, więc kiedy goniec wrócił na parkiet, powiedział maklerowi, że nie przyniósł mu soku z pomarańczy, bo są przemrożone. Ktoś w ringu podsłuchał tę rozmowę, ale zrozumiał, że to pomarańcze są przemrożone. W przeciągu piętnastu minut cena soku pomarańczowego skoczyła do niebotycznego poziomu.

— No, a plotki o Hexterze? — zapytałam.

— Czasem słyszało się to i owo, ale raczej nic poważnego. Same zawistne komentarze. Facet umiał zarabiać pieniądze, ale nie cierpiał przegrywać. Mówiono, że po to, by wygrać, zrobiłby wszystko, nie cofnąłby się przed manipulowaniem rynkiem, ale to stara śpiewka. Czy ci wspominałem, że miałem kiedyś randkę z jego córką?

— Krissy?

— Nieee — odparł Greg z figlarnym uśmiechem. — Miałem randkę z Szaloną Margot.

— Jak do tego doszło? — spytałam.

— Randka w ciemno. To jej ojciec nas umówił. Powiem ci coś, Hexter to był prawdziwy stręczyciel. Wtedy tego jeszcze nie wiedziałem, ale kiedy zwrócił się do mnie, to już połowie chłopaków wcześniej robił podobne propozycje.

— I jak długo się spotykaliście?

— Tylko raz — odparł Greg, ruchem ręki sygnalizując barmanowi, żeby mu napełnił szklaneczkę. — To i tak za dużo.

— Dlaczego? Co się stało? Czy to było aż tak okropne?

— Nie, nie było okropne — powiedział Greg z namysłem — tylko takie w ogóle bez sensu. Pewnego dnia wsiadłem razem z Hexterem do windy. Mimo że rozliczałem transakcje przez jego biuro, to nigdy, od czasu gdy dał mi tę posadę gońca, nie zamieniłem z nim ani słowa. Więc jedziemy tą windą, a tu nagle Bart zaczyna rozmowę. Mówi, że słyszał, że nieźle mi idzie spekulacja bonami podatkowymi. Ciekaw był, co moja żona sądzi o takim sposobie zarabiania pieniędzy. Mówię mu, że nie jestem żonaty. Bardzo się zdziwił. Pyta, czy spotykam się z kimś szczególnym. Odpowiadam, że nie, a on na to, czy lubię koszykówkę. Jasne, przytakuję, zastanawiając się, do czego zmierza. Nagle strasznie się zrobił przymilny. Zaczynam się niecierpliwić. Za kilka minut rozpoczyna się sesja na ringu bonów podatkowych. W końcu Hexter pyta, czy mógłby mnie prosić o przysługę. To zależy, odpowiadam, myśląc zarazem, że posiadanie u Hextera długu wdzięczności nie byłoby czymś najgorszym. Hexter wyjawia, że jego córka jest wielką entuzjastką koszykówki i że przyrzekł zabrać ją wieczorem na mecz Bullsów. Grali z Lakersami. Ma dobre miejsca, niestety, musi nagle wyjechać do Waszyngtonu w sprawach giełdy. Chce prosić, bym go zastąpił. Oczywiście nawet idiota by się zastanowił, dlaczego dziewczyna nie ma przyjaciół, którzy by jej towarzyszyli, i dlaczego Hexter zaczepia w windzie obcych, żeby zabrali jego dziecko na mecz, ale, jak mówiłem, bardzo mi się spieszyło na otwarcie sesji, a poza tym Hexter to była szychą na giełdzie...

— Więc zabrałeś Margot na mecz.

— I było o czym opowiadać. Okazało się, że ona nie cierpi koszykówki, nie wiedziała nawet, która drużyna grała dla Chicago. Ojciec wymusił na niej zgodę. Stałem w drzwiach jej mieszkania, nie bardzo wiedząc, co robić. W końcu wydukałem, że może w takim razie oddamy komuś bilety, a sami pójdziemy gdzieś na kolację, ale ona mówi: „Nie, tatuś by się wściekł, gdybym nie poszła”. Wzięła płaszcz i poszliśmy.

— No i co? Zakończyliście jakoś miło ten wieczór? — zapytałam.

— Od chwili kiedy wsiadła do mojego samochodu, do momentu kiedy podwoziłem ją pod dom, nie odezwała się do mnie ani słowem. Siedziała tylko z tym swoim zbolalym wyrazem twarzy, ignorując mnie kompletnie. Następnego dnia, kiedy zacząłem opowiadać chłopakom, dowiedziałem się, że nie byłem jedynym towarzyszem sportowych wypraw Margot. Jeden z nich powiedział mi, że Bart również jego umówił na randkę z Margot. Na tę okazję Margot ubrała się w

czarną suknię z głębokim dekoltem i wysokie szpilki. Z początku zbyt był zakłopotany, żeby coś powiedzieć, ale w końcu ona sama zapytała, jak mu się podoba jej strój. Na to chłopak odpowiada, że trochę niezwykle. „Uznałam, powiedziała Margot, że skoro ojciec zachowuje się jak alfons, to powinnam mu się odwdzięczyć, ubierając się jak prostytutka.”

— Superdziewczyna do randkowania.

— Najgorsze, że po tamtym nieudanym wyjściu na mecz, Hexter zaczął do mnie wydzwaniać, kiedy znów się z Margot gdzieś wybierzemy. To wszystko było zupełnie absurdalne.

Barman przysunął nam telefon.

— Kate Millholland? — zapytał.

— Tak — odparłam.

— Do pani.

Podziękowałam mu i podniosłam słuchawkę.

— Kate, czy to ty? — Claudia miała podniecony głos. — Cheryl mówiła, że tu cię mogę znaleźć.

— Co się stało? — zapytałam, czując, jak rośnie we mnie panika.

— Aż się roi od glin. Mówią, że mają nakaz rewizji mieszkania.

Rozdział 9

Samochody policyjne przed moim domem stały zaparkowane w dwóch rzędach, zajmując sporą część drogi, przez co wprowadzały jeszcze większy niż zwykle chaos w ruchu ulicznym, przeciskającym się przez Hyde Park. Słysząc było wycie klaksonów i wyczuwało się rozognione emocje. Ja sama nie panowałam już dłużej nad nerwami. Trudno mi nawet było nazwać miotające mną uczucia. Byłam wściekła, poirytowana i wystraszona. Wbiegłam na szerokie stopnie prowadzące do budynku, mijając portiera Polaka i jego przyjaciół, którzy głośno komentowali niecodzienne wydarzenia.

Drzwi wejściowe do mojego mieszkania były otwarte. W głównym holu detektyw Ruskowski żartował z policjantami. Za nimi, blokując przejście, stała moja współlokatorka z rękami skrzyżowanymi na piersi.

— Pan detektyw Ruskowski. Co za niemiła niespodzianka — powiedziałam z większym poirytowaniem, niż chciałam to okazać. — Zakładam, że ma pan nakaz rewizji.

— Oto pani egzemplarz. — Piegowata twarz Ruskowskiego przyoblekła się w rodzaj uśmiechu. — Byłem pewien, że zażąda pani nakazu.

— Pan woli, widzę, ostre wejścia — powiedziałam, odbierając od niego nakaz rewizji. — A wystarczyło ładnie poprosić.

— Teraz tak pani mówi. Poza tym nie wiem, jak się ładnie prosi. Ale jeśli tę wizytę uważa pani za ostre wejście, to nie wyobraża sobie pani, jak to naprawdę mogłoby wyglądać. To jest działanie w białych rękawiczkach, jakie stosujemy w przypadku córek wpływowych rodzin z Lake Forest. Mógłbym już dotąd zebrać to pani mieszkanko na kawałeczki, ale władze miejskie boją się narazić pani rodzicom. Poza tym — wskazała na Claudię — ta mała lisica zagroziła nam wszystkimi możliwymi konsekwencjami, gdybyśmy weszli, nie czekając na panią. Mógłbym ją zamknąć za utrudnianie pracy policji, nie wspominając już o obrazie słownej, jakiej można by się doszukać w tym, co mówiła. Kto by pomy-

ślał, taka drobina, a taką ma wielką buzię.

— Rozumiem, że nie zostaliście sobie formalnie przedstawieni. Doktor Claudia Stein, detektyw Ruskowski. — Popatrzyłam na nakaz. — Wszystko w porządku — powiedziałam, mocniej ściskając torebkę pod pachą.

— To zajmie nam kilka godzin. Może lepiej pójdzie pani gdzieś na kawę.

Przez chwilę rozważałam taką możliwość, lecz w końcu odparłam:

— Wołałabym raczej zostać i patrzeć panom na ręce. Nie chciałabym dawać okazji do podłożenia czegoś. Przepuść panów, Claudio.

Moja współmieszkanca, z twarzą bladą jak ściana, ustąpiła im miejsca.

— Czy to ma coś wspólnego z tym twoim klientem, który został zastrzelony? — zapytała szeptem, podczas gdy Ruskowski zaczął rozdzielać swój zespół na grupy mające się zająć poszczególnymi częściami mieszkania.

— Tak — odparłam. — Ty zostań z tymi w sypialni, a ja pójdę do tych w kuchni. Nie należy ich ani na moment spuszczać z oka.

— Nie podoba mi się to — stwierdziła Claudia. — Chyba nie będą sprawdzać w zamrażarce, co?

— Ja się tym zajmę — powiedziałam i z posępną miną skierowałam się w stronę dochodzącego z kuchni pomruku męskich głosów. Ruskowski przyjął pozycję nadzorującego przeszukiwanie. Oparł się o zlew i przypatrywał dwóm policjantom, którzy gmerali w szafkach z naczyniami.

— Nie najlepsza z pani kucharka, Katie — odezwał się uszczypliwie Ruskowski. — Puściutko w tych szafkach.

— Chciałabym panu coś wyjaśnić... — zaczęłam.

— Czy ma to związek z Bartem Hexterem? — przerwał mi Ruskowski.

— Nie.

— No to proszę sobie darować. Wystarczy mi już na dziś tych prawniczych koszałków opałków.

— Myślę jednak...

— Wystarczy — warknął detektyw.

Zastanawiałam się, czy jeszcze raz nie spróbować, ale doszłam do wniosku, że będzie miał, na co zasłużył. Zdjęłam więc niedbale płaszcz i czekałam, co z tego wyniknie.

— Matko Przenajświętsza! Popatrz tylko na to! — wykrzyknął nagle jeden z policjantów, który otworzył drzwi zamrażarki. Na jego twarzy malowała się karykaturalna forma zdumienia. — A niech mnie diabli... Rudy, chodź to obejrzeć. Rany boskie!

Ruskowski podszedł do zamrażarki i zajrzał do środka. Stałam na palcach, żeby lepiej widzieć jego minę. Z trudem udało mi się powstrzymać wybuch śmiechu.

— Czy może mi pani wyjaśnić, co to jest? — zapytał gniewnie.

— A na co wygląda? To ręka.

— Ludzka?

— Nie — odparłam — żyrafy. Oczywiście, że ludzka.

— Co więc robi w pani zamrażarce?

— Doktor Stein jest chirurgiem. Pracuje na zmianę w dwóch szpitalach — University of Chicago i Michael Reese Hospital. Czasem bierze z jednego szpitala materiał demonstracyjny do sekcji, żeby w następnym dniu pracować nad nim w drugim szpitalu. A po drodze przechowuje to w naszej zamrażarce. Pozwólcie, że wam pokażę. — Wyjęłam tę odrażającą paczkę z zamrażarki i rzuciłam w stronę jednego z policjantów. Złapał ją odruchowo. — Widzi pan, że jest tam metka Michael Reese Hospital. — Policjant trzymał rękę z dala od siebie, jakby w obawie, że nagle ożyje i złapie go za gardło.

— Włóż to z powrotem — polecił policjantowi zde gustowany Ruskowski. Potem zwrócił się do mnie. — Teraz się nie dziwię, że tak mało pani gotuje.

Przez bite trzy godziny chodziliśmy z Claudią po naszym mieszkaniu krok w krok za policjantami, którzy sprawdzali każdą szafkę, szufladę, zaglądali pod każdą poduszkę czy krzesło. Wzięli klucz do piwnicy i tam też wszystko przewrócili do góry nogami. Przeszukali mój stojący na ulicy samochód, a potem, po drobnej przeprawie z portierem, przerzucili zawartość zsypu na śmieci.

Udało mi się zapanować nad emocjami, a nawet wysnuć sensowną hipotezę. Wyglądało na to, że ich poszukiwania dotyczyły czegoś, co musiało być dość duże. Nie szukali w małych pojemnikach, jak na przykład w kamiennej kasecie na naszym stoliku do kawy, ale zrolowali dywan w salonie, wzniecając przy tym tumany kurzu. Zaraz posypały się docinki co do porządku w mieszkaniu. Największe zainteresowanie policjantów wzbudzała jednak moja odzież. Sprawdzali ją z mikroskopową dokładnością. Nowiutkie włoskie czółenka, które miałam na nogach, idąc na spotkanie z Hexterem, zostały zatrzymane jako materiał dowodowy. Zupełnie niezrozumiałe było dla mnie, że zabrali mi wszystkie pary butów sportowych i stary sweter z szetlandzkiej wełny, przechowywany w piwniczce, który ostatnio miałam na sobie jakiś rok temu, kiedy włożyłam go do jazdy konnej. Zabrali też parę zabłoconych rękawiczek, które znaleźli w głębi znajdującej się w holu szafy na ubrania.

— Ciekawe, co mam włożyć, żeby pobiegać? — spytałam, kwitując depozyt.

— Niech pani sobie kupi nowe — poradził mi Ruskowski. — Chociaż może nie warto, bo nie pozwolą ich pani zabrać do więzienia.

— Będę to mieć na uwadze — odparłam, zamykając za nim drzwi.

— Nie wiem jak ty — oświadczyła Claudia — ale ja muszę się napić. Mamy coś do picia?

— Wydaje mi się, że jest jeszcze butelka tego wina, którego skrzynkę podarował nam Stephen.

— A jest coś do jedzenia? — zapytała Claudia, kiedy przyniosłam wino i mowałam się z korkiem. — Zawsze, kiedy policja gwałci moje *ego*, dostaję apetytu.

— Słyszałaś, co powiedział. W szafkach pustki.

— Zawsze się znajdzie jakaś ręka do podsmażenia — zażartowała moja współlokatorka.

— Myślę, że raczej zamówię pizzę.

— W porządku. A teraz może mi wyjaśnisz, co tu się właściwie dziś działo?

Nalałam sobie lampkę wina i usiadłam obok Claudii.

— Już ci wspominałam, że jestem podejrzana — powiedziałam. — Policja otrzymała zgodę na sprawdzenie moich kont bankowych, dokumentów, a teraz przeszukali mi mieszkanie.

— Ale dlaczego? Jaki mogłabyś mieć powód, żeby zabijać tego Hextera?

— Dziś rano detektyw Ruskowski złożył mi krótką wizytę w pracy i oskarżył o romans z Hexterem. Wygląda na to, że mam siostrę bliźniaczkę, która spotykała się z nim w wynajętym apartamencie. Gliniarze pokazali portierowi zdjęcie, na którym mnie rozpoznał.

— Wspaniale — westchnęła Claudia. — Bliźniaczka i do tego dziwka. No i co zamierzasz z tym zrobić?

— Nic. Co mogę zrobić?

— Czy myślałaś, żeby wynająć adwokata?

— Cheryl też mnie na to namawia.

— Bo to chyba dobra rada.

— Jeszcze nie — odparłam. — Nie chcę reagować przesadnie. Jeśli wynajmę sobie adwokata, to Ruskowski będzie wiedział, że traktuję jego podejrzenia poważnie.

— Ale sprawa wygląda na poważną — zauważyła Claudia, która zazwyczaj wychodziła z założenia, że jeśli w grę nie wchodzi duża utrata krwi, to w ogóle nie ma o czym mówić. — Nie obawiasz się, że policja tak bardzo będzie chciała mieć winnego, iż zaaresztują nawet niewinnego.

— Oczywiście, że się obawiam. Ale nie mam na to żadnego wpływu. Myślę jednak, że mają na tyle oleju w głowie, by pamiętać, iż muszą mieć takiego podejrzanego, któremu będą w stanie udowodnić coś w sądzie.

— Wydaje mi się, że igrasz z ogniem.

— Tak chyba, niestety, jest.

— O mało nie umarłam, kiedy przyszłam do domu, a tu czekają gliny. Mam w zamrażarce w pudełku po margarynie pół paczki marihuany.

— Dalej nie patrzyli — powiedziałam. — Zatrzymali się na ręce.

— Czasem bywa, że i umarły człowiekowi pomoże — zadumała się Claudia.

Roześmiałyśmy się.

— Powiem ci, co mnie martwiło. Nakaz został tak sformułowany, że policjanci

mieli prawo zrewidować nas osobiście. Bałam się, że zajrzą do mojej torebki.

— Dlaczego? Co w niej masz?

Podniosłam torebkę. Była na tyle duża, że można by ją uznać za małą walizkę. Nosилам w niej wszystkie niezbędne na co dzień rzeczy. Rozsunęłam zamek i wyrzuciłam zawartość torebki na kuchenny stół. Wysypały się pióra, monety, spinacze do papieru, okulary przeciwsłoneczne, szpilki, szminki do ust oraz mnóstwo różnych karteczek z oślimi uszami, pomiętych chusteczek higienicznych i papierków ze słodyczy. Potrząsnęłam torbą jeszcze raz i na wierzch tej sterty wypadł rewolwer Sig Sauer, kaliber 0.380.

— Coś ty! — zawołała Claudia z przestrachem. — Skąd to masz?

— Dostałam go w zeszłym roku od ojca, po tym napadzie na mnie. Ojciec chciał dobrze. No wiesz, ciągle się o mnie niepokoi. To naprawdę miło z jego strony. Sam był jakby zawstydzony, że mi go daje. Chyba się obawiał, że nie wiem, jak go się trzyma.

— A wiedziałaś?

— To przecież oczywiste. Powiedziałam „dziękuję” i włożyłam broń do torebki. W każdym razie teraz nie suszy mi już ciągle głowy, tak jak mama, żebym się przeniosła na przedmieścia. Gdyby Ruskowski znalazł ten rewolwer, mógłby mnie oskarżyć o nielegalne posiadanie broni, co jest przestępstwem.

— Mogę go dotknąć?

— Uważaj. Jest naładowany. Lepiej wyjmę naboje.

— Nie, nie trzeba — powiedziała, podnosząc ostrożnie rewolwer i kierując go w stronę lodówki. Na jej twarzy malowało się nabożne skupienie. — Ciężki — stwierdziła w końcu, odkładając broń z powrotem na stół. — Wiesz, że codziennie spędzam trochę czasu na reperowaniu szkód wyrządzanych przez broń palną. Teraz wszyscy ją noszą: handlarze narkotyków, gangi młodzieżowe, wystraszone samotne matki, niemające pieniędzy, żeby zapewnić dzieciom godziwe mieszkanie, ale chcące chronić je przed handlarzami narkotyków i gangami. Widuję różnych takich artystów od napadów. Chłopaków, którzy chcą uchodzić za twardych; szesnastolatków, którzy w krytycznej chwili znaleźli się na niewłaściwym rogu ulicy; czterolatków postrzelonych przypadkowo przez sześciolletnich braci. Wierz mi, nic dobrego nie wynika z noszenia broni.

— Wiem, że tak jest — powiedziałam. — Ale musisz też przyznać, że wielu ludzi nie pojawiałoby się w twojej izbie przyjęć w takim stanie, w jakim ich tam znajdujesz, gdyby w krytycznej chwili mieli przy sobie broń. Ofiary gwałtów i napadów, ludzie brutalnie pobici...

Ruskowski i jego ludzie naruszyli nie tylko porządek w moich szufladach, naruszyli też mój spokój. Przez całą noc spałam przerywanym snem, dręczyły mnie koszmary. Śniło mi się, że musiałam posprzątać miejsce zbrodni. Pamela Hexter wręczyła mi wiadro z wodą oraz mydło i na kolanach szorowałam białe

wnętrze pochłapanego krwią rollsa, aż woda w wiadrze zrobiła się czerwona, a ręce lepiły mi się od mydła i krwi. W końcu nad ranem sennie mary się skończyły. Kiedy zadzwonił budzik, nacisnęłam przycisk, żeby go wyłączyć i przez moment tkwiłam w słodkim przeświadczeniu, że obok mnie śpi Russel. Słyszałam jego rytmiczny oddech, czułam znajome ciepło, lecz kiedy chciałam go dotknąć, natychmiast otrzeźwiałam, uświadamiając sobie z rozpaczą, że miejsce obok mnie jest puste.

Dawniej co rano budziłam się w taki sposób. Obezwładniające poczucie wielkiej straty ścisnęło mi krtań, więziło krzyk. Z czasem zdarzało się to coraz rzadziej, ale zawsze zwalczałam ten stan w taki sam sposób, na siłę zwlekałam się z łóżka, wciągałam dres i szłam pobiegać. Dopiero w garderobie przypomniałam sobie, że moje buty do joggingu, pieczolowicie opakowane w worek foliowy i opatrzone metką, znajdują się teraz w posiadaniu detektywa Ruskowskiego.

Do biura przyszłam zła jak szerszeń. Przeglądając z Cheryl kalendarz spotkań, z niechęcią spostrzegłam, że miałam na ten dzień zaplanowane wyjście na imprezę dobroczynną Fundacji na rzecz Walki z Artretyzmem.

— Cholera — warknęłam, krzywiąc się. — Całkiem o tym zapomniałam. Miałam przynieść ze sobą do biura suknię i tutaj się przebrać wieczorem. Teraz będę musiała jeszcze pojechać na Hyde Park.

— Czy nie przyszło ci do głowy — powiedziała moja sekretarka — że powodem, dla którego ciągle zapominasz o takich rzeczach jest to, że tak naprawdę wcale nie chcesz tam iść? W ciągu tych czterech lat, odkąd jestem twoją sekretarką, ani razu nie zdarzyło się, żebyś zapomniała czegoś związanego z pracą. Ani razu. Kiedy natomiast chodzi o przyjęcia, na które wybierasz się ze Stephenem, zawsze zapominasz albo o sukni, albo o butach, albo też wyznaczasz sobie w porze wyjścia służbowe spotkanie. Po co więc godzisz się na te imprezy, skoro widać, jak bardzo tego nie cierpisz?

— Godzę się, bo muszę.

— Nie żartuj — obruszyła się Cheryl. — Nie dam się zbyć tak łatwo.

— Moja matka bardzo się angażuje w organizację różnych imprez charytatywnych. Z powodów, których nie jestem w stanie zrozumieć, zależy jej na mojej obecności na tych imprezach. Łatwiej jest mi pójść, niż później słuchać jej wy mówek. Stephen chodzi tam ze mną z czystej uprzejmości, a ja rewanżuję się, towarzysząc mu na imprezach, na których on bywa z konieczności. A potem jest właśnie tak, bez butów albo bez sukni i bez możliwości wytłumaczenia się.

— Martwię się o ciebie, Kate. Co robisz, żeby się rozerwać? Nie mów mi, że biegasz, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie biega dla przyjemności.

Telefon od Hermana Geissa, wykrętnego szefa działu kontroli i dochodzeń CFTC, uratował mnie przed dalszym roztrząsaniem mojego życia towarzyskiego. Herman był weteranem wielu biurokratycznych potyczek. Żył przekonanie, że

świat aż roi się od krętaczy. Z zapalem, charakterystycznym dla rzesz nisko opłacanych i przepracowanych ludzi, walczył z wszelkimi przejawami nieprawidłowości na rynku transakcji terminowych.

Z biegiem czasu wyrobiłam w sobie rodzaj szacunku dla inteligencji i karczemnego poczucia humoru Hermana.

Podnosząc słuchawkę, oczekiwałam jakichś niesmacznych żartów z niefortunnego terminu nagłego zejścia mojego klienta, więc twarde stanowisko Hermana dosyć mnie zaskoczyło.

— Millholland — warknął do słuchawki Geiss — dałem ci już trzy odroczenia, więc albo wal kupę, albo złaż z tego kibla.

— Ale przecież oskarżony nie żyje — zaprotestowałam. — Nie zmyślam, Herman. Pisali o tym wczoraj na pierwszej stronie *Tribune*.

— Przeczytaj uważnie stosowny paragraf regulaminu, Millholland. Nasze zarzuty dotyczą w równiej mierze Barta Hextera, co samego Hexter Commodities. Guzik mnie to obchodzi, czy facet żyje, czy nie. Do piątku mam mieć odpowiedź.

— Ależ Herman — błagałam. — Bądźże człowiekiem. — Robię co mogę, żeby utrzymać firmę przy życiu po tym co się stało. Nawet jak na biurokratę, zachowujesz się nieracjonalnie.

— Lepiej nie próbuj mnie tu bajerować. Hexter Commodities grało rządowym agendum na nosie, kiedy ty jeszcze robiłaś w pieluchy. Długo czekałem na okazję, żeby móc im się dobrać do skóry. Więc uważaj, Millholland, bo pokażę ci, jak się popełnia biurokratyczne morderstwo.

Rozdział 10

Wkrótce zaczęło się w pracy istne piekło. W takie dni odczuwam czasem potrzebę posiadania przy fotelu pasa bezpieczeństwa. Nie dość, że znalazłam się w samym środku intrygi pomiędzy CFTC a Hexter Commodities, to jeszcze na dodatek sprawa, którą uważałam za załatwioną, nagle odżyła. W efekcie większą część ranka musiałam spędzić, rozmawiając przez dwa telefony naraz.

Kiedy w gabinecie pojawił się Barton junior, siedziałam za biurkiem, mamrocząc przekleństwa. Właśnie otrzymałam informację, że na dwa dni przed ostatecznym terminem uprawomocnienia się umowy sprzedaży pewnej firmy, którą przez cztery miesiące mozolnie negocjowałam, jedna ze stron się wycofała.

— To nie pod twoim adresem przekleństwa — wyjaśniłam mu, wskazując ręką krzesło. Barton wstąpił po drodze do gabinetu Kurlandera, gdzie miał się spotkać z siostrami w sprawie testamentu. Sprawiał wrażenie zupełnie wyczerpanego, jak gdyby ciężar przeżyć związanych z morderstwem ojca przytłaczał go do ziemi. — Jak sprawy? — zapytałam.

— Jest ciężko. Wszystkim, co dotyczyło rodziny, zajmował się ojciec. Teraz zaś, kierując się zasadą pierworództwa, każdy zwraca się do mnie. Kurlander robi mi wykłady na temat odpowiedzialności. Krissy płacze mi w mankiet i chce, żebym się nią opiekował, Margot... Margot nieraz mnie przeraża. Nigdy nie wiem, co jej wpadnie do głowy; co powie albo komu. Dyskutowaliśmy wczoraj z Jane do późna o tym, jak bardzo trzeba odbiegać od normy, żeby zostać uznany za niepoczytalnego.

— A jak mama?

— Muszę przyznać, że podczas tej rozmowy również i jej imię padło kilkakrotnie. Wszystko, co się ostatnio wydarzyło — śmierć ojca, zainteresowanie mediów — w jakiś szczególny sposób odcisnęło na niej swe piętno. Mama zawsze

była trochę dziwna, ale teraz zachowuje się całkiem irracjonalnie. Zupełnie jej odbiło na punkcie pogrzebu. Zadzwoiła dziś do mnie o czwartej rano, żeby przedyskutować przebieg ceremonii. Wszystko zaplanowała w najdrobniejszych szczegółach. Jane uważa, że w ten sposób mama usiłuje odreagować brutalną śmierć ojca, ale ja uważam, że to nienormalne. Matka wyrobiła też w sobie jakąś niewytłumaczalną niechęć do giełdy.

— Czym się to przejawia?

— Na przykład nalega, żeby nikt z tych, którzy będą nieśli trumnę, nie należał do grona jego współpracowników. Poprosiła o tę przysługę Bucka Farncrofta, z którym ojciec spotykał się tylko raz do roku, żeby zagrać w golfa, ale nie chce, żeby trumnę niósł Tim, ponieważ pracował dla ojca. A przecież, na litość boską, Tim to bratanek ojca.

— Czy Tim nie czuje się dotknięty?

— Oczywiście, ale zdążył się już przyzwyczaić. Mama nigdy nie troszczyła się zbytnio o to, co Tim czuje. Zawsze go traktowała protekcyjnie, ponieważ wuj Billy i ciotka Lilian prowadzili sklep żelazny, a poza tym ciotka Lilian odwiedziła nas kiedyś w poliestrowej sukience. Mama nigdy nie traktowała Tima jak członka rodziny. Wydaje mi się, że ta sytuacja odsłania wszystkie najgorsze cechy jej osobowości.

— Często tak bywa przy okazji pogrzebów — powiedziałam.

— Ponadto wbiła sobie do głowy, że najlepszą porą na pogrzeb będzie dzień siąta rano. Kiedy jej przypomniałem, że o tej porze giełda jest otwarta i wielu ludzi nie będzie mogło przyjść, po prostu odwiesiła słuchawkę. Oświadczyła również, że zaraz po pogrzebie przenosi się do Palm Beach. Dała już wymówienie służbie. Kiedy byłem tam rano, wszyscy się pakowali.

— Dlaczego? — zapytałam zdziwiona.

— Mama twierdzi, że nigdy nie cierpiała tego domu. Wymaga zbyt wiele służby do utrzymania, a ogrzewanie pochłania fortunę. Teraz, kiedy ojciec nie żyje, nie widzi powodu, żeby w nim dalej mieszkać, zwalnia dom dla mnie i Jane, ale Jane zaklina się, że za nic w świecie nie będzie mieszkać w takim gmaszysku. Kto wie, jak to wszystko będzie teraz wyglądać. W każdym razie dałem służbie polecenie, żeby papiery ojca spakowali i przesłali tobie.

— Dziękuję — odparłam. — Trochę się niepokoję o tę sprawę w CFTC. Kiedy rozmawiałam z szefem działu kontroli i dochodzeń i poprosiłam o przedłużenie terminu, bardzo mnie zdziwiła jego reakcja. Nie tylko, że nie zgodził się dać nam więcej czasu, lecz cała ta sytuacja zdaje się go bardzo cieszyć. Nie owijając w bawełnę, powiedział, że jego celem jest zamknięcie Hexter Commodities.

— To rzeczywiście dosyć niezwykle, że CFTC tak bardzo zależy na wykończeniu firmy — zgodził się Barton. — A o co są tacy cięci na ojca?

— Miesiąc temu Bart otrzymał formalne powiadomienie, że w efekcie przeprowadzonego w CFTC dochodzenia uznano, że jego wyniki dają podstawy do

wszczęcia postępowania, aktem oskarżenia objęto i jego samego, i firmę. Jak ci wiadomo, na rynku każdego towaru CFTC ustala górny limit wielkości kontraktów spekulacyjnych, które mogą być nabywane na jeden rachunek. Dział kontroli i dochodzeń zarzuca twojemu ojcu, że otwierając równocześnie dwa rachunki, na kupno kontraktów na rynku fasoli sojowej, jeden na rzecz swojej firmy, a drugi firmy o nazwie Deodar Commodities, przekroczył przysługujący mu limit.

— Nie wygląda mi to na żadną większą aferę — zdziwił się Barton.

— Rzeczywiście. W sprawach takich jak ta albo się walczy, albo idzie na ugodę. W jednym i drugim przypadku rezultat jest taki sam — CFTC nakłada grzywnę. Dlatego właśnie nie rozumiem postępowania Geissa. Czy to możliwe, że ma jakieś prywatne porachunki z Hexter Commodities?

— Nie wiem. Ale jedna rzecz jest pewna. Ojciec nienawidził CFTC. Zawsze mówił, że to banda biurokratów, których podnieca wymyślanie przepisów utrudniających handel. Ojciec był lobbystą sfer przemysłowych i wiem, że nie czynił z tego sekretu, iż uważa CFTC za instytucję niewydajną i niesłużącą niczym interesom. Może szukali okazji, żeby się z nim policzyć? Jak myślisz?

— Nie mam pojęcia. Nigdy o tym nie rozmawiałam z twoim ojcem. Nadal nie mam nawet kopii operacji przeprowadzanych z tych dwóch rachunków. Nie wiem, kto się kryje za firmą Deodar Commodities. Bart miał mi dać materiały dotyczące tej firmy właśnie w niedzielę rano. Dlatego dziwi mnie, że nie znalazłam niczego w jego gabinecie domowym. Nie wiesz, czy policja zabrała ze sobą jakieś papiery z jego gabinetu?

— Nic o tym nie słyszałem. Ale zapytam mamy. Jestem jednak pewien, że w biurze muszą być kopie wszystkich materiałów. Dlaczego nie spytasz Tima?

— Planowałam to zrobić dziś rano, ale wypadło mi coś innego. Myślę, że pójdę tam teraz, jeśli nie masz nic przeciw temu. Trochę nas czas goni. Zazwyczaj CFTC daje oskarżonemu dwa tygodnie na ustosunkowanie się do zarzutów. Dali nam już trzy tygodniowe odroczenia. Na czwarte nie mamy chyba co liczyć. Będę musiała postarać się o kopie tych dokumentów jeszcze dzisiaj. Chciałabym też przejrzeć inne dokumenty twojego ojca. Chcę sprawdzić, czy nie ma gdzieś kwitów magazynowych albo potwierdzeń transakcji z innych giełd. Wolę się upewnić, że nie czekają nas tu żadne niemiłe niespodzianki.

— Skoro już mówimy o niemiłych niespodziankach — zaczął z ociąganiem Barton — jest coś, o czym chciałbym z tobą pomówić. Ta sprawa bardziej właściwie leży w gestii Kurlandera, ale wolałbym go w to nie angażować. Wiem, że to głupie, ale on mi przypomina księdza O'Donnella, który był proboszczem w naszej parafii, w czasach mojego dzieciństwa. Ten ksiądz zwykł nas straszyć, że wystarczy mu tylko spojrzeć na nasze twarze, żeby wiedzieć, jakie popełniliśmy grzechy. Zawsze, kiedy rozmawiam z Kurlanderem, czuję się jak mały wystraszony

chłopiec. Sprawia, że pieniądze ojca jawią mi się jako krzyż, który będę musiał nieść przez resztę życia.

— Wiem. Dla Kena obowiązek zawsze pisze się przez duże „O”. A o czym chciałeś rozmawiać?

— Wczoraj wieczorem zadzwoniła pewna kobieta, która pracowała dla ojca. Nazywa się Torey Lloyd. To była dosyć dziwna rozmowa, w czasie której dała mi do zrozumienia, że miała z moim ojcem romans.

— I pewnie chce pieniędzy? — podsunęłam.

— Tak. Chce pieniędzy. Zastanawiałem się, czy ty byś nie mogła z nią porozmawiać w moim imieniu. Ja naprawdę zupełnie się nie nadaję do takich negocjacji.

Mama złapała mnie w momencie, gdy właśnie miałam wychodzić do Hexter Commodities. Stałam za biurkiem, zatraskując zamki mojej walizeczki, gdy do pokoju wpadła Cheryl z wyrazem skrucy na twarzy. Zaraz za nią weszła moja rodzicielka. Cheryl zawsze czuła przed nią jakiś niewytłumaczalny lęk. Może dlatego, że matka zawsze jest taka perfekcyjna i wygląda jak żywa fotografia z magazynu *Voque*. Wszystko w niej jest zaprzeczeniem związku z szarą codziennością — przepiękne włosy, makijaż, który zajmuje kilka godzin dziennie, elegancka spódnica i ręcznie wykonane włoskie czółenka, kojarzące się nieodmiennie z dyskretnym urokiem życia w komforcie.

Mama rzadko przychodziła do mnie do pracy, więc nawet nie usiłowałam ukryć zdumienia.

— Właśnie idę na pokaz kolekcji Karoliny Herrary w salonie Neimana Marcusa i pomyślałam sobie, że mogłabyś również ze mną pójść — oznajmiła, rozglądając się po moim gabinecie tak, jakby właśnie wysiadła z pociągu i okazało się, że to niewłaściwa stacja. — Wiesz, że zawsze uważałam, iż odzież z pracowni Karoliny byłaby dla ciebie odpowiednia. Jest elegancka i bardzo kobieca. Potem mogłybyśmy pójść na lunch.

— Przykro mi, mamó — powiedziałam z udawanym żalem. — Właśnie wychodzę na umówione spotkanie. Zjemy razem lunch kiedy indziej.

— Jestem pewna, że mogłabyś przełożyć to spotkanie, gdybyś tylko chciała. Nie co dzień masz okazję zjeść lunch z matką. A poza tym musisz przecież mieć się w co ubrać do tego zdjęcia w magazynie.

— W jakim magazynie? — spytałam, czując, jak serce podchodzi mi do gardła.

— Stephen prawdopodobnie nie miał jeszcze czasu zadzwonić do ciebie. Avery, córka Very Masterson, piastuje jakieś odpowiedzialne stanowisko w *Chicago Magazine*. Postanowili w redakcji, że zamieszczą wywiady z kilkoma znaczącymi parami, to znaczy takimi, gdzie zarówno mężczyzna, jak i kobieta robią coś, co się liczy. Chcą rozmawiać z Marvem i Shelly Quinlenami. On jest, oczywiście, właścicielem Stalowni Quinlena, a ona pełni funkcję prezesa zarządu

w Instytucie Sztuki. Będzie też wywiad z Terrym Binstockiem i jego żoną, Suzan. On jest znanym kardiochirurgiem, a ona właścicielką tej galerii nad Hurorem, w której wystawiają te okropne, ochlapane farbą płótna, żądając za nie niebotycznych sum. Na okładce masz być ty ze Stephenem.

— Co takiego?!

— Chcieliby na okładce zamieścić zdjęcie twoje i Stephena. Dlatego właśnie będziesz potrzebować czegoś specjalnego, żeby włożyć na siebie do tego zdjęcia. Zazwyczaj ubierasz się nieszczególnie, a musisz przyznać, moja droga, że zbyt fotogeniczna nie jesteś. Dlatego tak mi zależy, żebyś poszła ze mną na ten pokaz. Teraz chyba rozumiesz, że musisz przełożyć to twoje spotkanie. Wiem, że Karolina zrobi, co będzie mogła, ale czasu jest bardzo niewiele, żeby zdążyć z zamówieniem. Gdzie, według ciebie, powinni wam zrobić to zdjęcie? Twój gabinet nie jest chyba wystarczająco obszerny. Może u Stephena? Oczywiście nasz dom też jest do waszej dyspozycji. Zadzwoń do Avery i powiem jej o tym.

— Mamo — przerwałam jej — niestety, nie mogę odłożyć tego spotkania.

— A czemuż to?

— Bo to bardzo ważne spotkanie.

— A czy sprawa, o której mówię nie jest ważna? — spytała z cieniem urazy w głosie.

— Tego nie powiedziałam. Muszę jednak sprawdzić pewne dokumenty, żeby do piątku przygotować odpowiedź na zarzuty w sprawie przekroczenia giełdowych limitów przy zakupie kontraktów terminowych. — Wyraz twarzy mamy nie wskazywał na to, że rozumie, o czym mówię, równie dobrze mogłabym to powiedzieć po chińsku. — Mamo, to jest odpowiedzialna praca. Mam pewne obowiązki. Nie mogę tak po prostu odwołać tego spotkania. — Próbowałam nadać swojemu głosowi bardzo racjonalne i dorosłe brzmienie, ale czułam, że wyszło to idiotycznie.

— No cóż, zawsze potrafiłaś precyzyjnie wyrazić, co się dla ciebie naprawdę liczy — stwierdziła mama, wkładając rękawiczki.

— Gdybyś mi powiedziała trochę wcześniej... — powiedziałam przeprasza-
jąco.

— Następnym razem będę się z tobą umawiać przez sekretarkę — oznajmiła i opuściła mój gabinet.

Przed wyjściem do Hexter Commodities zadzwoniłam do Stephena, ale udał się na jakieś spotkanie. Nie byłam zachwycona tym, że o zdjęciach dla *Chicago Magazine* musiałam się dowiadywać od mamy. Prawdę mówiąc, w ogóle nie byłam zachwycona pomysłem udzielania wywiadu prasie. Rok wcześniej przedsięwzięciu Stephena udało się uniknąć wykupu, dużo o tym pisano i obydwójce ze Stephenem mieliśmy sporo do czynienia z dziennikarzami. Ze zdziwieniem zauważyłam, że Stephena nawet cieszyły te spotkania z prasą. Ja ich nie cierpiałam.

Poza tym ciekawe, czy w *Chicago Magazine* nadal będą mieli taki sam zapał do umieszczania mojej fotografii na okładce, kiedy się dowiedzą, że zostałam aresztowana za zabójstwo Barta Hextera.

W Hexter Commodities czuć było atmosferę nieszczęścia. W części recepcyjnej nie było nikogo, nikt nie odbierał telefonów, a smętni pracownicy rozmawiali w małych grupkach. Niektórzy maklerzy robili porządek w biurkach. Ciało Barta Hextera jeszcze nie złożono w ziemi, a jego chyżo mknący dotąd po falach statek nagle jął dryfować — bez steru, bez silnika — zmierzając, jak się obawiałam, ku nieuchronnej katastrofie.

Przeszłam przez salę transakcyjną. Przez otwarte drzwi dostrzegłam Carla Savage'a, który krążył wokół swego biurka. Na głowie miał słuchawki, jakie zwykle widuje się u telefonistek, i ryczał coś do mikrofonu. Doszłam do wniosku, że porozmawiam z nim później i skierowałam się do gabinetu Barta Hextera. Wiedziałam, że Barton nadal jest na spotkaniu z Kenem Kurlanderem, ale najbardziej zależało mi na rozmowie z dwojgiem ludzi, którzy najbliższej współpracowali z zamordowanym — jego sekretarką, panią Titlebaum i jego bratanikiem, Timem Hexterem.

Tima nie było za biurkiem, ale pani Titlebaum zajmowała swoje miejsce, smętnie rozcinając pocztę nieżyjącego szefa. Była to pulchna kobieta około sześćdziesiątki, z gładko zaczesanymi siwymi włosami i bardzo rzeczowym wyrazem twarzy.

— Czy mogę pani zabrać chwilę? — zapytałam.

— Oczywiście — odparła, podnosząc na mnie wzrok. — Barton junior powiadomił mnie, że będzie pani chciała ze mną rozmawiać w sprawie jakichś papierów. Wiem, że powinnam o Bartonie mówić „pan Hexter”, ale tak zawsze nazywałam jego ojca — dodała smutno.

— O ile wiem, pracowała pani dla niego bardzo długo — powiedziałam, siadając na krześle.

— Ponad trzydzieści lat. On i mój Leo zaczynali w tym samym czasie, ale mój Leo nie miał do tego smykałki. Wpakował się w tarapaty, stracił wszystkie pieniądze, również i te, które dostał od rodziny. Nie mógł z tym żyć i popełnił samobójstwo. Zostawił mnie bez grosza z dziesięciomiesięcznym dzieckiem. Jego koledzy zrobili zrzutkę, żeby mi pomóc, ale te pieniądze nie wystarczyły na długo. Na szczęście pan Hexter o mnie nie zapomniał i dał mi tę pracę. Od tamtej pory przez cały czas pracowałam dla niego, a on nigdy nie odmawiał mi pomocy. Kiedy sąsiedztwo zaczęło się zmieniać na niekorzyść, pomógł mi znaleźć nowy dom. Kiedy Eviemu potrzeba było jakiegoś wsparcia, robił co mógł, żeby mu pomóc. Zawsze mogliśmy na niego liczyć.

— Rozumiem więc, że dobrze się pani z nim współpracowało.

— Tego bym nie powiedziała — odparła z lekkim chichotem. — Miał diabelski temperament. Kiedy mówił „skacz”, to lepiej było skakać. Ale to on był szefem

i tak naprawdę nigdy nie należało brać na poważnie różnych jego pogroźek. Jego niemile uwagi spływały po mnie jak woda po kaczcze.

— Czy pan Hexter prosił panią o skompletowanie dla mnie materiałów dotyczących sprawy z CFTC. Potrzebne mi są kopie dokumentów dotyczących jego własnego rachunku inwestycyjnego i rachunku firmy Deodar Commodities.

— We czwartek rano wyciągnęłam kartotekę Deodar Commodities i kazałam sporządzić wydruk operacji na koncie pana Hextera i firmy Deodar Commodities, jeśli o to pani chodzi.

— Czy wspominał pani, po co te wydruki?

— Sądziłam, że będą mu potrzebne na popołudniową, „byczą” sesję z Timem.

— Byczą sesję?

— To taki żart. Wie pani, że rynek niedźwiedzia oznacza na giełdzie bessę, a rynek byka to rynek wzrastający. Pan Hexter spotykał się codziennie z Timem na godzinę po zamknięciu sesji. Kilka lat temu zapytałam go, co tam razem robią, a on odparł: „Łapiemy byka za rogi”. Od tamtej pory nazywaliśmy te ich popołudniowe spotkania „byczymi” sesjami.

— A co właściwie robili podczas tych posiedzeń?

— Przegląd wszystkich transakcji z danego dnia. Nie wiem, czy miała pani kiedyś okazję widzieć pana Hextera w działaniu. Było na co popatrzeć. Przeprowadzał tysiące transakcji, wydając warknięciem polecenia Timowi, żeby je dalej przekazał Carlowi. Wszystko miał w głowie. Żartował, że nie potrzebuje komputera, ponieważ urodził się już z komputerem między uszami. Wierzyłam, że to prawda, ale ludziom trudno się było do tego dostosować. Codziennie o czwartej Tim przychodził do biura pana Hextera i sprawdzali razem wszystkie pisemne rejestry przeprowadzonych w tym dniu transakcji. Kiedy kończyli sprawdzanie kontraktów, pan Hexter wychodził, a Tim zostawał, żeby poprawić wszystkie błędy. Potem, w drodze do domu, zostawiał u Hexterów ostateczną wersję zapisów, na wypadek gdyby pan Hexter chciał jeszcze w nocy zawrzeć jakąś transakcję na Globeksie lub wcześniej rano przeprowadzić jakąś operację na europejskim rynku walutowym.

— I tak było codziennie? — zapytałam, przypominając sobie te spotkania, które mi wyznaczał na czwartą, nigdy nie zamierzając dotrzymać terminu.

— O tak. Pan Hexter był bardzo przesądny. Uważał, że taki plan dnia przynosi mu szczęście i wściekał się, kiedy coś mu przeszkadzało w jego realizacji. Czasami przygotowanie piątkowego raportu zabierało Timowi zbyt wiele czasu, ponieważ w piątek musiał nie tylko sprawdzać zapisy transakcji z tego dnia, lecz również robić zestawienie z całego tygodnia, i wtedy przynosił panu Hexterowi sprawozdanie dopiero w sobotę. Pan Hexter uspokajał się w takiej sytuacji dopiero po kilku dniach.

— Więc dostarczyła pani dane, o które prosił pan Hexter, w czwartek jeszcze przed jego spotkaniem z Timem? — zapytałam.

- Wydaje mi się, że spóźniłam się wtedy kilka minut, ponieważ, kiedy je przyniosłam, już przeglądali transakcje z tego dnia. Biedny Tim. Musiało być w tym dniu sporo rozbieżności, bo pan Hexter na niego krzyczał.
- A o co mu chodziło?
- Nie mam pojęcia. Po prostu taki był. Czasem coś go wyprowadziło z równowagi — mógł to być błąd maszynowy lub pominięta transakcja — i wpadał w taką wściekłość, że mijała mu dopiero po kilku dniach. Zastanawianie się nad przyczyną naprawdę nie miało wtedy sensu. Wszyscy to rozumieliśmy. Szczególnie Tim. Pracując tak blisko z panem Hexterem, musiał znosić jego wybuchowy charakter. Ale pan Hexter kochał go jak syna.
- Wiem, że pan Hexter bardzo mu pomógł.
- To w jego stylu. Wiele krzyków i emocji, ale kiedy trzeba było komuś pomóc, nigdy nie odmawiał.
- Czy nie wie pani, co się stało z tymi materiałami?
- Dziś rano Barton junior powiedział mi, że ojciec potrzebował tych dokumentów dla CFTC, więc sądzę, że musiał je zabrać do domu, żeby je mieć na niedzielne spotkanie z panią.
- Byłam w domu pana Hextera wkrótce po jego śmierci. Przeglądałam jego papiery, ale nigdzie nie znalazłam tych materiałów. — Westchnęłam.
- Szukała pani w jego aktówce? — zapytała sekretarka.
- Tak. Była praktycznie pusta. Myślę, że policja wszystko zabrała.
- A to źle?
- Trochę komplikuje sprawy. Policja czy nie policja, muszę do piątku przygotować odpowiedź na zarzuty CFTC wobec Hexter Commodities. Może mogłaby mi pani jakoś powielić materiał przygotowany dla pana Hextera? Chyba są gdzieś oryginały tamtych dokumentów albo macie może duplikaty?
- Panu Hexterowi przygotowałam oryginały — odpowiedziała z wahaniem pani Titlebaum. — Duplikatów raczej nie przechowujemy. Rejestry transakcji znajdują się na dysku w komputerze. Mogłabym poprosić któregoś z pomocników maklera, żeby pani przygotował wydruk.
- Byłabym wdzięczna — zapewniłam. — Bardzo mi zależy na wszystkim, co dotyczy Deodar Commodities, a szczególnie na ich numerze telefonu lub adresie. Czy wie pani, kto kryje się za tą firmą?
- Nie. Wiem tylko, że był to rachunek dyskrecjonalny. Pan Hexter miał wszystkie pełnomocnictwa do zawierania transakcji na tym rachunku. Nie przypominam sobie, żeby ten klient kiedykolwiek kontaktował się z nim telefonicznie. Ale zobaczę, co się da zrobić.
- Jeszcze jedno, pani Titlebaum. Nie wie pani przypadkiem, o czym pan Hexter chciał rozmawiać z Kenem Kurlanderem. Ken wspomniał mi, że pani szef dzwonił do jego sekretarki w piątek po południu i umówił się na spotkanie na poniedziałek rano.
- Tak? — zapytała sekretarka, najwyraźniej zaskoczona tą wiadomością. — Pierwszy raz o tym słyszę.

Znalazłam Tima Hextera w małym pokoju wciśniętym pomiędzy gabinety Barta Hextera i Carla Savage'a. Przypuszczam, że kiedyś musiał to być magazyn, ale Bart, chcąc mieć swojego asystenta pod bokiem, przekształcił go w poikoik biurowy. Najbardziej zdumiewającą rzeczą nie była jednak wielkość tego pomieszczenia, choć kontrast szczupłości miejsca z masywną postacią Tima sprawiał niemal komiczne wrażenie, lecz to, że było ono świątynią kultu baseballowej drużyny Chicago Cubs.

Pamiętki i fotosy pieczołowicie wyeksponowano na ścianach. Były tam zdjęcia Fergusona Jenkinsa i Andre Dawsona — najlepszych graczy Pucharu Wrigleya. Na fotografiach Harry'ego Careya i Jacka Brickhouse'a — słynnych rzeczników prasowych klubu — widniały ich autografy. Całą ścianę za biurkiem, od sufitu do podłogi, zajmowały półki z kijami baseballowymi, między innymi graczy takich jak Ryne Sandberg, Mark Grace, a nawet słynnego w latach trzydziestych Hanka Wilsona. Z sufitu zwieszały się czapki byłych zawodników Chicago Cubs. Na biurku Tima pyszniła się piłka z podpisem Erniego Banksa, zatopiona w przezroczystym tworzywie.

Wszystko to sprawiało niezwykle wrażenie. Wyrzuciłam swój podziw, kiedy nieco ochłonęłam. Tim pokazał mi największe skarby swojej kolekcji i na chwilę zniknął z jego twarzy zwykły pochmurny wyraz.

Zastanawiałam się, jakie to jest uczucie, kiedy człowiek pasjonuje się czymś tak zmiennym jak drużyna baseballowa. Jaki obszar wewnętrznej pustki taka pasja mogła zapełnić? Uświadomiłam sobie, że to oddanie baseballowi stanowiło kontrapunkt dla pasji Barta Hextera, którą była giełda. W ten sposób Tim uciekał przed wymagającym i wybuchowym szefem. Jeśli nie mógł akurat stać się dla niego nieuchwytny, wyjeżdżając na wycieczkę rowerową, to uciekał do swojego świata, wykreowanego za pomocą pamiątek sportowych.

Zastanawiałam się, co teraz stanie się z Timem, kiedy zabrakło jego wujka. Ostatnie dziesięć lat Tim był dla Barta chłopcem do bicia. Teraz nie bardzo mogłam sobie wyobrazić jakie cechy, oprócz zdolności do przyjmowania upokorzeń, mogłyby go predestynować do jakiejś innej pracy. Może Barton, powodowany rodzinną lojalnością, zatrzyma go. W każdym razie nie ulegało wątpliwości, że Tim był jeszcze jedną przypadkową ofiarą morderstwa Barta Hextera.

Kiedy już skończyłam podziwiać kolekcję Tima, wcisnęłam się na krzesło i przystąpiłam do rzeczy.

— Czy wie pan coś o dokumentach, które Bart przygotował na niedzielne spotkanie ze mną? Były tam zapisy operacji na jego własnym rachunku sojowym oraz na rachunku klienta o nazwie Deodar Commodities.

— A o co chodzi? — zapytał Tim. Głos miał niski, ale przebijała z niego jakaś pustka, ociężałość umysłowa, która sprawiała, że, słuchając go, człowiek zaraz zdawał sobie sprawę, iż ma do czynienia z osobnikiem dosyć tępowym.

— Nie wie pan, gdzie one mogą być?

— Nie. Pytała pani panią Titlebaum?

- Powiedziała, że dała je Bartowi w czwartek przed waszym spotkaniem.
- Bart mi ich nigdy nie pokazywał, jeśli to chce pani wiedzieć — odparł. — Robiliśmy to, co zwykle, wie pani, sprawdzanie poprawności zapisów transakcji.
- A słyszał pan coś o Deodar Commodities? — zapytałam.
- Jasne. To jeden z naszych klientów.
- Jak można się z nimi skontaktować?
- To znaczy, o co pani chodzi?
- Chodzi mi o to, czy ma pan ich adres albo numer telefonu.
- A dlaczego miałbym mieć?
- Jeśli pan nie ma, to może wie pan, gdzie można znaleźć taką informację.
- Pewnie gdzieś w kartotece — odparł, drapiąc się w głowę.
- Której nikt nie może znaleźć — jęknęłam. — Czy wie pan, że CFTC rozpoczęła śledztwo w sprawie waszego biura? — zapytałam.
- Bart strasznie się o to wściekał — wyznał mi w zaufaniu Tim. — Powiedział, że tym razem idą na całego, żeby go dopaść, bo chcą się na nim odegrać za te kamery.
- Jakie kamery?
- Kilka lat temu rząd chciał umieścić nad salą transakcyjną kamery. No, wie pani, takie jak mają w bankach, żeby zarejestrować bandytów w razie napadu. Są takie na Mercu, ale Bart nie zgodził się, żeby zainstalować je na naszej giełdzie. Powiedział mi w piątek, że CFTC zamierza wyrównać rachunki, ale że te wszystkie zarzuty wobec niego nie są warte funta kłaków - dodał Tim.
- A nie wie pan przypadkiem, po co Hexter miał się w poniedziałek spotkać z Kenem Kurlanderem?
- Z tym prawnikiem? — zapytał Tim. — Nie mam pojęcia.
- W drzwiach pojawiła się pani Titlebaum z zasępioną twarzą.
- Nie wiem, jak to wyjaśnić — powiedziała. — Ale sprawdziłam wszystkie kartoteki, byłam z Ritą w księgowości. Nie ma ani skrawka papieru na temat Deodar Commodities, a wszystkie dane w komputerze zostały wymazane.

Rozdział 11

Gdzie, do jasnej cholery, jest ten pieprzony Barton?! — zawołał ze wściekłością Savage. Widać już po nim było efekty gorączkowej aktywności. Czoło wilgotne, a szyja na zamówienie koszula pokryta ciemnymi plamami potu. — Powiedział, że przyjdzie i zadecyduje, co robić. Wczoraj przyszedł, przeczytał informacje z ekranu komputera, rzucił kilka sugestii i zniknął. Dziś się tu jeszcze nie pokazał. A niech go diabli... W tym interesie nie korzysta się ze zwolnień.

— Musiał się dziś spotkać z prawnikiem w sprawach związanych ze śmiercią ojca — usiłowałam go wytłumaczyć.

— Może sobie to robić po zamknięciu sesji. To nie uniwersytet, na litość boską. Tu się toczy wojna. Zgłosiło się już do mnie kilkunastu klientów, którzy zapowiadają, że wycofają z naszego biura rachunki, jeśli nie porozmawiają osobiście z Bartonem. Coś się zaczyna dziać z markami niemieckimi. Nie wiem, co robić.

— Spróbuję się z nim skontaktować.

Savage popchnął w moją stronę aparat telefoniczny.

— Niech mu pani powie, żeby ruszył dupę i zaraz tu przyjeżdżał — warknął.

Udało mi się złapać Bartona i wyjaśniłam mu sytuację.

— Zaraz tu będzie — powiedziałam, odkładając słuchawkę.

— Najwyższy czas — stwierdził Savage.

— Chciałabym pana o coś zapytać. Usiłuję odnaleźć dokumenty, które Bart miał mi przekazać w niedzielę. Gdzieś zniknęły. Chodzi mi o rachunek firmy Deodar Commodities. Sprawa dotyczy dochodzenia prowadzonego przez CFTC.

— CFTC daje nam nieźle popalić.

— Zarzucają Bartowi, że kupił kontrakt na soję również na rachunek Deodar Commodities, żeby móc przekroczyć limit.

- Bez sensu. A po co Bart miałby przekraczać limit? Jaki miałby w tym cel?
- Zniknęły wszystkie komputerowe zapisy dotyczące tych rachunków.
- Co takiego?
- Tak przynajmniej twierdzi pani Titlebaum.
- To musi być jakieś nieporozumienie. Po cóż ktoś miałby wymazywać zapisy komputerowe? Te dziewczyny w księgowości mają ptasie mózdzki.
- Czy łatwo jest wymazać takie zapisy? — zapytałam.
- Nie wiem. Ja nie mam nic wspólnego z komputerami poza tym, że wpatruję się w monitor. Musi pani zapytać Lorette. Ona pani to wyjaśni.
- Lorette Resch?
- Tak. Ona przeprowadza operacje rozrachunkowe i zna się na tych cholernych komputerach.
- Porozmawiam z nią — powiedziałam. — Może uda jej się odtworzyć te zapisy. Gdyby jednak nie udało się tego zrobić, to czy jest jakiś inny sposób, żeby odzyskać utracone informacje?
- Może pani poprosić o wydruk z Izby Rozrachunkowej. Oni tam mają archiwum. My przechowujemy formularze zleceń. O jaki okres chodzi?
- Od lutego do kwietnia tego roku?
- No to powinny nadal być w tym budynku. Tym panią tam zaprowadzi.

Dział Hexter Commodities obsługujący lokalnych spekulantów zajmował osobne pomieszczenia. Tutaj nie było potrzeby imponowania wystrojem. Sala urządzona była raczej spartańsko, lecz funkcjonalnie. W miejsce eleganckiego biurka recepcyjnego i dębowej boazerii, w części rozrachunkowej biura znajdowała się duża kanapa, stół z flipperami i gra komputerowa z dużym ekranem. Przy jednej ze ścian stał regał z drobnymi przegródkami, każdą opatrzono nazwiskiem spekulanta rozliczającego się przez Hexter Commodities. Obok regału wisiała duża tablica korkowa, na której odnotowywano transakcje przeprowadzone w danym dniu. W rogu sali mruczał cicho automat do napojów gazowanych.

Z konieczności biura drobnych spekulantów mieszczą się w kieszeniach ich marynarek. Spięty gumką plik formularzy do zleceń, garść ołówków, podniszczony kalkulator i buteleczka z pastylkami przeciw nadkwasocie, to wszystko, czego potrzebuje każdy z nich, lub też raczej, wszystko, co mu się zmieści na zatłoczonym ringu. Wydawanie pieniędzy na biurko, telefon lub szafkę, w której można by zamknąć portfel, równałoby się ich marnowaniu. Biura maklerskie nie podchodzące zbyt formalistycznie do wymaganych rezerw kapitałowych, zdolne sprawnie i szybko przeprowadzać operacje dla lokalnych spekulantów, oferujące zarazem takie udogodnienia jak możliwość wzięcia prysznica i używalność telefonu mogą liczyć na spore obroty.

Każde biuro maklerskie miało swoją osobowość i przyciągało spekulantów o podobnej osobowości. W Hexter Commodities rozliczali się głównie ci przebojowi, agresywni, rozbłyskujący niczym spadające gwiazdy na ciemnej

orbicie rynku giełdowego. Spekulowanie na giełdzie traktowali jak grę w pokera, w której stawkę zgarniali po zamknięciu sesji. W holu dostrzegłam grupkę pomocników maklera grających w trzy monety. Każdy wkładał do kieszeni rękę, żeby wyciągnąć w zaciśniętej pięści jedną, dwie lub trzy monety. Zwyciężała osoba, która prawidłowo odgadła liczbę monet w ręce przeciwnika.

Znalazłam Loretę Resch w skromnym pokoju biurowym. Jej biurko stało za dwoma rzędami siedzących przy komputerach pracowników. Wstała i podała mi dłoń z wylakierowanymi na szkarłatny kolor paznokciami. Była atrakcyjną czterdziestolatką. Jej włosy miały zupełnie nieprawdopodobny odcień głębokiej czerwieni i były równo przycięte na wysokości policzków, sprawiając tym samym pozór prostoty stylu. Łuki perfekcyjnie wydepilowanych brwi ocieniały patrzące zza kontaktowych soczewek oczy o niepokojącym, szmaragdowym odcieniu. Loretta miała na sobie czarną, wyciętą pod szyją jedwabną bluzkę, a jasnożółty żakiet przewiesiła przez oparcie krzesła. Starła się wyglądać seksownie. Ciekawe, czy mężczyźni uważali ją za taką. Przedstawiłam się i powiedziałam, że potrzebuję jej pomocy, wyjaśniając, co usłyszałam od pani Titlebaum o wymazaniu zapisów w komputerze.

— Wiem — powiedziała. — Rita, jedna z moich pracowniczek, mówiła mi już o tym. Bardzo się tym przejęła. Zupełnie tego nie rozumiem, zważywszy na system zabezpieczeń, który prawie całkowicie uniemożliwia przypadkowe skasowanie jakiegoś zapisu. Zobaczmy, co tu mamy. — Odwróciła się w stronę stojącego na jej biurku komputera i zaczęła coś wystukiwać na klawiaturze. Nie przestając pracować, mówiła dalej: — Słyszałam, że to pani znalazła ciało Barta. Nie powinnam być taka ciekawska, ale czy wiedzą już, kto go zamordował?

— Chyba nie. W gazetach żadnych aluzji, policja nie puszcza pary z ust. Ale pani pewnie coś podejrzewa?

— Nie. I właśnie to mnie tak frapuje. Znaliśmy się z Bartem całe wieki, a jednak nie mam najmniejszego pojęcia, komu mogłoby zależeć na jego śmierci. Zdaję sobie sprawę, że Bart nie zawsze był sympatyczny. Trudno zresztą nie narobić sobie wrogów, mając taki temperament. Ale żeby aż takich, co by go chcieli zastrzelić?

— Nie miał przypadkiem jakichś powiązań ze zorganizowaną przestępczością?

— Bart? Żartuje pani. Wiem, że są na parkiecie spekulanci, o których mówi się, że grają pieniędzmi mafii. Ale w ringach słyszy się różne plotki. Bart z pewnością nie miał nic wspólnego z mafią. Po co by mu to zresztą było. I bez tego radził sobie znakomicie.

— Może ktoś to zrobił z zawiści, nie mogąc znieść, że Bart wzbogacił się jego kosztem?

— Tutaj ludzie często patrzą z zawiścią na sukcesy innych. Nie ma dnia, żeby się obyło bez bójk na pięści. Ale piękno tego biznesu tkwi w tym, że po nieudanym dniu przychodzi następny, kiedy znów ma się szansę, żeby się

odegrać na tym, kto nas wykiwał. Nie sędzę, żeby jego śmierć miała coś wspólnego ze sprawami zawodowymi. To musiało być coś osobistego.

— Policja pytała mnie, czy Bart był szczęśliwy w małżeństwie. Jak pani uważa?

— Małżeństwo nie daje człowiekowi szczęścia — odparła Loretta, odrywając na moment oczy od ekranu. — Wiem to lepiej niż inni, ale wiem również, że Bart kochał trzy rzeczy: ryzyko, pieniądze i Pamelę. Wiem, że w moich ustach to może brzmieć dziwnie. Nie jest sekretem, że mieliśmy kiedyś z Bartem romans. Nie trwało to jednak długo. Głównie dlatego, że nie było szans na to, żeby się rozwiódł. Bart zbyt się do żony przyzwyczaił. Przy Pameli nie musiał udawać. Przy niej mógł być sobą — małostkowym awanturnikiem. Wiem, że bardzo bał się ją utracić. Potrzeba było trochę czasu, żebym to sobie uzmysłowiła, lecz kiedy tak się stało, zerwałam z nim.

— A dlaczego aż tak bardzo bał się ją utracić? — spytałam zaintrygowana.

— Ponieważ miała więcej pieniędzy od niego.

— Przecież on sam też miał mnóstwo pieniędzy. Niepotrzebne mu były pieniądze żony.

— Ale pieniądze jego żony były inne. Za swoje mógł sobie kupić rollroyce'a albo wielki dom. Jednak żeby się dostać do tych snobistycznych klubów i być zapraszany na przyjęcia, którymi tak uwielbiał pogardzać, potrzebne były pieniądze Pameli. Zwykł mawiać, że konie przyjaciół Pameli miały dwa razy więcej rozumu niż ich właściciele i były od nich dużo przystojniejsze. Mówił, że gdyby któregoś z tych niedorajdów, z którymi grywał w golfa, postawić na ringu z jego własnymi pieniędzmi, to zaraz narobiłby w majtki. Cieszyło go, że może czuć się lepszy od nich, lecz wiedział, że gdyby nie Pamela, to nie wpuściliby go nawet za próg. Oczywiście nie znaczy to, że bał się narazić Pameli, uważał jednak, żeby nie przesadzić.

— Wspomniała pani, że uwielbiał ryzyko. Czy sądzi pani, że mógł wpaść w jakieś tarapaty w związku z hazardem?

— Bart był inny niż jego brat Billy. Obydwaj uwielbiali hazard, ale w odróżnieniu od Billy'ego Bart nigdy nie ryzykował więcej, niż mógł sobie pozwolić stracić.

— Wszyscy wciąż powtarzają to samo. Hexter miał wrogów, ale nie takich, którzy mogliby go zabić.

— I wszyscy się myślą — powiedziała Loretta, marszcząc brwi.

— Jak to?

— No, przecież jednak ktoś go zabił —• odparła, nie odwracając głowy od komputera. Obserwowałam przez chwilę, jak stuka na klawiaturze i wpatruje się w ekran z wyrazem zaintrygowania na twarzy. Wreszcie zwróciła się w moją stronę. — Nie rozumiem tego — powiedziała. — Rita ma rację. Wszystkie pliki zostały wymazane.

— Czy nie sądzi pani, że Bart sam mógł wymazać te zapisy? — zapytałam.

— Nie. Bart nie potrafiłby nawet sam włączyć komputera. Poza tym zostało tu odnotowane, że pliki wymazano w poniedziałek rano. Bart już wtedy nie żył.

Zarówno ja, jak i Barton musieliśmy się sporo namęczyć, żeby nakłonić Tima do przyniesienia oryginałów formularzy zleceń ze znajdującego się w piwnicach magazynu. Ciągłe nie mogłam się zdecydować, czy Tim był rzeczywiście tępy i leniwy, czy aż tak sparaliżowany tym, co przydarzyło się jego wujkowi, że wciąż nie mógł dojść do siebie, ale po jakimś czasie przestałam się tym przejmować. Najpierw Tim starał się nas przekonać, że niełatwo będzie odnaleźć te formularze, potem usiłował mi wmówić, iż na nic mi się nie przydadzą. Podejrzywałam, że po prostu nie chciało mu się iść ich szukać. Dopiero kiedy dałam mu jasno do zrozumienia, że nie ruszę się stąd, dopóki nie dostanę tego, po co przyszłam, Tim zszedł niechętnie do piwnicy. Pomyślałam, że gdyby Tim był moim asystentem, to i ja cały czas bym na niego wrzeszczała. Tylko że w odróżnieniu od Barta nigdy bym takiego tępaka nie przyjęła do pracy.

Przed powrotem do swojej kancelarii zatrzymałam się jeszcze w Izbie Rozrachunkowej, żeby poprosić o wydruk kopii stosownych pokwitowań zawarcia transakcji.

Powróciwszy do swojego gabinetu, spojrzałam na zegarek i zadzwoniłam do Stephena. Był na jakimś zebraniu, więc przekazałam jego sekretarce informację, że prawdopodobnie trochę się spóźnię na imprezę charytatywną Fundacji na rzecz Walki z Artretyzmem i że spotkamy się na miejscu.

Pochłonęłam żarłocznie kanapkę z wołowiną, którą kupiłam w jakiejś załuszczonej budce, wracając z giełdy. Następnie kazałam Cheryl, żeby zadzwoniła do Shermana Whiteheada, by mu powiedzieć, że chcę się z nim zobaczyć. Sherman był moim faworytem, jeśli chodzi o pomoc w mozolnej, mrówczej pracy. Choć studia ukończył z wyróżnieniem, jego nieśmiałość w kontaktach towarzyskich sprawiała, że współpracownicy raczej nie darzyli go sympatią. Bezsensownie przystrzyżona grzywka i wiecznie pomięty garnitur przywodziły mi na myśl Tima Hextera, a jednak niedostatki wyglądu i obycia Shermana rekomensował jego intelekt.

Sherman pojawił się po kilku minutach. Na jego twarzy malował się ten sam wyraz rezygnacji i obawy, z jakim wszyscy pracownicy pojawiają się na późnopopołudniowe wezwanie do gabinetu wspólnika. Powiedziałam mu, że wkrótce nadejdą z Hexter Commodities wydruki komputerowe i formularze zleceń. Wyjaśniłam, że chciałabym, by do jutra porównał ze sobą obydwa rodzaje dokumentów. Trzeba przyznać, że Sherman przyjął to zlecenie z pogodą ducha i przyrzekł, że z samego rana przedstawi mi raport.

Właśnie miałam wykręcić numer detektywa Ruskowskiego, kiedy Lilian, recepcjonistka, zadzwoniła z informacją, iż w poczekalni czeka jakaś kobieta, która pragnie się ze mną widzieć. Ze znużonego tonu głosu recepcjonistki mogłam wyczuć, że gość nie odpowiadał wizerunkowi klientów ze sfer biznesu, którzy zazwyczaj przewijali się przed jej biurkiem. Wyczułam też, że gość stoi na tyle blisko Lilian, że ta nie może swobodnie rozmawiać. Przynajmniej nie jest to wizyta policji, pomyślałam sobie.

Kobieta, która weszła do gabinetu, była w moim wieku, lecz pochodziła z zupełnie innego świata. Szczupła i ciemnowłosa, twarz miała ładną, lecz skażoną grymasem wiecznego niezadowolenia. Nosiła kościółkową odzież, wykonaną z taniego, kwiecistego materiału oraz beznadziejne buty ze szpiczastymi noskami i bardzo, bardzo wysokimi obcasami. Wiedziałam, że gdzieś już ją spotkałam, jednak w innych okolicznościach... Wreszcie skojarzyłam. Była to posępna pokojówka Hextera.

— Witaj, Eleno — powiedziałam, przypominając sobie w ostatniej chwili jej imię. — Siadaj i powiedz, w czym ci mogę pomóc.

Elena usiadła na wskazanym krześle i przez chwilę przyglądała mi się podejrzliwie.

— Ja przyjsć się dowiedzieć o pieniądze pan Hexter zostawić dla Eleny w testamencie. — Jej głos był zarazem cichy i buntowniczy. Po akcencie poznałam, że jest Latynoską.

— Niestety, zwracasz się do niewłaściwej osoby — odparłam. — Powinnas porozmawiać z panem Kurlanderem. On zajmuje się sprawami spadkowymi pana Hextera.

— Ja nie chceć rozmawiać z pan Kurlander — gwałtownie zaprotestowała Elena.

— Dlaczego? Jeśli jesteś wspomniana w testamencie pana Hextera, jestem pewna, że w przeciągu najbliższych dni pan Kurlander prześle ci powiadomienie.

— Ja nie chceć z nim rozmawiać — powtórzyła Elena. — On jest przyjaciel tamta kobieta. — Elena wydała z siebie dźwięk przypominający splunięcie.

— Jaka kobieta?

— Pani Hexter.

— Dziwi mnie, że taki masz stosunek do swojej chlebodawczyni.

— To nie ona mnie przyjąć — zaprotestowała Elena. — Ona wyrzucić Elena. Bez wcześniejsze wypowiedzenie. Nie dać odprawa. Nic nie dać.

— O ile wiem, zwolniła całą służbę. Zamierza się przenieść na Florydę.

— Ona zwolnić mnie, bo ona mówić, że Elena za wolno otwierać drzwi. Ona mówić, że Elena wciąż patrzeć na nią moje krowie oczy. Ona nie dać odprawa. Mówić — Elena iść, spakować i wynocha. Wyrzucić Elena na ulicę.

— Mąż pani Hexter dopiero co został zamordowany — powiedziałam. — Czasami ludzie, którzy doznali jakiejś tragedii zachowują się, jakby nie byli sobą. Nie zastanawiając się nad tym, co robią, zadają innym ból.

— Pani mówić ból? Ja stracić praca. Ja nie mieć pieniądze, jedzenie, miejsce do mieszkać. Co ta kobieta wiedzieć o ból w swój duży dom? Tragedia jest, że Elena stracić praca, bo wiedzieć coś. Bo pani Hexter chceć ukryć.

— Musisz uważać na to, co mówisz, Eleno — ostrzegłam ją.

— To nie Elena musieć uważać — prychnęła pokojówka. — To pani

Hexter musieć uważać. Ona myśleć, że ja nie mieć praca, to ja wracać do Gwatemala i nie mówić nikt o pistolet.

— Jaki pistolet? — zapytałam ostro.

— Pistolet pan Hexter. On trzymać w szuflada na pieniądze w biurku. Pani Hexter sknera na pieniądze. Kiedy ja przyjść o praca, ona mówić, że płacić dwieście na tydzień. Ja mówić dwieście mało pieniędzy. Wariat pracować za dwieście w duży dom w Lake Forest. Moja siostra pracować u pani Franklin. Ona dostać czterysta i dwadzieścia pięć na tydzień. Plus trzy tygodnie wakacje jechać do nasz kraj. Ja wrócić z rozmowa z pani Hexter i myśleć, że pani Hexter tani sknera. Ten wieczór agencja do mnie dzwonić i powiedzieć, że każdy tydzień ja dostać czek na dwieście od pani Hexter i jeszcze sto pięćdziesiąt gotówka od pan Hexter. Ale ja nie mówić pani Hexter, że pan Hexter płacić pieniądze.

— A co to wszystko ma wspólnego z pistoletem? — zapytałam.

— Pan Hexter zawsze trzymać pistolet w szuflada, gdzie trzymać pieniądze. Ja widzieć w piątek, on mnie płacić.

— W zeszyły piątek? O której?

— Piątek rano.

— Co to za pistolet?

— Co to za pistolet? — powtórzyła jak papuga Elena, tak jakby myśl, że mogą ich być różne rodzaje wydała jej się zupełnie absurdalna. — Czarny pistolet — odparła w końcu.

— Czy po śmierci pana Hextera nie rozmawiałaś z policją?

— Rozmawiać. Policja przyjść i pytać różne pytania. Jak w telewizja.

— Czy powiedziałaś im o pistolecie?

— Nie. Oni nie pytać o pistolet. Pytać o pan i pani Hexter. Czy być szczęśliwi? Czy się klócić? Czy robić miłość?

— A o pistolecie im nie mówiłaś?

— Oni nie pytać. Pytać o klócić. Ja mówić pan i pani Hexter ciągle klócić. Klócić rano i wieczór. Piątek wieczór, jak dzieci przyjść na kolacja, to wszyscy klócić. Niedziela rano, zanim pójść do kościół, też klócić. Policja pytać o co klócić. Ja mówić: „Jak słuchać bogaci ludzie klócić, to można zwariować. Ja nie słuchać...”

— Eleno — powiedziałaś z namysłem. — Jeśli chcesz, porozmawiam z panem Bartonem juniorem o twojej odprawie.

— Pan Barton bardzo miły. Bardzo śmieszny. Proszę mówić.

— Czy jest jakiś telefon, pod którym mogę się z tobą skontaktować? Gdzie teraz mieszkasz?

— Ja mieszkać z moja siostra u pani Franklin. Ona miła kobieta. Ja tam prasować. Ja dać numer.

Powtarzając przyrzeczenie, że spróbuję coś zrobić w sprawie jej odprawy, wyprowadziłam Elenę z gabinetu. Kiedy na powrót siadłam za biurkiem, sięgnęłam po telefon, żeby zadzwonić do detektywa Ruskowskiego.

Rozdział 12

Naprawdę nie miałam czasu, ale ciekawość sprawiła, że postanowiłam wpaść na chwilę do Kena Kurlandera. Zastałam go w jego narożnym gabinecie, przygotowywał się już do wyjścia do domu.

— Znajdziesz jeszcze dla mnie chwilkę? — zapytałam. — Chciałam się dowiedzieć, jak ci poszło dzisiejsze ranne spotkanie z dziećmi Hextera.

— Mniej więcej tak, jak się spodziewałem. To są często dosyć trudne sytuacje, szczególnie jeśli ma się do czynienia z takimi indywidualnościami jak Margot. Kiedy siostry Bartoną już poszły, zapytałam go prywatnie, czy uważa, że Margot ma pełną zdolność rozporządzania pieniędzmi, które otrzyma.

— Zdolność, czy prawną zdolność? — zapytałam.

— Prawną zdolność — odparł sucho Kurlander.

— Trudno by było udowodnić, że tak nie jest.

— Ale tu chodzi o olbrzymie pieniądze. Byle szarlatan może od niej je wyłudzić na jakiś zwariowany cel.

— To jej pieniądze — przypomniałam, choć byłam pewna, że tą uwagą nie zaskarbiam sobie sympatii mojego kolegi. — Dziwiłabym się, gdyby Barton nie był podobnego zdania.

— Ty i Barton macie dziwnie zbieżne poglądy w wielu sprawach — stwierdził kwaśno Kurlander. — Ale, jak myślisz, do kogo zwróci się Margot po pomoc, kiedy przepuści pieniądze, które zostawił jej ojciec? Barton może teraz nie mieć odwagi, żeby wystąpić z wnioskiem o ustanowienie kuratora dla siostry, ale, tak czy inaczej, efekt końcowy będzie taki sam. Margot jest, delikatnie mówiąc, odrobinę niezrównoważona. Czy to się Bartonowi podoba, czy nie, sam będzie musiał utrzymywać później siostrę. Jeśli da się przekonać i teraz wniesie o rozpoczęcie oficjalnej procedury, to przynajmniej będzie miał fundusze, z których mógłby na nią żyć.

— Z pewnością ojciec Margot miał świadomość niedoskonałości swojej córki i gdyby chciał, sam wniósłby o ustanowienie dla niej kuratora majątku.

— Dyskutowałem z nim tę sprawę wiele razy — westchnął Kurlander. — Bart był jednak wiecznym optymistą. Wierzył, że Margot w końcu się ustakuje i wyjdzie za mąż.

— Czy myślisz, że mógł zmienić zdanie w sprawie Margot? — zapytałam. — Może właśnie dlatego chciał się z tobą widzieć. Gdyby Hexter rzeczywiście liczył na to, że córka się ustakuje i znajdzie sobie męża, to jej oświadczenie o lesbijskich skłonnościach, mogło go ostatecznie przekonać, iż powinien ograniczyć jej kontrolę nad pieniędzmi.

— Obawiam się, że nigdy się już nie dowiemy, co Bart zamierzał — stwierdził Kurlander.

— Czy wspominałeś policji, że Bart umówił się z tobą na spotkanie?

— Nie, nie wspominałem.

— A zamierzasz im o tym powiedzieć?

— Nie sądzę, żeby to miało związek ze sprawą jego śmierci.

— Nie uważasz, że sami powinni o tym zdecydować.

— Nie widzę powodu, żeby niepotrzebnie zawracać im głowę.

— Ken — starałam się go przekonać. — To nie jest gra towarzyska. Zamordowano człowieka. Twoim obowiązkiem, jako przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości, jest przekazać wszelkie informacje, które mogłyby pomóc policji w śledztwie.

— Kate, proszę. To naprawdę niezłe przemówienie. Świetne na zajęcia z etyki. Ale ty mówisz o zasadach, a ja o rzeczywistości. Może i Ruskowski jest kompetentnym i doświadczoneym detektywem, ale z pewnością jest typem człowieka, który, szukając jabłka w sadzie, zaczyna od ścinania wszystkich drzew. Po co ściągać jego uwagę na rodzinę. W imię czego miałbym to robić? Tylko dlatego, że Hexter umówił się ze mną na spotkanie, żeby porozmawiać o sprawie, którą zabrał ze sobą do grobu?

Wiedziałałam, że w tym, co mówi Kurlander jest sporo racji. Ale że moja przypadkowa obecność na miejscu zbrodni stała się dla policji powodem zainteresowania moją osobą i chyba też nie wywietrzały mi jeszcze całkiem z głowy zajęcia z etyki, więc gdy tylko wróciłam do swojego gabinetu, jeszcze raz zadzwoniłam do Ruskowskiego i zostawiłam mu kolejną pilną wiadomość.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie uzgadniałby telefonicznie ze sprzedawczynią od Neimana Marcusa zakupu sukni na godzinę i piętnaście minut przed rozpoczęciem imprezy dobroczynnej Fundacji na rzecz Walki z Artretyzmem. Sprzedawczyni opisywała wszystkie, jakie miała w rozmiarze dziesięć. Leon, jeden z gońców z działu pocztowego pojechał już taksówką z moją kartą kredytową i instrukcjami, jakie suknie ma odebrać, ponieważ wiedziałam, że nie ma szans, żebym zdążyła pojechać na Hyde Park, zmienić strój i przybyć na czas na

przyjęcie. Zaczynałam się zastanawiać, czy Cheryl przypadkiem nie ma trochę racji...

Leon pojawił się z dwiema sukienkami, każda zapakowana w plastikową folię, oraz małą plastikową siatką, w której znajdowała się para satynowych czólenek od Stewarta Weitzmana. Kiedy goniec wyszedł, zamknęłam drzwi i zaczęłam się przebierać.

Sukienki były ładne, choć zdecydowanie bardziej ozdobne, niż zwykle noszę. Jedna szmaragdowozielona z długimi rękawami i dołem z klinów, jednak zbyt mocno wycięta na plecach, druga w kolorze nocnego nieba. Ta wydała mi się bardziej odpowiednia — wąska, długa, ze średnim dekoltem, wyszywana przezroczystymi cekinami, które pasmami spływały w dół. Włożyłam ją. Spojrzałam na swoje odbicie w zmatowiałym lustrze wiszącym na drzwiach szafy i zobaczyłam widok, który zawsze był źródłem rozczarowań mojej matki.

Sukienka była śliczna, tyle że ubrała się w nią skonana i niewyspana prawniczka z twarzą ledwie muśniętą makijażem. Z westchnieniem rezygnacji wyjęłam szpilki z włosów, odchyliłam się, tak jak mnie uczyła niania, i mocno je wycesałam. Potem upięłam z powrotem. Pogmerałam w szufladzie w poszukiwaniu kredki do ust i pudru. Daremnie, splądrowałam więc szufladę Cheryl i znalazłam kosmetyczkę z przyborami do makijażu. Wykonawszy coś w rodzaju kosmetycznej pierwszej pomocy, pokazałam język swojemu odbiciu w lustrze i skierowałam się do drzwi, spóźniona jedynie dwadzieścia minut.

Wbiegając na szerokie kamienne stopnie Muzeum Historii Naturalnej, czułam się jak Kocpiuszek — trochę nie na miejscu i zbyt spóźniona na bal. Budynek muzeum był ulubionym przez organizatorów miejscem. Tu odbywały się różnego rodzaju imprezy dobroczynne i tu już niezliczoną ilość razy jadłam kanapki i piłam ciepłe wino w cieniu wielkiego, włochatego mamuta w marmurowej rotundzie. W recepcji podałam swoje nazwisko, wzięłam bilet z numerem miejsca i numerek na cichą aukcję, a potem ruszyłam na poszukiwanie Stephen.

Znalazłam go przy dioramie pingwinów wypełniających zamarzłą arktyczną scenę — nieżywych i wypchanych jeszcze na długo zanim się urodziłam. Stephen był w swoim żywiole. Biała koszula oraz blask uśmiechu, jaki wokół roztaczał, wydawały się najjaśniejszymi rzeczami w tej sali. Objął mnie lekko na powitanie.

— Udało ci się, Kate — powiedział. — Znasz Eda i Happy Lassarów.

Podałam rękę przedsiębiorcy budowlanemu i wyraziłam zadowolenie z możliwości poznania najnowszej pani Lassar. Z tacy mijającego nas kelnera Stephen wziął kieliszek szampana i podał mi go.

— Właśnie mówiłam Stephenowi, że wszystkich bardzo dziwi obecność Krissy Chilcote — poinformowała mnie poufałym szeptem Happy. Spojrzałam ponad jej ramieniem i dostrzegłam siostrę Bartona. W czarnej koronkowej sukni,

otoczona gronem roześmianego towarzystwa, prezentowała się ładnie, choć była dosyć blada. — Wiem, że jest jedną z organizatorek, ale przecież jeszcze nie było pogrzebu.

— Krissy od najmłodszych lat zawsze robiła, co jej się podobało — zauważył mąż Happy.

— Przepraszam, ale nie miałam jeszcze okazji obejrzeć rzeczy darowanych na aukcję — przerwałam, nie miałam ochoty wymieniać plotek o Hexterach.

Stephen skłonił się grzecznie towarzystwu i udaliśmy się w stronę skrzydła geologicznego, gdzie na długich stołach wystawiono podarowane na aukcję przedmioty. Przy każdym z przedmiotów leżała kartka papieru, na którą należało wpisywać oferowaną cenę.

— Bardzo ładnie ci w tej sukni — zauważył Stephen, kiedy pochyłaliśmy się nad stołami. — Nowa?

— Całkiem nowa — odparłam. — Przepraszam za spóźnienie, ale sprawa Hextera zajmuje cały mój czas.

— Cóż, odciążyłaś Krissy na tyle, że mogła tu dzisiaj przyjść.

— Widzę, że uważasz to za duży nietakt — stwierdziłam.

— Nie bardzo to chyba wypada. Dopiero co zamordowano jej ojca, a ona bryluje na imprezie. Czy wiadomo już, kto go zastrzelił?

— Nie. Wielokrotnie próbowałam dziś skontaktować się z detektywem, który prowadzi dochodzenie w tej sprawie, ale ciągle nie mogłam go zastać, widocznie nad czymś pracuje. — Jakoś nie wydawało mi się właściwe mówić mu teraz, że prawdopodobnie chodzi o mnie.

— Współczuję rodzinie — westchnął Stephen. Jego bratanica zginęła niedawno w okropnych okolicznościach i wspomnienie tej tragedii na moment zachmurzyło mu twarz. Nagle coś zwróciło jego uwagę. — Bardzo ładna bransoletka — powiedział, sięgając po ozdobę. — Daj no rękę. — Wyciągnęłam dłoń i Stephen założył mi bransoletkę. Zrobiona była z owalnych szafirów, osadzonych w platynie. Pomiędzy nimi tkwiły małe diamenciki w formie litery „x”. — Bardzo ciekawy wzór — podziwiał Stephen.

— To się nazywa „uściski i pocałunki” — wyjaśniłam z lekkim zażenowaniem. — Na przemian „x” i „o”. Moja mama ma podobną.

— Podoba ci się?

— Ładna.

— W takim razie ci ją kupię.

— Nie, Stephen. Jesteś kochany, lecz noszę jedynie obrączkę.

— Pozwól, że przynajmniej wpiszę tu swoją cenę. Cóż — dodał tonem usprawiedliwienia — chodzi o szczytny cel.

Nie będąc w stanie wyrazić słowami wewnętrznego dyskomfortu, jaki odczuwałam — najpierw rewelacje mamy dotyczące *Chicago Magazine*, a teraz to — nie odezwałam się. Stephen wpisał swoją cenę i przeszliśmy dalej.

Pozostałą część godziny koktajlowej spędziliśmy na rozmowach ze specjalistami od artretyzmu, którzy przybyli tu na zaproszenie organizatorów. Przedsiębiorstwo Stephena — Azzor Pharmaceuticals — właśnie wypuściło na rynek

nowy środek przeciwwzapalny o nazwie Fizac, który okazał się bardzo skuteczny w zwalczaniu artretyzmu dziecięcego. Obecność Stephena na gali Fundacji na rzecz Walki z Artretyzmem była elementem polityki promocyjnej firmy. Chodziłiśmy od reumatologa do reumatologa. Słuchałam, jak uwodzi lekarzy, mając zarazem nadzieję, że moja obecność u boku Stephena korzystnie dopełnia jego ogólnego wizerunku.

W pewnym sensie Chicago jest całkiem niewielkim miastem. Iluż w końcu znajdzie się ludzi chętnych włożyć smoking i lekką rączką pozbyć się czterystu dolarów w zamian za dosyć wątpliwą przyjemność spożycia nie najsmaczniejszego posiłku w chłodnym muzeum? Można powiedzieć, że ta skłonność była dziedziczna.

Kiedy wróciłam do Chicago, żeby rozpocząć praktykę prawniczą, zakładałam, że wszyscy, którzy wyjeżdżali z miasta, by pobierać nauki, zmieniali się w podobny sposób jak ja — rozwijali swoje korzystne cechy i nabierali na tyle dystansu, by móc ocenić lub przynajmniej przejrzeć na wylot system wartości wpajany im w dzieciństwie. Nigdy nie przestawało mnie dziwić, że mnóstwo młodych ludzi, z którymi się wychowywałam, natychmiast po powrocie do domu przystępowało do kontynuacji dzieła rodziców.

Wielu z nich było dziś tutaj; kiwali mi głowami na powitanie — kobiety w toaletach od de la Renaty, wychudzone aż do wycieńczenia ciągłymi dietami, dyskutujące o koniach, rozwodach i różnych innych codziennych problemach. Wybory, których dokonałam już jako dorosła kobieta, sprawiły, że stałam się outsiderką. Mój związek ze Stephenem jeszcze tylko pogłębiał przepaść, która dzieliła mnie od innych. Połowa moich koleżanek z czasów dzieciństwa zastanawiała się, co ktoś tak przystojny jak Stephen Azzorini mógł we mnie widzieć, a druga połowa miała mi za złe, że pozwalałam mu się tak wykorzystywać. Patrzyłam na nie, na ich perfekcyjnie wylakierowane włosy, na biżuterię połyskującą w świetle świec, na ich uśmiechy; słuchałam plotek i dyskusji o planowanych operacjach kosmetycznych i zastanawiałam się, czy jednak nie popełniłam głupstwa, wybierając własną drogę.

Nagle przypomniał mi się detektyw Ruskowski i wpadłam w pętlę wciąż niepowiązanych faktów. W piątek rano Elena widziała w szufladzie biurka Hextera pistolet, którego tam nie było, gdy w niedzielę przeglądałam zawartość szuflady, odkrywając fotografie tajemniczej nagiej kobiety. Bart Hexter umówił się na spotkanie z Kenem Kurlanderem. Młoda kobieta o nazwisku Torey Lloyd utrzymywała, że miała romans z Bartem i żądała pieniędzy. Ktoś wymazał w komputerze zapisy dotyczące sprawy z CFTC, której szef za wszelką cenę usiłował dobrać się do skóry Hexter Commodities. I jeszcze ten drobiazg, że w niedzielę rano ktoś włożył do kieszeni pistolet i zaczął na Barta na podjeździe jego domu.

Stephen dotknął mojego ramienia, drgnęłam i rozejrzałam się wokół. Większość towarzystwa przeszła już do sali jadalnej. Ciekawe, jak długo tak stałam i patrzyłam w przestrzeń.

Poprosiłam Stephena, żeby podrzucił mnie do kancelarii. Chciałam zabrać stamtąd torebkę i aktówkę. Nowa, szafirowo-diaamentowa bransoletka połyskiwała obco na moim przegubie.

— Mama zawitała dziś do mojego gabinetu — powiedziałam, kiedy skręcaliśmy w LaSalle Street.

— Musisz zawiesić nad drzwiami nowy wianuszek czosnku. Stary widocznie już zwietrzył.

Roześmiałam się.

— Obwieściła mi, że mają nas umieścić na okładce *Chicago Magazine*.

— A niech to! — zawołał Stephen. — Nawet się jeszcze nie zdecydowałem, czy prosić cię o to. Podała ci jakieś szczegóły?

— Że w *Chicago Magazine* postanowili przybliżyć ogółowi czytelników te pary, w których obie strony pełnią jakieś odpowiedzialne funkcje. Wymieniła też kilka nazwisk, ale zdążyłam już zapomnieć.

— Skąd się o tym dowiedziała?

— Jedna z jej przyjaciółek ma córkę, która pracuje w redakcji. Musisz zrozumieć, że moja mama jest elementem plotkarskiej sieci informatycznej, działającej z prędkością światła.

— Jody Synnberg, odpowiedzialna za public relations, wspomniała mi dziś rano o takiej propozycji. Uważa, że to będzie korzystne dla wizerunku firmy. Obiecałem, że porozmawiam z tobą.

— Wydawało mi się, że mieliście nie tak dawno aż za wiele artykułów w prasie specjalistycznej.

— Jody jest zdania, że artykuł w *Chicago Magazine* dotrze do szerszego kręgu odbiorców.

— Więc chcesz się zgodzić?

— Oczywiście jeśli tylko zaakceptujesz ten pomysł — zastrzegł Stephen, zatrzymując samochód przed moją kancelarią. — Wiem, jak bardzo nie cierpisz tego typu rzeczy — dodał cicho. — Nie chcę cię wypychać w światła rampy, jeśli nie masz na to ochoty.

Po tym jak firmie Azzor udało się w zeszłym roku uniknąć wykupu przez dużą korporację, klasyczny profil Stephena ozdabiał okładkę niemal każdego wydawnictwa poświęconego sprawom biznesu. Nawet i mnie nie oszczędzono. Pojawiła się u mnie reporterka z *Business Week*, przygotowująca artykuł na temat obrony prawnej firmy Stephena. Obszarpany fotograf z asystentem trudnej do określenia płci nakłonili mnie do pozowania na tle płyt nagrobnych, które ustawili na podłodze mojego gabinetu.

W moim świecie zawodowym informacje o zawarciu transakcji pojawiają się w gazetach na stronach poświęconych biznesowi, obwiedzione czarnymi ramkami niczym klepsydry. Oprawione w folię kopie takiej informacji rozdaje się często na pamiątkę zakończonych sukcesem pertraktacji. Fotograf wykonujący niezliczoną ilość zdjęć prawników pozujących z ich nieodłącznymi aktówkami uznał, że takie ujęcie będzie bardziej interesujące. Może i było, ale kiedy tylko je

widzę (Stephen ma jedno u siebie w gabinecie), zawsze mi się przypomina, jak groteskowo wtedy to wyglądało.

Nie cierpię „być wypychana w światła rampy”, jak to zgrabnie ujął Stephen, ale bardziej jeszcze obawiam się wszystkich tych domysłów, które tylko by się potwierdziły, gdybym się zgodziła na wywiad. Przede wszystkim jednak, jeśli się nie potrafi zapytać: „Co do mnie czujesz?”, to sprawa czy się jest, czy też nie jest parą pozostaje otwarta. Między Stephenem i mną zawsze istniały niedopowiedzenia. Wiele przeszliśmy razem — chorobę Russela, zamach na firmę Stephen, śmierć jego bratanicy — jednak nigdy nie określaliśmy charakteru naszego związku.

— Muszę zasięgnąć opinii w zarządzie naszej kancelarii — powiedziałam w końcu. — Nie wiem, czy uznają to za korzystne dla jej wizerunku. Dam ci znać za dzień lub dwa, dobrze?

— Jasne — rzekł Stephen, poklepując mnie po ręce na pożegnanie. — Dziękuję, że przyszłaś dzisiaj. Wiem, jak wiele masz pracy ze sprawą Hextera.

— Dobranoc — powiedziałam. — I dziękuję za bransoletkę.

Nie miałam najmniejszej ochoty na wywiad w *Chicago Magazine*. Ale czy dlatego, że nie chciałam odpowiadać na pytania, które zakładały intymną więź, jaka nas ze Stephenem nie łączyła? A może bałam się, iż istniejący stan nagle zmieni się w taką intymną więź? Czy Stephen chciał tego artykułu, ponieważ uważał, że to będzie dobra reklama dla jego firmy, czy też dlatego, iż publiczne oświadczenie, że tworzymy parę, pomoże nam rzeczywiście się nią stać? Nie miałam pojęcia. Byliśmy ze Stephenem przyjaciółmi od ponad dziesięciu lat, a jednak nadal wiedziałam o nim niewiele więcej niż to, co sama mogłam zaobserwować.

Ucieszyłam się, że w domu zastałam moją współlokatorkę.

— Piękna sukienka — powiedziała Claudia. — Ale sądząc z miny, nie bawiłaś się najlepiej.

— Stephen kupił mi na aukcji szafirowo-diaментową bransoletkę. — Wyciągnęłam rękę, żeby mogła obejrzeć błyskotkę.

— No tak, teraz już wszystko jasne. Ja też mam zrujnowany wieczór, jeśli ktoś mi podaruje cenną biżuterię.

Opadłam na mój ulubiony fotel i kopnięciem zrzuciłam buty.

— Ale co to może znaczyć? — zapytałam.

— Czasem jesteś trochę tępawa — odparła Claudia. — W piątej klasie, jeśli cię chłopak walnął łokciem pod żebro, znaczyło to, że cię lubi, pamiętasz, jak to było? Ale chłopcy podrosli i teraz dają ci, na przykład, biżuterię.

— Wiesz przecież, że ze Stephenem jest inaczej. W każdym razie tak mi się wydaje.

— Prawie dałam się nabrać — zażartowała Claudia. — Dziś rano wypadła mi soczewka kontaktowa i kiedy jej szukałam na czworakach, pod fotelem, na którym

siedzisz, znalazłam majtki Stephena. Ciekawe, skąd się tam wzięły. Czyżbyście dyskutowali o anatomii?

— Oj, daj mi spokój! — zawołałam. — Od śmierci Hextera jestem w paskudnym nastroju. Jak tylko mi zamordują klienta, od razu wpadam w taki nastrój.

— Więc nadal jesteś pierwszą podejrzaną?

— Nie wiem. Może jestem. Myślę, że podejrzany dowiadyje się ostatni. — Gwen, mojej przyjaciółce, która robi specjalizację z chirurgii plastycznej, udało się zdobyć głowę, no wiesz, z trupa, żeby poćwiczyć. Myślę, że mogłaby nam ją pożyczyć. Będziemy ją trzymać w zamrażarce na wypadek, gdyby wróciła policja.

Na dźwięk domofonu spojrzałyśmy na siebie.

— Spodziewasz się gości? — zapytała Claudia.

— Nie. A ty?

— Nie.

Wstałam i nacisnęłam przycisk domofonu. Przy Hyde Parku nocnych gości nie traktuje się spontanicznie.

— Kto tam? — spytałam groźnie.

— Detektyw Ruskowski — odezwał się znajomy głos.

— Niech pan wejdzie — warknęłam i skurczyłam się w sobie, przygotowując się na najgorsze.

Rozdział 13

Proszę się czuć jak u siebie w domu — powiedziałam, otwierając drzwi. — Wie pan, gdzie co jest.

Policjant podążył za mną do pustego salonu. Claudia najwyraźniej zdezertowała. Mimo że nie byłam do niego przyjaźnie nastawiona, nie mogłam nie dostrzec, że wygląda na zmęczonego. W ciągu tych trzech dni od zabójstwa Hextera garnitur Ruskowskiego pewnie ani chwili nie wisiał na wieszaku.

— Gdzie się pani wybiera? — zapytał detektyw, spoglądając na moją wieczorową suknię.

— Nie. Właśnie wróciłam. Czym mogę służyć?

— Dzwoniła pani do mnie dziś trzy razy — odparł Ruskowski — więc pomyślałam sobie, że może ma mi pani coś do powiedzenia.

— Tak, ale niekoniecznie osobiście. Nie musiał się pan tu specjalnie fatygować.

— Byłem w okolicy. O co chodzi?

— Czy policja zabrała z domu Hextera jakieś dokumenty?

— A czemu pani pyta?

— Bart przyrzekł, że mi przekaże pewne dokumenty dotyczące dochodzenia prowadzonego przez CFTC w jego sprawie. Nie mogę ich nigdzie znaleźć, pomyślałam więc, że może je zabrała policja.

— Muszę panią rozczarować.

— Więc gdzie są? — zapytałam.

— Przede wszystkim skąd pani wie, że w ogóle były? O ile mi wiadomo, Hexter czterokrotnie odwoływał spotkania z panią. Wygląda na to, że pani unikał.

— Albo też nie przejmował się zbyt śledztwem CFTC. Nie wydaje się panu jednak dziwne, że te papiery ot tak zniknęły? Nie tylko papiery. Wymazane

też zostały w Hexter Commodities zapisy komputerowe dotyczące tej sprawy. Trochę dziwny zbieg okoliczności. Hexter ginie, a zapisy w komputerze znikają. Można by sądzić, że istnieje tu jakiś związek.

— Wy, prawnicy, wszyscy jesteście tacy sami. Jeśli coś jest proste, to zaraz musicie to pogmatwać. Hexter dał komuś popalić, a ten ktoś postanowił wyrównać rachunki. To nie są historyjki detektywistyczne, tu wszystko dzieje się naprawdę. Wie pani, jak gliniarze wykrywają sprawców morderstwa? Dowody, świadkowie, zeznania. Pani mi powie, jak czegoś dokonano, znajdzie kogoś, kto coś widział albo słyszał, a ja pani powiem, kto to zrobił. Motywy gównu mnie obchodzą. Może w Orient Expressie liczyły się motywy, ale nie w Chicago. „Dlaczego” nie ma znaczenia, ważne jest „jak”, a w dziewięciu przypadkach na dziesięć powiem pani „kto”.

— To może zainteresuje pana w takim razie, że Hexter miał zwyczaj trzymać w szufladzie biurka pistolet. Jedna ze służących widziała go tam w piątek rano, lecz kiedy w niedzielę przeglądałam zawartość szuflady, nie było go tam.

— Długo pani czekała, żeby mi to powiedzieć — warknął Ruskowski.

— Dowiedziałam się dopiero dzisiaj. Przyszła do mnie niejaka Elena Olarte.

— Pokojówka — popisał się swoją pamięcią Ruskowski.

— Chciała się dowiedzieć, czy Hexter zapisał jej jakieś pieniądze w testamencie. Twierdzi, że została zwolniona przez Pamelę, ponieważ wiedziała o pistolecie w szufladzie. Możliwe, że to tylko insynuacje rozżalonej służącej, tego nie wiem. Mogę panu jednak dać jej numer telefonu. — Wyjęłam z torebki kartkę z numerem.

— Prawdopodobnie kłamie — stwierdził detektyw, kiedy mu ją wręczyłam.

— Dlaczego pan tak uważa?

— Ponieważ nauczyłem się w tej pracy jednej rzeczy — powiedział ze znużeniem Ruskowski. — Jednej niepodważalnej prawdy. Że wszyscy kłamią. — Spojrzał na mnie twardo. — Wszyscy.

Moja sekretarka musi mnie bardzo kochać, bo kiedy Elliott Abelman spytał ją, gdzie blisko sądu mógłby mnie zaprosić na śniadanie, natychmiast mu poleciła knajpkę Lou Mitchella. Kto chce, może iść na świeże bułeczki, ćwiartki grapefruta po dwanaście dolarów i potężne śniadania do przeszklonych restauracji takich jak La Tour. Ja wolę długie poobijane stoliki ustawione tak, że jedząc trąca się łokciem sąsiada, jak w gospodzie dla drwali. Wolę towarzystwo sprzedawców obuwia, spekulantów giełdowych, bukmacherów i ludzi wypuszczonych z aresztu za kaucję. To tu można zjeść najlepsze śniadanie w Chicago.

Lou jak zwykle przywitał mnie u wejścia, częstując ciepłym pączkiem. Elliott już na mnie czekał, świeżo odprasowany i uczesany, przygotowany do występu

w sądzie. Miał na sobie białą koszulę i elegancki niebieski garnitur. Wsunęłam się za stolik naprzeciw niego i z wdzięcznością przyjął od kelnerki filiżankę kawy.

Elliott miał dziś zeznawać na procesie Ernesta Folkmana. Folkman grał kiedyś w drużynie Niedźwiedzi jako skrzydłowy, a po zakończeniu kariery futbolowej podjął studia medyczne. Po zrobieniu dyplomu otworzył praktykę w okolicy, gdzie się wychowywał. Wydawało się, że idzie mu bardzo dobrze, dopóki nie okazało się, że naciągał ubezpieczenia na jakiś milion rocznie, każąc sobie zwracać za usługi świadczone pacjentom, którzy nie istnieli.

Folkmanowi udawało się ciągnąć ten proceder przez dłuższy czas, ponieważ w różnych sekcjach tej samej firmy ubezpieczeniowej miał dwie przyjaciółki. I nadal mógłby być lekarzem cieni, gdyby jedna z tych przyjaciółek nie przyłapała go na figlach z pielęgniarką i nie dała znać do Biura Prokuratora Okręgowego. Elliott, który pełnił w tym czasie funkcję oficera śledczego w prokuraturze okręgowej, spędził prawie trzy lata na rozszyfrowywaniu oszustw Folkmana.

— Dziś wielki dzień w sądzie — powiedziałam. — Masz pietra? Słyszałam, że oskarża sam Pete DeGrandis. Mówi się, że zamierza się przeprowadzić z Biura Prokuratora Okręgowego do rezydencji gubernatora.

— Nie wiem, czy rezydencja gubernatora jest dla niego wystarczająco duża. Jeśli wygra wybory, będą chyba musieli jeszcze wznieść przybudówkę dla jego *ego*. — Roześmieliśmy się oboje. — Przyznam, że niezbyt chętnie tam idę. Wiesz, że Folkmana broni Morry Greenblatt? Obawiam się, że proces będzie grą między oponentami, zwycięży ten, kto będzie dłużej gadał.

Nadeszła kelnerka i zamówiliśmy omlety. Dla Elliotta western, a dla mnie ze szpinakiem i serem.

— Jak długo będziesz musiał zeznawać? — zapytałam, kiedy odeszła kelnerka.

— Tylko dzisiaj. A czemu pytasz?

— Zastanawiałam się, czy nie miałbyś trochę czasu, żeby coś dla mnie zrobić.

— Ależ oczywiście.

— Jedna z pracownic Hexter Commodities zadzwoniła do Bartona juniora. Twierdzi, że miała romans z Hexterem i domaga się pieniędzy. Syn chciałby wiedzieć, czy kobieta mówi prawdę i prosił mnie, żebym z nią porozmawiała. Pomyślałam, że dobrze by było najpierw ją sprawdzić. Obawiamy się, że może pójść do gazet ze swoją historią.

— Wiesz, że prawo nie zezwala na tego rodzaju szantaż?

— Zbyt długo pracowałeś w Biurze Prokuratora Okręgowego — odparłam. — Bartonowi zależy tylko na tym, żeby nie niepokoić matki. Rozgłos nadany tej sprawie mógłby zniszczyć rodzinę.

— Założę się, że pani Hexter wie już o tym, a w każdym razie nie będzie to dla niej zaskoczeniem. Żaden spekulant nie potrafi utrzymać portek na tyłku.

Rozejrzałam się po restauracji, w której wielu z nich posilało się przed dniem na giełdzie.

— Cieszę się w takim razie, że mam w tobie obrońcę — powiedziałam żartobliwie.

— Na twoim miejscu nie czułbym się tak bezpiecznie — odparł z wilczym uśmiechem Elliott. — Ale, wracając do rzeczy, dam wam dobrą radę. Jeśli jej zapłacicie, to przyjdzie po więcej.

— Chciałabym ją jednak sprawdzić. Szczególnie mnie ciekawi, czy pozowała do rozbieranych zdjęć. Znalazłam zestaw takich fotografii w szufladzie biurka Hextera.

— Czy mógłbym je obejrzeć?

— Dałam je policji. Mam nadzieję, że twoje zainteresowanie jest czysto zawodowe.

— To zależy od tego, jak ona wygląda.

— Nie jestem pewna, czy to ją widziałam. Jeśli tak, to jest wspaniała. Nazywa się Torey Lloyd i pracuje w Hexter Commodities jako goniec.

— Udałoby się załatwić jej teczkę osobową?

— Prześlę ci przez posłańca dziś wieczorem. Kiedy będziesz mógł coś o niej powiedzieć?

— Jeśli możesz poczekać z rozmową do końca tygodnia, to w piątek powinienem coś mieć dla ciebie. Czy wspomniałaś o niej Ruskowskiemu? Jeśli rzeczywiście miała romans z Hexterem, to może należeć do grona podejrzanych.

— Jeśli rzeczywiście miała z nim romans, to jestem pewna, że już o niej wiedz. Poza tym trochę za często miewam ostatnio kontakty z policją.

— Masz dar ściągania na siebie kłopotów, Millholland — zauważył Elliott, kiedy podano nasze omlety. — Trochę ostatnio gadałem z gliniarzami z Chicago, którzy zeznają przeciw Folkmanowi. I wiesz co? Wszyscy są wpięprzeni, że Hexter nie zginął w firmie w Chicago. Czują się, jakby ich obrabowano z łatwego kęsa. Wygląda na to, że chłopcy z Lake Forest uważają, że ta sprawa to kiks.

— Co to jest kiks?

— Z punktu widzenia detektywa z wydziału zabójstw morderstwa dzielą się na kiks i zgryzy. Zgryz to taka sprawa, gdzie zabójca pozostaje zagadką. Kiks jest łatwy do wykrycia. Ci z Lake Forest chwalą się, że lada moment dokonają aresztowania.

Odsunęłam od siebie talerz. Stalowe palce zacisnęły mi się na żołądku.

— Mam nadzieję — powiedziałam słabym głosem — że tą osobą, którą w końcu zaarrestują, nie będę ja.

Kiedy weszłam do kancelarii, czekał tam na mnie zrozpaczony Sherman.

— Siedziałem nad tym wczoraj do północy — uskarżał się. — Próbowałem porównywać potwierdzenia z Izby Rozrachunkowej z oryginałami zleceń, ale to wszystko jest zupełnie przemieszane.

— Jak to przemieszane? — zapytałam.

— Totalny bałagan! Nie są ułożone ani według daty, ani według towaru, część jest włożona na odwrót. Potrzeba kilku dni, żeby to posortować.

Sherman zaprowadził mnie do małej salki konferencyjnej, gdzie pracował. Zobaczyłam, że próbował uporządkować te formularze, z których każdy nie większy był od karty do gry. Na lśniącym mahoniowym stoliku leżały ich setki, ułożone według daty, lecz obok piętrzyły się jeszcze tysiące. Uporządkowanie tego małego stosiku zabrało Shermanowi cały wieczór. W miarę jak Sherman mówił, doznałam olśnienia. Ktoś celowo przemieszał te karty.

Wróciłam do swojego gabinetu, kipiąc ze wściekłości na zamordowanego. Jego motyw owiane były tajemnicą, nie rozumiałam jeszcze tych gier z CFTC, lecz jedna rzecz nie budziła wątpliwości. Nawet po śmierci Bart Hexter stroił sobie ze mnie żarty.

Nie potrzebowałam kalendarza, by wiedzieć, że za dwa dni upływa ostateczny termin złożenia wyjaśnień w CFTC. W pierwszym odruchu pomyślałam, że pójdę nawet na kolanach do Geissa błagać o dalsze przedłużenie terminu. Lecz zaraz sobie przypomniałam, jak bardzo mu zależy na wykończeniu firmy, więc byłyby to tylko zachęta do zadania ostatecznego ciosu.

Prawdziwa siła kancelarii takiej jak Callahan Ross nie leży w inteligencji i doświadczeniu prawników, lecz w sieci misternych powiązań z instytucjami i osobami, które można prosić o różnego rodzaju uprzejmości. Posłałam Cheryl do biblioteki, żeby zebrała dane biograficzne o komisarzach z CFTC. Potem wyciągnęłam od współników kontakty i dojścia do CFTC. Następnie aż do lunchu wydzwaniałam z prośbą o poparcie do tych osób, którym Geissowi trudno byłoby odmówić. Dopiero po dwunastej przypomniałam sobie o teczce osobowej Torey Lloyd.

Podniosłam słuchawkę i zadzwoniłam do Hexter Commodities. Czekałam prawie minutę, nim Barton podszedł do aparatu.

— Kate? — zapytał ostro. Z trudnością rozpoznałam jego głos, taki był wściekły. — Właśnie miałem do ciebie dzwonić. Mam tu dosyć niemiłą sytuację. — Mogłabyś przyjechać?

— Teraz? — zapytałam zdumiona.

— Najszybciej jak się da.

Kiedy przybyłam do Hexter Commodities, nawet nie musiałam pytać, gdzie jest Barton. Skierowałam się w stronę, skąd dochodziły wrzaski. Drzwi do gabinetu Carla Savage'a były zamknięte, ale łatwo można było rozróżnić jego dudniący baryton i bardziej piskliwy tenor Bartona. Pracownicy przypominali zdezorientowane kłótnią rodziców dzieci.

Czułam na sobie wzrok wszystkich, którzy tam stali. Zapukałam do drzwi, ale nie było odpowiedzi. Bez wątplenia nie słyszeli mnie w swoim zacierzwieniu. Nabrałam więc powietrza w płuca, przekreśliłam gałkę i weszłam do środka.

Obydwaj mężczyźni stali naprzeciw siebie, gotowi do walki. Telefon dzwonił

jak zwariowany, ale żaden z nich nie podnosił słuchawki. Savage z nabrzmiałymi na szyi żyłami wrzeszczał na Bartona.

— Możesz mi skoczyć! Mam kontrakt do stycznia. Podam cię do sądu. Latami będziesz spłacał adwokata!

— Wynocha — warknął Barton. Wyglądał na równie podenerwowanego jak Savage, ale bardziej nad sobą panował. — No, wynoś się. Spieprzaj!

— Będziesz żałował, jeśli to zrobię. Ta firma działa jeszcze tylko dlatego, że ja tu jestem. Jeśli odejdę, pójdą ze mną wszyscy klienci. Za tydzień tę budę trzeba będzie zamknąć.

— Nie byłbym tego taki pewien — niktął Barton.

— Nie? Ciekawe, kto będzie przeprowadzał operacje? Kto będzie decydował, kiedy kupić i kiedy sprzedać. Czy myślisz, że ktoś z tamtych się do tego nadaje? A może sam spróbujesz? To nie symulacja komputerowa. Tu się gra prawdziwymi pieniędzmi, ale tobie brakuje odwagi, żeby chociaż spróbować.

— Interesują mnie jedynie opinie moich pracowników. A ty jesteś zwolniony.

— A gównu! — wrzasnął Savage.

— Wywalony na zbity pysk! Masz trzy minuty, żeby opuścić firmę. Potem zawołam strażników i każę cię stąd wyrzucić.

— Spróbuj tylko! — wrzasnął Savage. Barton spojrział na zegarek.

— Dwie minuty czterdzieści sekund — odliczył.

— Możesz sobie już podarować te czterdzieści sekund, ty pierdolony wycmoczku! — Savage splunął i rzucił się na Bartona.

Instynktownie wsunęłam się między nich, żeby ich rozdzielić, kuląc się z obawy przed ciosem.

— Niech pan go uderzy — syknęłam — a ja już zadbam, żeby pana wsadzili za kratki za chuligański napad tak szybko, że nie zdąży pan się nawet obejrzeć.

W odpowiedzi Savage zazgrzytał zębami, ale to Bartona chciał uderzyć. Moja osoba okazała się wystarczającą przeszkodą, żeby z tego zrezygnował.

— Proszę teraz wyjść — zakomenderowałam. — Niech się pan zgłosi do mojego biura w piątek rano i formalnie załatwimy sprawę pańskiego zwolnienia. — Sięgnęłam do kieszeni i podałam mu swoją wizytówkę.

— Cipa! — wyrzucił z siebie.

— Może mnie pan nazywać, jak się panu podoba — odparłam z dobrodusznym uśmiechem. — Ale przedłużanie tej konfrontacji nic panu nie da. Radzę, żeby pan wyszedł.

— Będziecie tego jeszcze żałować — zagroził Savage, zatrzymując się na chwilę w drzwiach. Potem dumnym krokiem opuścił biuro.

— O co poszło? — zapytałam, czując, jak nadal wali mi serce.

Barton z posępnym wyrazem twarzy usiadł na krześle Savage'a.

— Jakąś godzinę temu Carl oznajmił mi, że otrzymał ofertę od konkuren-

cyjnej firmy i poinformował mnie, że jeśli chcę, by nadal został w Hexter Commodities, będę mu musiał podwoić pensję oraz przekazać dziesięć procent udziałów w przedsiębiorstwie.

— Niesamowite.

— On wie lepiej niż ktokolwiek inny, w jak trudnej sytuacji się znajdujemy i postanowił to natychmiast wykorzystać. Ojca jeszcze nie pogrzebano, a ten już się domaga podwyżki. Stwierdziłem, że od pracowników oczekiwałem lojalności, a nie pazerności. Odparł, że łatwo mi mówić, bo z dnia na dzień stałem się milionerem. Powiedziałem, że nie zamierzam nawet rozpatrywać jego żądań. Gdy zadzwoniłaś, ta rozmowa zaczynała się robić coraz to bardziej niemiła i osobista. Dobrze, że przyszedł w odpowiedniej chwili. Gdyby nie ty, to na pewno by mnie uderzył.

— Savage to brutal — przyznałam. — Ale ludzie brutalni czują respekt przed tymi, którzy potrafią im odplacić tym samym.

— Wprowadzenie tej teorii w życie wymaga jednak właściwego nastawienia psychicznego — stwierdził z przekąsem Barton. — Cieszę się, że do tego nie doszło. Podbite oko raczej by mi nie pomogło w budowaniu autorytetu u podwładnych.

— Niezbyt to dobry czas, żeby tracić tak ważnego pracownika jak Savage.

— Wiem. Mam wrażenie, że właśnie podciąłem gałąź, na której siedzę.

— Kto teraz będzie podejmował decyzje operacyjne? — spytałam. Rozległo się głośne pukanie.

— Wejść! — zawołał Barton.

W drzwiach pojawił się młody człowiek w pomiętej marynarce i przekrzywionym krawacie. Wyglądał na mocno zaaferowanego.

— Mam tu wypełnione zlecenia, które trzeba wywołać w ringu — powiedział niepewnie. — Sporo zleceń na lipcową soję po trzydzieści lub mniej. Doug mówi, że lipcowa jest teraz po dwadzieścia siedem i szybko pnie się w górę. Carl o mało mnie nie przewrócił, schodząc na dół. Kiedy go zapytałem, co robić, kazał mi zapytać pana.

— Daj mi to. — Barton odebrał od chłopaka karty ze zleceniami. — Jaki jest numer obserwatora w ringu sojowym? — Przyłożył słuchawkę do ucha, podniósł na mnie wzrok i pomachał mi ręką na pożegnanie.

Kiedy wróciłam do kancelarii, Cheryl powiedziała, że Herman Geiss pragnie mnie pilnie widzieć. Herman zazwyczaj urzędował w głównym biurze w Waszyngtonie, ale dziś był w Chicago i czekał na mnie w tutejszym przedstawicielstwie CFTC. Zadzwoniłam, żeby mu powiedzieć, że jadę, wskoczyłam do taksówki i wkrótce znalazłam się w zatłoczonym chicagowskim biurze CFTC.

Herman czekał na mnie w małej salce konferencyjnej bez okien, umeblowanej pokancerowanym stołem konferencyjnym, otoczonym przypadkowym

zestawem poobijanych krzesel. W powietrzu czuło się zapach awantur, które się tu rozgrywały.

Przy stole Herman zgromadził swój pierwszy garnitur pracowników. Byli tam Gary Sanders, również z waszyngtońskiego biura, i Darlene McDonald — nowy nabytek komisji. Darlene przeszła do CFTC z Ministerstwa Skarbu i pod koniec roku w związku z zamierzonym przez Hermana rozpoczęciem prywatnej praktyki miała zająć jego miejsce. Gdy tylko usiadłam, Herman zamknął drzwi. W kącie znajdował się stolik dla stenotypistki, ale nikt przy nim nie siedział. Przypuszczałam, że nie chciał protokołować tego, co miał mi do powiedzenia.

Herman był łysiejącym mężczyzną o coraz to większej tuszy. Sprawiał wrażenie wiecznie poirytowanego. Zajął miejsce naprzeciw mnie i dla uzyskania odpowiedniego efektu uderzył dłonią w stół. Niczym wędrowny kaznodzieja pochylił swoje nalane oblicze, jakby chciał zajrzeć w moją duszę.

— I co ty, Millholland, do cholery, znów kombinujesz? — zapytał gniewnie, przysuwając twarz tak blisko mojej, że mogłam wyczuć, co jadł na lunch.

— A o jaką sprawę ci chodzi, Herman?

— Lepiej nie strugaj niewiniątka! — wrzasnęła. — Czy jest jeszcze jakiś senator, do którego dziś nie dzwoniłaś?

— Możliwe, że pominęłam jednego czy dwóch. Nie dałeś mi wyboru. Kiedy ostatnio rozmawialiśmy przez telefon, nie pozostawiłeś mi żadnych wątpliwości co do tego, że nie zamierzasz się zachować rozsądnie, mimo to że mam tu do czynienia ze szczególnym zbiegiem okoliczności. Sam jesteś sobie winien.

— To, co dziś zrobiłaś, było bezczelnym, podstępny wykorzystaniem naszych firmowych koneksji, żeby wywrzeć na mnie nacisk. Nie sądziłem, że możesz się do tego zniżyć, Millholland.

— Poczekaj, aż znajdziesz się po drugiej stronie — powiedziałam, świadoma mieszanych uczuć, jakie Herman żywił odnośnie opuszczenia swojej rządowej posady na rzecz prywatnej praktyki. — Moim zadaniem jest robić wszystko co w mojej mocy, by realizować interesy moich klientów. Za to mi płacą. Na tym polega różnica między rolą obrońcy i siepacza. — Spojrzałam na Hermana w obawie, że trochę się zagalopowałam. Pozostali przenosili wzrok to na mnie, to na niego, jakby obserwowali jakąś rozgrywkę.

— Jeśli chcesz, możesz siebie nazywać obrońcą, Kate. Ale tak naprawdę najzwyczajniej się prostytuujesz. Niedobrze mi się robi, kiedy widzę, jak utrudniasz wszczęcie postępowania przeciw takiemu typowi jak Hexter.

— Hexter nie żyje — zauważyłam. — Zachowaj swoją nienawiść dla tych, co żyją.

— Nie mów mi, co mam robić. Stosowne władze uznały, że powinienem ci jeszcze dać pięciodniową prolongatę terminu. I żeby wszystko było jasne. Teraz ja dostałem w skórę, ale za pięć dni dobiore się do twojej.

Rozdział 14

W drodze powrotnej zatrzymałam się w dwóch miejscach. Najpierw pod kioskiem, żeby kupić torebkę czekoladek M&M, a potem przed sklepem Starbucksa, żeby kupić kawę. Stwierdzenie, że miałam kiepskie przedpołudnie byłoby niedopowiedzeniem. W przeciągu dwóch godzin najpierw o mało nie zostałam pobita przez byłego szefa działu transakcji w Hexter Commodities, a potem szef działu kontroli i dochodzeń CFTC poinformował mnie, że za tydzień dobierze mi się do skóry. Cheryl spojrzała tylko na czekoladki i kawę i zapytała:

— Aż tak źle poszło?

— Żałuję, że nie mam zbroi — odparłam.

Weszłam do gabinetu, kopnięciem zrzuciłam buty, a potem zdjęłam żakiet. Na moim krześle wisiała lawendowa szyfonowa sukienka.

— Cheryl!?! — zawołałam. — Co to takiego?

— Ach, przepraszam cię, Kate — powiedziała, zgarniając sukienkę. — Kupiłam ją w porze lunchu i przymierzałam w twoim gabinecie. To jest moja sukienka drużyny. Będę nią w tym tygodniu na ślubie mojej przyjaciółki Camille. — Rozpostarła sukienkę i podniosła do góry, żeby mi ją pokazać. — Czyż nie jest obrzydliwa?

— Nie ma takiej sukienki drużyny, która by nie była obrzydliwa — odparłam.

— Czy wiesz, jakie są trzy największe kłamstwa wszech czasów?

— Nie. Jakie?

— Pierwsze: „Właśnie zamierzałam do ciebie zadzwonić”. Drugie: „Już wysłałam czek” i trzecie: „Jeszcze nieraz włożysz tę sukienkę”.

— Masz rację. Nie chciałabym, żeby mnie w niej pochowano. — Już sobie wyobrażam w takiej sukience siostrę Camille. Ma pięć stóp i dwa cale wzrostu i waży dwieście funtów. Musisz jeszcze zobaczyć buty. — Popędziła do swojego biurka i wróciła z czółenkami na trzycalowych obcasach, również w lawendowym

kolorze, żeby pasowały do sukienki.

— Śliczne — powiedziałam. — Na pewno długo będą ci służyły.

Roześmiałyśmy się. Zadzwonił telefon. Odebrała Cheryl i przekazała mi słuchawkę.

— Barton — szepnęła, zakrywając mikrofon. — Zakładam, że masz ochotę z nim rozmawiać.

— Moglibyśmy się spotkać? — zapytał, kiedy odebrałam słuchawkę. — Myślę, że rzeczywiście podciąłem sobie dziś gałąź. Może zechciałabyś wpaść dziś do nas do domu. Przynależem Jane, że wrócę na kolację. W środy nasza pomoc domowa ma wolne i o szóstej Jane jest już wykończona. Zjedlibyśmy razem.

— Och nie, dziękuję. Nie będę wam robić kłopotu. Ale mogę przyjść po kolacji.

— Nie, nie. Najlepiej będzie, jeśli przyjdiesz na kolację. Szczerze przyznaję, nie wiem jak powiedzieć Jane, co się dziś wydarzyło. Wolałbym, żebyś była na podorzędziu.

— Boisz się, że cię spierze?

— Coś w tym rodzaju.

Barton i Jane Hexterowie mieszkali w ładnie odrestaurowanym wiktoriańskim domu przy cichej, wysadzonej drzewami ulicy w Evanston. Sąsiedztwo zamieszkiwały rodziny z dziećmi. Przed domami widać było trzykołowe rowerki, a z tyłu drewniane huštawki. Wszędzie dostatek i spokój.

Jane przywitała mnie w drzwiach, trzymając wysoko nad zaokrąglonym brzuchem wymachującego nogami dwulatka. Miała na sobie dres w kolorze ciemnej czerwieni, który podkreślał bladość jej skóry. Zmęczenie i stres ostatnich dni odcisnęły na niej swe piętno.

— Witaj w małpim gaju — powiedziała, uśmiechając się słabo. — Ta mała małpka to Peter.

— Iii, iii — Peter zaraz zademonstrował małpie dźwięki.

— A teraz biegnij na górę i poszukaj tej drugiej małpki — poleciała Jane, stawiając go i klepiąc czule po pupie. — Chodź. Barton jest w jadalni. Usiłuje poprawiać jakieś egzaminy, ale tak naprawdę to chowa się przede mną. Czy mówił ci, że wyrzucił dziś z pracy Carla Savage'a?

— Byłam przy tym. Mam jednak nadzieję, że mimo to nie dosypiesz mi do zupy arseniku.

— Zupę dostaniesz, a nad arsenikiem się zastanowię. — Jane poprowadziła mnie w głąb domu. Urządzony był komfortowo, za pomocą dosyć nowoczesnych mebli. Stonowane kolory, wypolerowana podłoga i książki w każdym możliwym kącie. W salonie stał olbrzymi koncertowy Steinway. W wykuszu okiennym chowała się harfa. Wszędzie mnóstwo porozrzucanych zabawek.

Na dźwięk naszych głosów Barton wychylił się z jadalni, wciskając koszulę w dżinsy.

— Cześć, Kate. Oho, to już pora na kolację? Napijesz się czegoś? Piwo? Wino?

— Chętnie, odrobinę wina.

— Ja przyniosę — powiedziała Jane. — Wy sobie tymczasem tu usiądźcie. I tak muszę iść do kuchni, zobaczyć, co z kolacją.

— Jesteś pewna, że nie trzeba ci w czymś pomóc? — zapytałam.

— Nie, nie. Wszystko jest pod kontrolą.

Usadowiliśmy się z Bartonem wygodnie. Nad sobą słyszałam tupot małych stóp i piski radości.

— Widzę, że dosyć gładko poszło ci z Jane — zauważyłam.

— Zdziwiająco lekko to przyjęła, ograniczyła się do stwierdzenia, że jestem idiotą.

— A jak na giełdzie?

— No cóż. Ja nie jestem taki jak ojciec. Nie potrafię wszystkiego sumować i rejestrować w pamięci. Będę musiał wprowadzić jakiś system rejestrowania transakcji. Tim nie jest tym zachwycony. Przedtem spotykali się codziennie z ojcem i sprawdzali wszystkie transakcje, myślę, że zabierało im to dwadzieścia minut. Poświęciliśmy dziś na to godzinę, a i tak rozliczyliśmy tylko dwa typy towaru. Tim nie wyglądał na szczególnie szczęśliwego, kiedy mu powiedziałem, że będzie musiał przyjść o szóstej, żebyśmy to mogli dokończyć.

— Czy jego zamierzasz zwolnić w następnej kolejności? — zapytała Jane, która pojawiła się właśnie z moim drinkiem. — Na uniwersytecie nie możesz zwolnić nikogo, nawet sekretarki. Myślę, że władza uderzyła mu do głowy. Czy powiedziałeś Kate o Margot?

Barton zakrył twarz rękoma.

— Czy w tym domu nie da się utrzymać żadnego straszego sekretu! — zawołał z udawaną desperacją.

— Ta tajemnica i tak szybko by wyszła na jaw — odparła Jane. Zwróciła się do mnie. — Margot dzwoniła dziś do mnie wyjątkowo podekscytowana. Podobno jest w ciąży.

— No to koniec z ekstrawagancjami?

— Oj, nie. Nie rozumiesz. To właśnie ich dalsza część. Brooke, przyjaciółka Margot, przepraszam, jej „partner życiowy”, zapłodniła ją drogą sztucznej inseminacji. O ile wiem, musiały w tym celu wykorzystać jakiegoś homoseksualistę płci męskiej. Margot chętnie opowiada o szczegółach. Do przeprowadzenia tego zabiegu użyły ponoć kuchennej pipety z pompką do odciągania tłuszczu. Planują wspólnie wychowywać dziecko — mamusia Margot, mamusia Brooke i tatuś, wszystko jedno jak mu tam.

— Czy powiedziała Pameli? — zapytałam.

— Tak — odparł Barton. — Mama stwierdziła, że może tylko Bogu dziękować, iż ojciec tego nie dożył. Potwierdziła też swój wyjazd, wspominając o radości

z tego powodu. Prawdopodobnie w piątek przenosi się do Palm Beach. Chyba rodzina się rozpada. Ale to się da udowodnić teorią chaosu. Skomplikowany, szybko rozwijający się system szuka własnego stanu równowagi. Wystarczy jeden egzogenny czynnik i wszystko wymyka się spod kontroli.

— Cóż za odkrywcze stwierdzenie — zadrwiła Jane. — Chyba ci się rozchwiało poczucie proporcji. Owszem, to, co się stało z twoim ojcem, jest czymś potwornym, niezwykłym, ale w przypadku Margot nic się nie zmieniło. Była tak samo rąbnięta, jeszcze zanim ojciec zginął.

— A nie uważasz, że te przenosiny mamy do Palm Beach są nieco nagłe? Poza tym coś jest nie tak między Krissy i jej mężem. Wyczułem to wczoraj, kiedy u nich byłem.

— Wielkie mi rzeczy. Jestem pewna, iż Krissy uważa, że mąż poświęca jej za mało uwagi. Nie ma w tym nic nowego.

— Trochę byłam zaskoczona, widząc wczoraj Krissy na imprezie dobroczynnej Fundacji na rzecz Walki z Artretyzmem — wtrąciłam. — Wiem, że poświęciła sporo czasu przygotowaniom organizacyjnym, ale nie obyło się bez szeptania.

— Matka się wściekła — przyznał Barton.

— Krissy odczuwa ciągłą potrzebę bycia adorowaną — dodała Jane. — Wykorzystuje w tym celu śmierć taty do maksimum. Fourey natomiast spędza większość czasu ze swymi końmi. I wcale go za to nie winię. Gdyby Krissy była moją żoną, w ogóle przeniosłabym się do stajni.

— Nie jesteś sprawiedliwa wobec Krissy — zaoponował Barton. — Krissy była z nas wszystkich w najbliższych stosunkach z ojcem.

— Tak, owinęła go sobie wokół małego palca. Zawsze współczułam Foureyowi. Trudno mu było się porównywać z twoim ojcem. Bart zawsze traktował Krissy jak księżniczkę, a Fourey, choć sympatyczny, nie jest księciem. Myślę, że to wszystko może w końcu wyjść Krissy na dobre. Ma dwadzieścia sześć lat i to jest jej pierwsze zetknięcie z realnym światem.

— Wydaje mi się, że Krissy jest uodporniona na rzeczywistość — mruknął Barton.

— Czy zaproszono cię może na ślub Krissy? — spytała mnie Jane.

— Nie.

— Bez urazy, lecz byłaś prawdopodobnie jedyną mówiącą po angielsku osobą w tym mieście, która nie została zaproszona. Szkoda, że tego nie widziałaś.

— Rzeczywiście sporo było przesady — przyznał Barton. — Ale to wina ojca. O ile wiem, mama walczyła z nim, jak mogła.

— Bart zaplanował całe wesele jako niespodziankę dla Krissy — kontynuowała Jane. — Sam załatwiał dekoracje, wybierał kolory, jedzenie. Gdyby Fourey się tam nie pojawił, nikt by pewnie tego nie dostrzegł aż do chwili, gdy trzeba było powiedzieć „tak”. Bart zabrał ją nawet do Tiffany’ego i z zawiązanymi

oczami kazał jej sobie wybierać brylantową kolię i tiarę. Miała dwie ślubne sukienki, jedną do kościoła, a drugą na przyjęcie weselne, na które Bart sprowadził z Nowego Jorku Stuarta White'a z jego pięćdziesięciodziewięciosobową orkiestrą. Krissy i Fourey odlecieli na swój miodowy miesiąc helikopterem.

— Helikopterem? — powtórzyłam jak echo.

— Helikopterem — przytaknęła z ironią Jane. — Tak, z Bartem trudno się było porównywać.

Kolacja była bezpretensjonalna i wyśmienita. Rzadko mam okazję jadać takie domowe smakowitości: pieczony kurczak, podsmażane ziemniaczki, groszek, sałata. Dwa razy brałam dokładkę. Mali synowie Hexterów, dwuletni Peter, którego miałam okazję poznać przy drzwiach wejściowych, i jego trzyipółletni brat uznali kolację za okazję do rozrób. Mleko się lało i jedzenie fruwało w powietrzu. Rozpoczęły się zawody w bekaniu, ale szybko je przerwano. Kiedy Jane wyszła do kuchni, a Barton zajęty był wycieraniem rozlanego mleka, Peterowi udało się wcisnąć sobie do nosa groszek, czemu nie byłam w stanie przeszkodzić.

— I co? Nie zamierzasz teraz przypadkiem wyrzec się macierzyństwa? — zapytała Jane, kiedy wstaliśmy od stołu. Barton zabrał chłopców na górę do kąpieli, a ja pomagałam Jane.

— W żadnym wypadku — odparłam zgodnie z prawdą. — Właśnie takich emocji brak w moim życiu.

— Trudno mi to uznać za emocjonujące. Czuję przyływ emocji, kiedy wychodzę na podium, orkiestra wstaje i wszyscy na widowni kierują na mnie wzrok. To jest ekscytujące. Natomiast tutaj, to po prostu chaos.

— Ale załóż się, że za nic w świecie nie zamieniłabyś się ze mną miejscami — powiedziałam.

— Zrobiłabym tak na weekend — odparła z uśmiechem Jane. — Szczególnie gdybyśmy się mogły wymienić ciałami. W moim sporo miejsca zajmuje teraz ktoś inny.

— Czy wiesz, co to będzie?

— Nie. Nie mam przekonania do tych współczesnych osiągnięć techniki medycznej. Mimo że wszyscy mówią, iż to bezpieczne. Wolę nie robić ultrasonografii, jeśli to nie jest konieczne. Poza tym miło jest mieć niespodziankę.

— Chciałabyś mieć dziewczynkę?

— Byłabym zadowolona — westchnęła Jane. — W przeciwnym razie możesz sobie wyobrazić, co tu się będzie działo. Przez resztę życia będę się musiała zamykać w garderobie, żeby mieć trochę spokoju. Ale najważniejsze, żeby dziecko było zdrowe, wszystko jedno, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka. Im więcej mam rodzicielskich doświadczeń, tym bardziej rozumiem, jak wielkim cudem jest normalne, zdrowe dziecko.

— Czy chłopczyk, czy dziewczynka, nie będzie ci lekko — powiedziałam, przypominając sobie dzikie brewerie wyczyniane przez chłopców przy kolacji.

— Zgadza się — odparła z uśmiechem Jane. — Z trojgiem dzieci w wieku poniżej czterech lat życie męczennicy mam zagwarantowane.

— Wydaje mi się, że ojciec nigdy nie wierzył w to, że kiedyś umrze — powiedział Barton, nalewając kawę. Chłopcy, już w piżamach, oglądali na górze swoją dzienną porcję programu telewizyjnego. — Wiesz, że dwa lata temu ojciec doznał rozległego zawału serca? Był w stanie śmierci klinicznej, kiedy przewieziono go do sali reanimacyjnej. Nawet po tym przejściu chyba nadal trwał w przeświadczeniu, iż będzie żył wiecznie. Sądził, że wystarczy tylko mocno chcieć i być upartym.

— Jeśli już mówimy o uporze — wtrąciła Jane. — Pamiętasz tę sprawę z defibrylatorem w zeszłym roku? Po zawale u Barta wywiązał się stan nazywany częstoskurczem komorowym — wyjaśniła mi Jane. — Polega to na przerywanym, bardzo nierównomiernym rytmie serca, mającym swoje źródło w komorze sercowej. Lekarze nalegali na założenie defibrylatora, ale Bart się nie zgodził.

— Co to jest ten defibrylator — zapytałam. — Jakiś rozrusznik?

— Nie — odparł Bart. — Defibrylator jest znacznie większy od rozrusznika i potrzebna jest do niego dosyć duża bateria. Wszywa się to pacjentowi. Działa na zasadzie automatycznego startera. Monitoruje rytm serca i kiedy następuje epizod częstoskurczu komorowego, defibrylator przesyła impuls elektryczny do serca, przywracając mu normalny rytm.

— Niezbyt to przyjemne.

— Istotnie — potwierdziła Jane. — Cała rodzina uważała jednak, że lepsze to niż możliwość nagłego zgonu. Ale Bart stwierdził, że jest hazardzistą i podejmuje ryzyko. Pamela nie mogła się z tym pogodzić, ponieważ lekarze powiedzieli, że następny epizod częstoskurczu prawie na pewno okaże się śmiertelny.

— Dzięki Bogu, w zeszłym roku pojawił się na rynku lek regulujący częstoskurcze — wtrącił Barton. — Jednak dopóki ojciec nie zaczął go zażywać, wszyscy bardzo się denerwowaliśmy.

— Nie sądzę, żeby twojemu ojcu spędzało to sen z powiek. Masz rację. Ojciec naprawdę myślał, że jest nieśmiertelny — przyznała Jane.

— Rozmawiałam z kolegą, który ma kogoś w policji — powiedziałam. — Twierdzi, że w najbliższym czasie policja zaaresztuje zabójcę.

— To wspaniale! — zawołała Jane. — Im szybciej go ujmą, tym lepiej. Chciałabym, żeby się to wszystko jak najszybciej skończyło.

— Dla nas się tak szybko nie skończy — mruknął pośepnie Barton. — Zanim przysłaś, Kate, dyskutowaliśmy z Jane i doszliśmy do wniosku, że poproszę dziekana o urlop do września. Nie mam na to ochoty, ale nie widzę innej możliwości.

Muszę cały swój czas oddać Hexter Commodities, bo inaczej firma tego nie przetrzyma.

— Barton uważa, że sam potrafi sobie z tym poradzić — dodała zrezygnowanym głosem Jane.

— Nawet jeśli postanowimy sprzedać firmę lub ją zlikwidować — kontynuował Barton, jakby usiłując przekonać siebie samego — musimy udowodnić, że firma nadal może prężnie działać, nawet bez Barta Hextera. Jeśli sam się tym nie zajmę, wszystko zostanie zmarnowane.

— Nie takie rzeczy się marnują — zauważyła filozoficznie Jane.

— Ojciec całe życie pracował, żeby zbudować tę firmę. Wszystko jedno, co o nim myślisz, ale nie mogę pozwolić, żeby przepadł dorobek jego życia.

Do domu wróciłam wykończona, dezorientowana i nieco przybita. Doszłam do wniosku, że bardzo lubię Jane i Bartona. Że zazdroszczę im ich wspólnego życia, czułości, przekomarzania, dwóch małych chłopców, choć tacy są hałaśliwi i rozchlapują mleko. Doszłam również do wniosku, że jestem wściekła na Barta, bo dał się zabić. Mimo że nie miałam najmniejszego pojęcia, kto go mógł zamordować lub dłaczego, byłam pewna, że Hexter sam w jakiś sposób przyczynił się do swojej śmierci. Z pewnością można wykluczyć bezsensowne działanie jakiegoś wariata. Bart Hexter musiał zostać zabity z jakiegoś konkretnego powodu. Wszystko jedno jakiego, ale teraz cierpieli Barton i Jane.

Spojrzałam na zegarek. Dopiero po dziesiątej. W teczce miałam pełno roboty. Światelko na automatycznej sekretarce błyskało, sygnalizując, że były telefony.

Cisnęłam pocztę na stolik do kawy, nawet jej nie przeglądając, zrzuciłam z siebie ubranie i wczłogałam się do łóżka.

Rozdział 15

Wstałam wcześniej i w pracy byłam przed ósmą. Powinnam teraz przestać się martwić, kto zabił Hextera i zacząć się martwić, jak nie dać się roznieść na strzępy Hermanowi Geissowi. Musiałam wymyślić coś przekonującego dla CFTC.

Wyciągnęłam Shermana Whiteheada z bagna dokumentacji giełdowej, kiedy mi przyrzekł, że dwóch praktykantów dokończy pracę do końca tygodnia, i zagnałam go do biblioteki, gdzie miał poszukać przykładów spraw, w których postępowanie umarzano jeszcze przed ogłoszeniem zarzutów. Istniała słaba szansa, że uda mu się znaleźć jakiś korzystny dla nas precedens. Cheryl wyznaczyłam zadanie wyniuchania czegoś na temat Deodar Commodities.

Kazałam sobie następnie przynieść z archiwum kartoteki odziedziczone po firmie prawniczej, która przede mną reprezentowała Hexter Commodities. Prokuraturze domagającej się przekazania dokumentacji dotyczącej Hexter Commodities przesłałam tylko najnowsze dokumenty. Większości materiałów, które leżały teraz przede mną na biurku, nie miałam nigdy okazji przejrzeć. Zapowiadała się interesująca lektura.

O wzajemnej niechęci Barta Hextera i szefa działu kontroli i dochodzeń CFTC świadczyła prawie każda strona archiwalnych dokumentów.

Wiedziałam, że w opinii Geissa im większe biuro maklerskie, tym bardziej podejrzane. Nigdy jednak nie uświadamiałam sobie stopnia, w jakim angażował agencję do utrudniania życia Hexterowi. Z monotonną regularnością Geiss wzywał na przesłuchania spekulantów korzystających z usług Commodities. Bartowi zarzucał powolność w obsłudze rachunków drobnych spekulantów i nieuczciwość. Ciągłe nakładał jakieś grzywny. Choć większość dochodzeń umarzano, można sobie było wyobrazić, jak tego typu nękanie musiało działać na kogoś o temperamencie Barta.

Hexter, co prawda, też nie przepuszczał okazji, żeby dopiec Geissowi. W czasach, gdy pełnił funkcję prezesa zarządu CBOT, robił co mógł, żeby utrudniać pracę jemu i jego ludziom. Natknęłam się na korespondencję, z której wynikało, że posunął się aż do tego, by żądać odwołania Geissa z zajmowanego stanowiska. Okazało się więc, że ich wzajemna niechęć była bardziej umotywowana, niż mogłam przypuszczać.

Nadal oddawałam się lekturze, kiedy w drzwiach pojawił się Ken Kurlander z czarnym płaszczem przewieszonym przez ramię i czarnymi rękawiczkami w dłoni. Prawdopodobnie przyjechał pociągiem z Kenilworth, zakładając, że zabiorę go samochodem na pogrzeb Barta. Zaczęłam mu tłumaczyć, że nie planowałam iść na pogrzeb, bo muszę przygotowywać odpowiedź Hexter Commodities na zarzuty CFTC, lecz lodowate spojrzenie dezaprobaty, jakim obrzucił mnie Kurlander, sprawiło, że z westchnieniem sięgnęłam po płaszcz.

Kurlander siedział sztywno w moim podstarzałym volvo kombi, jak gdyby chcąc zminimalizować fizyczny kontakt z brudną tapicerką mojego auta. Żeby podtrzymać konwersację zaczął mówić o Pameli Hexter. Okazało się, że policja przeprowadziła jeszcze jedno, znacznie bardziej szczegółowe przeszukanie jej domu, posuwając się tym razem nawet do grzebania w śmieciach. Cała dalsza droga upłynęła nam pod znakiem monologu Kurlandera na temat brutalności policji.

Mszę żałobną celebrowano w kościele św. Stefana. Kiedy przybyliśmy na miejsce, nie mogłam się powstrzymać od myśli, że parking przed kościołem byłby rajem dla złodziei samochodów. Aż roilo się na nim od wozów marki Lamborghini, Testa Rossa i innych, preferowanych przez spekulantów giełdowych, przemieszanych z BMW i mercedesami należącymi do reprezentujących starszy kapitał przyjaciół Pameli Hexter.

Media czekały w gotowości. Wóz transmisyjny z zamontowaną na dachu anteną satelitarną stał zaparkowany ukośnie na chodniku naprzeciw szeroko otwartych dębowych drzwi kościoła, przypominając wyrzuconego na brzeg wiewióryba. Reporterzy, wymachując mikrofonami, zapuszczali się w tłum, jakby przeprowadzali sondaż przed meczem bokserskim.

Tak się nieszczęśliwie złożyło, że w kościele musiałam siedzieć pomiędzy mamą i Kenem, którzy nad moją głową obgadywali wszystkich spóźnialskich, wymieniali najświeższe informacje dotyczące rozwodów, odwyków i innych ciekawostek. Po mszy Kurlander, jak się tego należało spodziewać, przyjął propozycję mojej mamy podwiezienia go na cmentarz, zamieniając tym samym poobijane volvo na lincolna z kierowcą.

Żałobnicy wolno zbliżali się do miejsca pochówku. Zająłam miejsce w bezpiecznej odległości od Kurlandera i mamy i zajęłam się obserwacją tłumy. Pamela Hexter była elegancka jak wdowa po Kennedym. Miała na sobie sukienkę z czarnego jedwabiu, w oczach nie było śladów łez. Barton junior opiekuńczo

ujmował matkę pod ramię. Rozległ się trzask migawek. Byłam pewna, że właśnie to ujęcie znajdzie się jutro na pierwszych stronach gazet.

Krissy, w zbyt mocnym makijażu jak na tę okazję, stała obok Pameli, poprawiając sobie biżuterię. Jej mąż, Fourey, zajmował miejsce pół kroku z tyłu, pogrążony w rozmowie z Jane. Margot, sprawiająca wrażenie wyjątkowo znudzonej, stała obok brata. Miała na sobie sukienkę, która wyglądała, jakby ją zrobiono z pomiętego czarnego obrusa. Ręką obejmowała wysoką, szczupłą kobietę ubraną, aż trudno uwierzyć, w żółty płaszcz.

Na czas trwania pogrzebu Barton polecił zamknąć Hexter Commodities. Wszyscy pracownicy skupili się wokół Loretty Resch, jakby szukając u niej schronienia. Pani Titlebaum cicho łkała, ocierając sobie chusteczką twarz. Tim, zagubiony i przygnębiony, co chwila przestępował z nogi na nogę, jak wyrośnięty chłopiec, który nie może wystać w kościele. Miał na sobie czarny, bezkształtny płaszcz ze zbyt krótkimi rękawami, ukazującymi jego grube przeguby. Jako bratanek zmarłego powinien stać w gronie rodziny. Zastanawiałam się, czy sam zdecydował się pozostać w grupie pracowników, czy też był to następny przejaw niechęci Pameli wobec niego, wyrażający się nie tylko tym, że nie pozwoliła mu nieść trumny zmarłego, ale i wykluczyła go z grona najbliższych.

Kiedy już odmówiono ostatnie modlitwy za zamordowanego spekulanta, Pamela z kamienną twarzą patrzyła, jak trumna z ciałem Czarnego Barta osuwa się w głąb ziemi. Krissy łkała, a Margot patrzyła w przestrzeń. Nieco z dala od tłumu dostrzegłam sylwetkę mężczyzny, częściowo skrytą za kamieniem nagrobnym zwieńczonym finezyjnie rzeźbioną figurą anioła. Człowiek ten wideokamerą filmował wszystkich, którzy przyszli złożyć ostatni hołd Bartowi Hexterowi. Z dreszczem uświadomiłam sobie, że jest to jeden z ludzi Ruskowskiego.

Ponieważ Pamela wyjeżdżała do Palm Beach już następnego ranka, ci, którzy chcieli jej złożyć kondolencje, nie mieli innego wyboru, jak tylko udać się do domu Hexterów bezpośrednio po pogrzebie. Goście szybko rozdzielili się na dwie grupy. Reprezentujący śmietankę towarzyską panowie w dziurkowanych butach o szpiczastych noskach wraz ze swymi reprezentacyjnymi żonami sączyli kawkę w salonie i smętnie potrząsali głowami, wspominając pana domu. W saloniku myśliwskim, gdzie otworzono barek, speculanci giełdowi i ich żony w sztywnych od lakieru fryzurach popijali alkohol i hałaśliwie rozpamiętywali świetlaną postać zmarłego.

— Kate — zwrócił się do mnie Barton, biorąc mnie za rękę, gdy czekałam na ponowne napełnienie mojej filizanki kawą. — Cieszę się, że przyszaś. Mama poleciła spakować w pudełka wszystkie papiery ojca. Są w jego gabinecie. Niestety, nie zrobiła nic, żeby ci je dostarczono. Dasz radę jakoś je stamtąd zabrać?

— Jasne. Ile jest tych pudełek?
— Nie wiem. Jeśli chcesz, możesz tam iść i zobaczyć.
— Świetnie. Czy mogę ci w czymś pomóc?
— Nie trzeba, jeszcze tylko godzina. Mama wyrzuca wszystkich o siódmej, jeśli można jej wierzyć. Jutro o ósmej rano ma samolot. Nigdy nie sądziłem, że to powiem, ale wydaje mi się, że dobrze, iż wyjeżdża. W przeciwnym razie to wszystko ciągnęłoby się bez końca.

Z tyłu za nim pojawiło się jakieś starsze małżeństwo, czekając na możliwość złożenia mu kondolencji.

— Obejrzą te pudełka. Będziesz miał później chwilkę czasu? Pamiętasz, że powiedziałam Carlowi Savage'owi, żeby się jutro zgłosił do mojego biura? Trzeba formalnie rozwiązać sprawę jego zwolnienia. — Barton jęknął, a ja dodałam: — Porozmawiamy o tym później, a teraz wskaż mi drogę do gabinetu ojca.

— Idź korytarzem w tamtą stronę, potem skręć w prawo i chyba trzecie drzwi, nie, czwarte, po lewej stronie.

Z optymistycznym nastawieniem ruszyłam przed siebie, ale okazało się, że czwarte drzwi po lewej stronie to nie gabinet Barta, lecz sala bilardowa. Jednak nie zielone sukno stołu bilardowego przykuło moją uwagę, lecz para, która się na nim zabawiała. Kobieta oparta o krawędź stołu nogami obejmowała w pasie ciemnowłosego mężczyznę, usiłującego zębami rozpiąć jej bluzkę.

Na dźwięk otwieranych drzwi kobieta uniosła głowę. Szeroko otwartymi oczyma patrzyła na mnie Krissy Hexter Chilcote.

— Przepraszam — wyjąkałam, wycofując się. Zamknęłam drzwi i bezwiednie gwizdnęłam. Przed chwilą widziałam Foureya Chilcote, jak rozmawiał z Kenem Kurlanderem w salonie. Poza tym mąż Krissy był blondynem.

Zdecydowanie miałam dziś szczęście do wpadania na ludzi. Kiedy w końcu zlokalizowałam gabinet Hextera, zastałam w nim płaczącą Jane, siedzącą w półmroku rozjaśnionym tylko światłem padającym z lampy na biurku.

— Nie chciałam przeszkadzać — powiedziałam. — Przyjdę później.

— Nie, nie. Zostań. I tak muszę już wracać. — Zrobiła głęboki wdech i przetarła lekko oczy. — Zaletą pogrzebu jest to, że człowiek nie musi się czuć zakłopotany, kiedy go przyłapią na płaczu.

— Każdy ma prawo sobie czasem popłakać — odparłam uspokajająco.

— Cięża jeszcze tylko pogarsza sprawy. Przez cały dzień nie mogę powstrzymać łez.

— Masz przecież powody.

— Najgorsze jest to — powiedziała Jane, znów bliska wybuchnięcia płaczem — że nie płaczę z właściwego powodu. Moje powody są takie... zawile. Czy wiesz, jak się czułam, kiedy się dowiedziałam, że mój teść nie żyje? Opanowało mnie uczucie ulgi. Nie chodzi o to, żebym go nienawidziła. Wiele jego cech podziwiałam, jednak

kiedy zginął, poczułam się wolna. Trudno to wyjaśnić, ale Bart miał tak przytłaczającą osobowość, wydaje się, że siłą woli trzymał swoje dzieci na smyczy.

— Ale ty i Barton żyliście przecież własnym życiem. Nie robiliście tego, co chciał Bart, nie prowadziliście takiego życia, jakiego on by sobie dla was życzył — zaoponowałam.

— Nie, a w każdym razie usiłowaliśmy demonstrować niezależność, nie tak jak Krissy. Ale podejmując każdą decyzję, zastanawialiśmy się, jak ją oceni Bart. Kiedy zginął, pomyślałam, że już koniec z tym wszystkim, że będziemy wolni. Ale teraz się okazuje, że choć Bart nie żyje, wszystko jest tak, jak tego chciał. Jesteśmy z nim nadal związani. — Jane uniosła ręce i opuściła je w geście rozpaczy. — Chcąc nie chcąc, musimy przejść to potworne gmaszysko, a Barton będzie pracował jako spekulant na giełdzie. Reporterzy nękają moje dzieci w drodze do parku i robią im zdjęcia. Wciąż widzę tu Kena Kurlandera, który szepcze mojemu mężowi do ucha coś o odpowiedzialności, a potem Barton nie może spać po nocach. Do diabła z tym wszystkim. Barton i ja mamy swoje własne życie i nie potrzebujemy brać na siebie bagażu życia jego ojca.

— Teraz wszystko odczuwasz bardziej intensywnie — powiedziałam. — Z czasem wszystko się ułoży, a poza tym będziesz mieć nowy powód do radości, następne dziecko.

— Myśl, że ma się urodzić dziecko, kiedy się czuję tak przybita... — Zadrżała. — Naprawdę jest mi ciężko. Muszę być silna dla tak wielu ludzi. Muszę wspierać Bartona, stracił przecież ojca w potwornych okolicznościach. Muszę dodawać otuchy dzieciom i nie okazywać wobec nich słabości. Jakies niedobre dziecko w przedszkolu powiedziało Jamesowi, że źli ludzie przestrelili jego dziadkowi głowę. James miewa teraz koszmarne sny. To okropne, ale jestem wściekła na Barta za to, że dał się zamordować. Jestem pewna, że to nie żaden przypadkowy włamywacz go zastrzelił, lecz ktoś, kogo Bart skrzywdził, a teraz całe odium wylewa się na nas... Och Boże, jak ja mogę mówić takie rzeczy. Na pewno sobie myślisz, że straszna ze mnie wiedźma.

— Myślę, że jesteś miłą osobą, która zasługuje na lepszy los niż ten, który ci ostatnio przypadł w udziale — odparłam szczerze. — Myślę, że uważasz to za niesprawiedliwe, bo tak w rzeczywistości jest.

— Mimo wszystko, czuję się winna. Przecież nie mogę oczekiwać, że ktoś to zrozumie. Na tym polega ironia. Odziedziczyliśmy miliony dolarów, a ja uskarżam się, że to niesprawiedliwe. Ale nie potrzebuję tych pieniędzy, nienawidzę ich. Chciałabym, żeby umarły wraz z nim.

Barton junior stał w drzwiach frontowych, żegnając ostatnich gości. Pamela siedziała na fotelu z głową zwróconą w stronę starej przyjaciółki, która przygotowywała się do wyjścia. Margot niecierpliwiła się, czekając, aż matka znajdzie

dla niej chwilę czasu. Krissy, opanowana, lecz rzucająca na mnie co chwilę niepewne spojrzenia, nadzorowała służbę uprzątającą ze stołów. Barton zamknął drzwi i oparł się o nie na moment. Policzki miał zapadłe, ramiona obwisłe. Na tle ciemnych, drewnianych drzwi wyglądał jak człowiek do cna wyczerpany. Powoli rozluźnił krawat i przeczesał palcami włosy.

— Nie dam już dziś rady rozmawiać o Savage’u, Kate — powiedział. — Jestem wykończony. Odszukam tylko Jane i wracamy do domu. Zadzwońię do ciebie jutro, jak tylko wstanę.

— Nie ma problemu — odparłam. — Możemy omówić sprawę przez telefon. Jane już pojechała. Też była bardzo wyczerpana. Obiecałam jej, że podwiozę cię do domu.

— Jesteś pewna, że już pojechała?

— Absolutnie.

— No to tylko włożę płaszcz.

Zauważyłam, że Margot uzyskała w końcu audiencję u matki. Brooke podniosła rękę w niepewnym geście pożegnania, a Margot schyliła się, by ucałować matkę, lecz ta odchyliła głowę w drugą stronę. Margot porwała płaszcz z krzesła, chwyciła Brooke za rękę i szybkim krokiem przeszła obok mnie, nie odzywając się ani słowem. Otworzyła drzwi i przepuściła przed sobą przyjaciółkę; zanim wyszła, gestem pokazała matce figę.

Już od jakiegoś czasu Cheryl i Stephen — podejrzewałam tu jakąś konspirację — napomykali mi, że powinnam zmienić samochód. Fakt, że moje volvo okres świetności miało już za sobą, ale to był samochód, który kupiliśmy razem z Russelem na ostatnim semestrze studiów, planując, że kiedyś zapełnimy go dziećmi. Kiedy doszłam do takiego stanu, że mogłam już przeżyć ból rozstania z moim samochodem, okazało się, że wybór nowego jest znacznie trudniejszą sprawą, niż się spodziewałam.

Uwielbiałam prowadzić BMW Stephena, lecz moje zapęły do kupna tak kosztownego auta studziła obawa, że w mojej okolicy łatwo może zostać skradzione. Budynek, w którym mieszkał Stephen, miał podziemny strzeżony garaż i strażnika w bramie. Zaparkowane w alei za moim domem BMW nie pozostałyby nawet tygodnia.

Przez jakiś czas rozważałam sugestię Cheryl, czy nie uczcić mojego awansu na współnika zakupem zgrabnego kabrioletu marki Miata. Kiedy jednak wyjechałam takim wozem na jazdę próbną, liczba sprośnych propozycji, jakie otrzymałam od przypadkowych przechodniów płci męskiej, zaskoczyła mnie. Jeden taki ogier w obcisłych dżinsach i więziennej koszulce zaproponował mi na rogu Grand i Ohio, że jeśli go przewiozę moją miatą, to on da mi pojeździć na swoich wąsach. Zajęło mi trochę czasu zrozumienie, co miał na myśli.

Doszłam do wniosku, że bez względu na to, co inni sądzą na ten temat, volvo jednak najbardziej mi odpowiada. Wioząc tego wieczoru Bartona do Evanston,

cieszyłam się, że jadę mym starym, dobrze znanym wozem. Barton siedział obok mnie, szczelnie otulony płaszczem, jak ktoś bardzo stary lub bardzo chory. Wieczór był zimny, na ciemnym niebie szybko przesuwały się chmury.

Kiedy zajechałam na podjazd jego domu, Jane czekała na nas przy wejściu. W strumieniu światła padającego przez otwarte drzwi garażu można było dostrzec, że jest w nocnej koszuli, na którą narzuciła wełniany szal. Oczy miała szeroko rozwarte, a twarz bladą jak ściana.

Barton wyskoczył z samochodu, a ja za nim.

— Jane! — zawołał. — Co się stało?! Nic ci nie jest? Coś z dzieckiem?

— Nie, nie — odparła, z trudem wydobywając głos. — Chodzi o twoją matkę. Właśnie dzwoniła Krissy. Przed chwilą była w domu policja. Zaaresztowali twoją matkę pod zarzutem morderstwa.

Rozdział 16

Przez chwilę wszyscy troje zbieraliśmy myśli. Twarz Bartona przybrała kolor popiołu. Zrobił jeden chwiejny krok w stronę żony i chwycił ją za dłoń.

— Kiedy dzwoniła Krissy? — zapytałam rzeczowo, czując się jak jedyny lekarz na miejscu wypadku.

— Niecałe dziesięć minut temu — odparła Jane lekko histerycznym głosem.

— Czy policja była jeszcze wtedy w domu?

— Nie. Już wyszli. Krissy powiedziała, że nie trwało to dłużej niż minutę. Był tam ten detektyw, rudy, niesympatyczny. Nie pamiętam, jak się nazywa. Wmaszerował do środka i oświadczył Pameli, że jest aresztowana. Krissy mówi, że założyli jej kajdanki.

— A jako to zniosła Krissy? — zapytałam.

— Bardzo się martwi. Tak łkała do telefonu, że trudno mi ją było zrozumieć.

— To musi być jakaś pomyłka — szepnął Barton. — Gdzie ją zabrali? Do więzienia?

— Na posterunek w Lake Forest — odparła Jane.

— Jane — rozkazałam — wracaj do domu i zadzwoń do Krissy. Powiedz jej, żeby nie wychodziła z domu i z nikim nie rozmawiała, szczególnie z dziennikarzami, gdyby jakiś zatelefonował. Zadzwoń również do Margot i powiedz jej to samo. Przyślę do was wszystkich ochroniarzy.

— Myślisz, że rzeczywiście będziemy ich potrzebować? — spytała Jane.

— Jeśli do rana morskie fale nie pochłoną Chin, to aresztowanie Pameli będzie z pewnością najważniejszą wiadomością w jutrzejszych gazetach. Dziennikarze zajrzą nawet do waszych pojemników na śmieci. Radzę nie posyłać jutro chłopców do przedszkola.

- Mam próbę z orkiestrą — zaprotestowała Jane.
- Lepiej, żeby cię tam podwiózł jeden z ochroniarzy. Nie martw się, to szybko minie, ale musicie przetrzymać kilka najbliższych dni.
- Jane pokiwała poważnie głową. Spojrzałam na Bartona. Wyglądał, jakby zaraz miał zwymiotować.
- Muszę jechać na policję — powiedział.
- Podwożę cię.
- Nie, nie. Mogę jechać sam.
- Nie powinieneś prowadzić w takim stanie — wtrąciła Jane.
- Po drodze zadzwonimy w parę miejsc — powiedziałam, otwierając mu drzwi do samochodu. — Chciałabym dotrzeć do Lake Forest, zanim zjawią się dziennikarze. Przede wszystkim musimy jednak załatwić twojej mamie dobrego adwokata. Nie wiesz przypadkiem, kogo wybrałaby Pamela?
- Od lat sprawy prawne załatwia dla niej Ken Kurlander — odparł niepewnie Barton.
- To akurat nie dla niego. Może Elkin Caufield podjąłby się reprezentowania Pameli. Jeśli się jej nie spodoba, będzie mogła go zmienić. Ale w tej chwili potrzebuje kogoś, kto będzie obecny przy przesłuchaniu i załatwi sprawę kaucji.
- Dziwnym trafem, kiedy zeszłego wieczora spanikowałam, ustaliłam, że jeśli przyjdzie po mnie policja, jako adwokata wybiorę Caufielda.
- Barton ujął obie dłonie żony i cmoknął ją w policzek.
- Możesz zostać sama? — zapytał.
- Tak. Nic mi nie będzie — zapewniła. — A teraz zajmij się mamą.
- Barton wsiadł do samochodu i zatrzasnął drzwi. Wycofałam na podjeździe. Jane odprowadzała nas wzrokiem.

Barton siedział skurczony na przednim siedzeniu i nerwowo zaplatał dłonie. Z samochodowego telefonu zadzwoniłam najpierw do sekretariatu Caufielda, skąd przełączono mnie na jego domowy numer. Elkin zgodził się spotkać z nami na posterunku policji za dwadzieścia minut. Następnie zadzwoniłam do biura Elliotta Abelmana. Sądziłam, że włączy się automatyczna sekretarka, ale po siedmiu czy ośmiu sygnałach, kiedy już miałam odłożyć słuchawkę, odebrał sam Elliott.

— Cześć, Elliott, mówi Kate. Widzę, że pracujesz do późna. Muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

— O co chodzi?

— Właśnie aresztowano Pamelę Hexter. Chciałabym, żebyś posłał kilku ludzi do domu Hextera w Lake Forest, do apartamentu Margot przy Hyde Park i do domu Bartona w Evanston. — Podałam mu adresy.

— Więc aresztowali żonę — powiedział Elliott. — Zawsze to lepiej, niż gdyby mieli wsadzić ciebie. — Myślisz, że to zrobiła?

— Nie mam pojęcia — odparłam. — Właśnie jadę z jej synem na posterunek policji. Pogrzeb był dziś po południu.

- Rodzina będzie teraz miała za swoje.
- Nie musisz mi tego mówić.

Kiedy przybyliśmy do Centrum Miejskiego Lake Forest, niewielki parking w pobliżu komisariatu policji był już przepelniony samochodami; między innymi stały tam wozy transmisyjne trzech sieci telewizyjnych. Technicy biegali po schodach, rozwijając kable. Ostre światło jupiterów rozjaśniało błyskami noc jak ogień z mózdzierzy. Jak widać, nie zdążyliśmy przed dziennikarzami. Ruskowski musiał im dać znać.

Poszukałam w torebce wizytówki, którą otrzymałam od Ruskowskiego w dniu morderstwa Barta Hextera. Wykręciłam podany numer i wyjaśniłam dyżurnemu sierżantowi, że siedzę w samochodzie z synem pani Hexter i że chcielibyśmy wejść do budynku w taki sposób, by nie zostać rozerwanymi na strzępy przez kotłujący się na parkingu tłum. Spytałam, czy nie mogliby nas wpuścić od tyłu. „Nie ma mowy” — stwierdził sucho sierżant. Dodał jednak, że umundurowany policjant będzie na nas czekał w drzwiach komisariatu i nie pozwoli dziennikarzom wdrzeć się do środka. Odwiesiłam słuchawkę.

Zaparkowałam samochód w najbardziej oddalonej części parkingu i zwróciłam się do Bartona:

— Słuchaj, myślę, że pieszo nie będziemy się tak bardzo rzucać w oczy. Zajmie im to jakąś chwilę, zanim się zorientują, że nie jesteście dziennikarzami. Ale jak tylko to odkryją, rzucają się na nas natychmiast. Idź szybko. Unikaj kontaktu wzrokowego z innymi, lecz nie zakrywaj twarzy, bo na zdjęciach w gazecie będziesz wyglądał jak mafioso. Bez względu na to, co do ciebie będą mówić, nie odpowiadaj. Dopóki Elkin się tu nie pojawi, zachowuj się tak, jakby policja popełniła wielką pomyłkę.

— Przecież to rzeczywiście pomyłka — zaprotestował Barton.

— Pamiętaj — powtórzyłam, wychodząc z samochodu i biorąc Bartona pod rękę. — Nic nie mów i nie zatrzymuj się.

Pierwszy dostrzegł nas Chet Ellway, reporter z Kanału Ósmego i zaalarmował pozostałych. Rzucili się na nas gromadnie, pędzili z wyciągniętymi mikrofonami w świetle lamp halogenowych. Kamerzyści ze swoim ciężkim sprzętem pozostawali z tyłu. Barton wstrzymał krok na widok nacierających dziennikarzy; pociągnęłam go za rękę, żeby nie zwalniał. Tamci wykrzykiwali pytania, chwytali nas za rękawy, reporterzy potrącali nas i siebie, usiłując znaleźć najlepsze ujęcie. Barton po początkowym zawahaniu ignorował ich całkowicie. W końcu przepchnęliśmy się przez tłum.

W drzwiach czekało na nas dwóch umundurowanych policjantów z pałkami w rękach. Po tumulcie na parkingu posterunek policji, oświetlony lampami ręcznymi i sprawiający wrażenie opustoszałego, wydawał się nierzeczywisty. Sierżant poinformował nas, że pani Hexter jest obecnie na przesłuchaniu

i wskazał ławkę, na której mogliśmy usiąść i poczekać. Sugerował niedwuznacznie, że czekanie może potrwać i do rana.

— Co teraz? — zapytał Barton zbyt podenerwowany, by usiąść.

— Zaczekamy, aż pojawi się Elkin Caufield. Jemu muszą pozwolić na rozmowę z Pamelą.

— Ale chyba ją stąd wypuszczą? Przecież nie mogą jej tu zatrzymać na noc?

— Elkin zrobi, co w jego mocy — zapewniłam. Dwa semestry prawa karnego, odnotowałam z żalem, nie stanowiły wystarczającego przygotowania do realnych potyczek z systemem karno-penitencjarnym. Nie miałam pojęcia, jak długo mogą ją przetrzymywać w areszcie i na kiedy naznaczą rozprawę o zwolnienie za kaucją. Spojrzałam na zegarek, nie mogąc się doczekać nadejścia Elkina. — Będziesz musiał porozmawiać z Kenem w sprawie pieniędzy dla mamy. Jeśli sędzia zgodzi się wyznaczyć kaucję, to z pewnością nie będzie to bagatelna kwota. Siadaj. Widzę tam automat z kawą. Przyniosę ci filiżankę. To może być długa noc.

Czekając, aż naleje się kawa, spojrzałam na siedzącego na twardej, drewnianej ławce Bartona. Jakby się skurczył od rana. Garnitur wisiał na nim jak ubranie starszego brata na małym chłopcu. Widok jego bladości i podkrążonych oczu oraz wspomnienie Jane, wymizerowanej i ciężarnej, sprawiły, że coś mnie ścisnęło za serce. Bez względu na to, czy Pamela Hexter była, czy nie była winna, jej aresztowanie stanowiło dla nich dotkliwy cios. Dla dzieci Hextera każda alternatywa była równie bolesna. Albo ich matka została niewinnie oskarżona o dokonanie morderstwa, albo też popełniła ten czyn. W każdym przypadku karząca ręka sprawiedliwości dotknie zarówno winnych, jak i niewinnych.

Żeby sobie wyrobić zdanie na temat Elkina Caufielda, lepiej się było nie spieszyć z oceną. Miał rozbijający sposób bycia — dobroduszny i uspokajający, jak gdyby wszystko co niemiłe musiało ustąpić przed szczególnego rodzaju mieszaniną energii i zdrowego rozsądku, jaką emanował. Nie należało jednak dać się zwieść pozorom. Widziałam już, jak jego dobroduszność w ułamku sekundy przeistaczała się we wściekłe oburzenie lub sarkazm ostry jak skalpel chirurga.

Niski, fizycznie nie przedstawiał się szczególnie imponująco, przypominał buldoga. Czarne włosy nosił ostrzyżone na modłę wojskową, lecz w niczym nie łagodziło to wyglądu jego dziobatej od czasów młodości twarzy. Oczy miał ciemne i przenikliwe, okolone niewiarygodnie długimi rzęsami. Wielu członków ław przysięgłych, studiując wrodzone sprzeczności jego twarzy, dawało się usiłując magnetycznej sile intelektu, jaka się za nią kryła.

Podchodząc do dyżurnego sierżanta, któremu przedstawił się jako adwokat pani Hexter, Elkin machnął mi po drodze niedbale ręką na powitanie. Po krótkiej konwersacji z sierżantem podszedł do nas błogo uśmiechnięty, uściśnął mi ciepło dłoń i przywitał się z Bartonem.

— Miałeś jakieś kłopoty z dziennikarzami? — zapytałam, kiedy zdejmował prochowiec, ukazując kosztowny, szyty na miarę garnitur.

— Nieee — odparł. — Wszyscy ci chłopcy to moi kumple. Musiałem jednak kopnąć Dicka Prestona w zadek. Ostatecznie powinien już wiedzieć, że jak mówię „żadnych komentarzy”, to bez względu na to, jak by się nie wyrażał o mojej żonie, niczego się ode mnie nie dowie. Co za tępak... Barton, młody człowieku, sierżant powiedział mi, że jeszcze jakiś czas będą przesłuchiwać pańską mamę. Chciałbym więc tymczasem prosić pana na małą przechadzkę i porozmawiać, by nie było wątpliwości, że się właściwie rozumiemy.

Obydwa mężczyźni ruszyli przed siebie korytarzem. Adwokat oparł rękę na ramieniu o wiele od niego wyższego matematyka. Konferowali szeptem o sprawach zastępstwa procesowego, honorariach i o tym, co może się zdarzyć w najbliższych godzinach i dniach. Dla Bartona dzisiejsze wydarzenia były jak skok w przepaść, ale Elkin już nieraz miał do czynienia ze spanikowanymi rodzinami, uwikłanymi w kryminalne dramaty. Wielokrotnie już przemierzał ten korytarz z rodzinami oskarżonych. Kiedy skończyli przechadzkę, Barton wyglądał na znacznie spokojniejszego.

— No dobrze, Kate, moja droga. Teraz ciebie poproszę na chwilę rozmowy.

Wstałam z uśmiechem i podążyłam korytarzem za Elkinem. Roztargnionym gestem objął mnie za ramię. Niektórzy utrzymywali, że Elkin korzysta z każdej okazji, żeby oblać kobietę; według mnie Elkin należał po prostu do tych ludzi, którzy instynktownie dotykają wszystkich — mężczyzn i kobiety.

— Dziękuję, że do mnie zadzwoniłaś — zaczął Elkin. — To się zapowiada na całkiem interesującą sprawę. Powiedz mi, jak się w to wszystko wplątałaś. Czy jesteś może w jakiś sposób związana z młodym Bartonem? Sprawia wrażenie sympatycznego młodego człowieka.

— Nie — odparłam. — Jest żonaty z Jane Barber, tą pianistką. Mają dwóch małych chłopców i kolejne dziecko w drodze. Ja zaś zostałam wplątana w to wszystko, ponieważ Bart Hexter został zastrzelony na godzinę przed umówionym spotkaniem ze mną.

— Pracowałaś dla niego?

— Nie dla niego, tylko dla Hexter Commodities. Dzisiaj zaś zabrałam Bartona od matki, żeby go podwieźć do domu. Żona Bartona czekała na nas w drzwiach z wiadomością, że tuż po naszym wyjściu jego matkę aresztowano.

— Jaka jest ta Pamela Hexter? — zapytał Elkin, chcąc się czegoś dowiedzieć o klientce, której nie miał jeszcze okazji poznać.

— Sama nie wiem, jak ją określić. Jest taka jak przyjaciółki mojej mamy. No wiesz, nienaganne maniery, eleganckie ciuchy. Byli z Bartem małżeństwem przez trzydzieści sześć lat. Wszyscy uważali ten związek za całkiem poprawny. Wychowali troje dzieci. Bart i Pamela wspólnie kwestowali na różne cele dobroczynne. Chyba niewiele więcej mogą dodać.

— Ja również słyszałem o nich jako o postaciach życia publicznego. To będzie ten rodzaj procesu, który rozegra się w prasie, zanim jeszcze oskarżony

trafi na salę sądową. Ogromną rolę odegra publiczny wizerunek oskarżonego. Czy pani Hexter nie ma przypadkiem w swoim życiorysie jakiegoś nałogu lub okresów niezrównoważenia psychicznego?

— Nic mi o tym nie wiadomo.

— To dobrze.

— Czy stosunki z rodziną układają się dobrze? Czy oskarżona ma za sobą poparcie bliskich?

— Rozmawiałam tylko z Bartonem. Jest przekonany, że to musi być jakaś tragiczna pomyłka. Nigdy nie uwierzy w to, że matka może być winna.

— Tak, oczywiście — odparł Elkin, dla którego sprawy rzeczywistej winy czy niewinności nie były tak istotne, jak przekonanie ławy, by orzekła niewinność.

— Myślę, że będę już mógł porozmawiać z moją klientką.

Następnego ranka na stoisku z gazetami w holu budynku, w którym znajduje się nasza kancelaria, spostrzegłam na pierwszej stronie *Tribune* własną podobiznę.

— Więc to własna stara go załatwiła — skomentował sprzedawca, podając mi egzemplarz gazety. — Szkoda, że nie zrobili pani lepszego ujęcia.

Rozłożyłam gazetę. Zdjęcie zajmowało czwartą część pierwszej strony. Przedstawiało mnie i Bartona — spanikowanych i wystraszonych. Musieli nam je zrobić, kiedy przebijaliśmy się przez ten tłum pod posterunkiem policji. Mogłam już sobie wyobrazić zachwyt mamy, kiedy je zobaczy.

Ledwie weszłam do holu Callahan Ross od razu zaczęły się docinki.

— Widzę, że udało się pani dostać na pierwsze strony gazet — zauważyła z ironią Lilian, nasza recepcjonistka, wręczając mi pocztę. Zatrzymałam się przy automacie, żeby sobie nalać kawy i zauważyłam, że jakiś żartowniś zdążył już przypiąć nad kserokopiarką wycinek z gazety. Obok wisiało zdjęcie Cindy Crawford. Pod spodem ktoś ręcznie dopisał: Laureatki Ogólnoamerykańskiego Konkursu Piękności Środowiska Prawniczego. Pod zdjęciem Cindy Crawford widniał dopisek „Poprzednia”, a pod wycinkiem z moją fotografią „Aktualna”.

— Cześć, Kate! — zawołał przez otwarte drzwi swojego gabinetu Howard Ackerman. — Teraz, kiedy już jesteś współnikiem, chyba cię będzie stać na wykupienie całego nakładu *Tribune*, żeby go zniszczyć?

— Muszę to zaraz policzyć — odparłam, wchodząc do siebie.

Cheryl czekała na mnie z zaaferowaną miną.

— Szukał cię Skip Tillman i nie wyglądał na zachwyconego — powiedziała. — Masz się do niego zgłosić, jak tylko przyjdiesz.

— Cudownie — rzekłam. — Wprost przepadam rozpoczynać dzień od rozmowy ze współnikiem pełniącym funkcję dyrektora.

— Będę tu na ciebie czekała z kawą i bandażami — zapewniła moja wierna sekretarka.

Sekretarka Skipa wprowadziła mnie do gabinetu tego wielkiego człowieka niczym pielęgniarka eskortująca pacjenta, o którym wie, że nie rokuje najlepiej. Skip podniósł wzrok znad dokumentów i spojrzał na mnie ponad krawędzią

połówkowych okularów. Jego białe włosy przerzedzały się na czubku, a twarz z biegiem lat odzyskała różowy, charakterystyczny dla niemowląt koloryt. Skip należał do grona starych przyjaciół moich rodziców. Jego żona, Bitsy, grywała w brydża z moją mamą. Odkąd tylko zaczęłam pracować w firmie, traktował mnie na przemian albo jak ukochaną bratanicę lub też jak córkę, która zeszła na złą drogę. Czulałam do niego duży sentyment, ale to w niczym nie zmieniało charakteru naszych stosunków.

— Chciałeś się ze mną widzieć? — zapytałam, mimowolnie czując się jak uczennica, wezwana na dywanik do dyrektora szkoły.

— Przypuszczam, że miałaś już okazję zaznajomić się z dzisiejszą prasą?

— Raczej trudno byłoby mi uniknąć takiej okazji — wyznałam.

— W telewizyjnych wiadomościach też się widziałaś?

— Nie — odparłam, czując jak coś mnie w środku ścisiska. — Nigdy nie oglądam telewizji.

— Mam potwierdzone wiadomości, że wystąpiłaś we wszystkich trzech sieciach.

— No cóż, Andy Warhol powiedział kiedyś, że każdy ma swoje piętnaście minut sławy — wyrwało mi się.

— Ale dobrze znasz stanowisko naszej firmy wobec tego rodzaju popularności. Podstawową zasadą jest nie być publicznie pokazywanym w kontekście ponurych spraw kryminalnych. Wydaje mi się, że w całej historii kancelarii Callahan Ross nie było przypadku kojarzenia kogoś ze współników z jakąś kryminalną sytuacją. Mam nadzieję, że nie muszę ci przypominać, że spoczywa na tobie szczególna odpowiedzialność jako na najmłodszym współniku.

— A ja jestem pewna, że nie muszę ci przypominać, że w dniu, kiedy zostałam przyjęta na współnika, poprosiłeś mnie do tego samego pokoju i pouczyłeś o służebnej roli wobec klienta i ciężącym na współnikach obowiązku rozszerzania grona klientów. No więc rozszerzyłam to grono o Hexter Commodities i służę zarówno firmie, jak i rodzinie w trudnym dla jednych i drugich czasie. Jeśli czytujesz *Tribune*, to wiesz, że adwokatem pani Hexter jest Elkin Caufield. Moja rola w tej sprawie ograniczyła się do podwiezienia jej syna na posterunek policji.

— Twoja pozycja jest specyficzna, Kate — upierał się Tillman. — Jako jedna z pierwszych w historii firmy kobiet-wspólników nie powinnaś się ograniczać do unikania niewłaściwych działań. Podobnie jak żona cezara, musisz dbać również o to, by nie stwarzać pozorów, że robisz coś niewłaściwego. Mimo że nie ma w tym twojej winy, pech chciał, iż właśnie ty musiałaś stworzyć taki precedens.

— Jestem pewna, że troska o pozory nie może przesłaniać celu, którym jest służyć klientowi.

— Potraktuj to jako przyjacielskie ostrzeżenie, Kate. Nie wszyscy współnicy są równie wyrozumiali.

— Nie musisz mi tego mówić — odparłam, wstając. — Jedną z pierwszych rzeczy, jakich się człowiek uczy, zaczynając pracę w tej firmie jest to, do czego mogą być zdolni współnicy.

Rozdział 17

Bandaż czy opaskę zaciskową? — zapytała uprzejmie moja sekretarka, widząc moje wzburzenie.

— To tylko powierzchowne zadraśnięcie — odparłam. — Ale wypiłabym filiżankę świeżej kawy.

Po kilku minutach Cheryl wróciła z kawą i notatnikiem.

— Podczas twojej nieobecności dzwonił Elkin Caufield. Wniosek o zwolnienie za kaucją zostanie rozpatrzony o jedenastej. Powiedział, że będzie cię na bieżąco o wszystkim informować. Myślisz, że ona go rzeczywiście zastrzeliła?

— Nie wiem — odparłam uczciwie. — Z uwagi na jej dzieci wołałabym, żeby to nie była prawda. Pomyśl tylko, twoją matkę aresztują za morderstwo! Poza tym byłby to skandal roku. Już wkrótce szef służby domowej znalazłby się w programie Oprah Winfrey razem z jakimś psychologiem, który spędził ostatnie trzy lata na pisaniu książki na temat morderstw w kręgach elity finansowej.

— To nie jest odpowiedź — naciskała Cheryl. — Rozmawiałaś z nią. Czy myślisz, że mogła go zamordować?

— Nie ma granicy tego, do czego zdolni bywają ludzie — powiedziałam ostrożnie. — Kto to wie, co może się dzieć w małżeństwie? Pamela Hexter nie wygląda na morderczynię. Jest miłszą wersją mojej mamy. No wiesz, kobieta po pięćdziesiątce, ubierająca się u Chanel, grywająca w brydża, bywalczyni przyjęć i eleganckich sklepów. Widziałam ją w dniu morderstwa. Sporządzała skrupulatnie listę osób, które należy zaprosić na stypę.

— Jak na kogoś, kto właśnie stracił męża to bardzo opanowane i chłodne zachowanie.

— Zgoda. Ale gdyby go zastrzeliła, to chyba grałaby raczej rolę nieutulonej w żalu wdowy.

Carl Savage wkroczył z godnością do mojego gabinetu. Nie starał się nawet ukrywać, że bardzo go radują kłopoty w rodzinie Hexterów. Wyjaśniłam mu, że w zaistniałej sytuacji nie miałam możliwości porozmawiać z Bartonem na temat warunków jego odprawy. Zaproponowałam natomiast, że przekazę Bartonowi jego sugestie.

— Niech mu pani powie, żeby sobie wsadził tę swoją odprawę — wystąpił z kontrpropozycją Carl, rozpierając się na krześle. — W poniedziałek rozpocynam pracę u McKenziego. Wynajmę adwokata i będę skarżył Bartona.

— Przecież to nie musi być załatwiane w taki sposób — łagodziałam. — Więcej pan zapłaci adwokatowi, niż w końcu wygra.

— Tu nie chodzi o pieniądze — warknął Savage. — Mam dużo pieniędzy. Chodzi o zasady. Chcę, żeby młody Barton musiał wydać tyle pieniędzy, by to odczuł.

— Ile lat pracował pan dla jego ojca? Dziewięć?

— W styczniu przyszłego roku byłoby dziesięć.

— Myślę, że ze zwykłej przyzwoitości powinien pan dać jego synowi trochę czasu, choćby z uwagi na to, że dopiero co zaaresztowano jego matkę.

— Puszczą ją. Pamela na pewno tego nie zrobiła.

— Dlaczego pan tak uważa? — spytałam zaciekawiona.

— Znam Pamelę. Nigdy by go nie zastrzeliła. To zbyt brudna robota. Ona miała hysia na punkcie czystości. Jeśli człowiek wypił u nich drinka i coś przekąsił, to jeszcze zanim wyszedł, Pamela dzwoniła po służącą, żeby posprzątała okruszki z dywanu. A poza tym po co miałyby to robić? Przecież sama jest nieźle ładowana. Gdyby miała go dość, wystarczyło jej tylko spakować walizki. Znając temperament Barta, dziwię się, że z nim wytrzymała. No, ale cóż, różne ludzie mają gusta.

— Skoro już mówimy o gustach, to zna pan zapewne Victorie Lloyd, która również pracowała dla Hextera.

— Jasne, znam Torey — odparł ostrożnie Carl. — Jest gońcem, od jakichś dwu lat.

— Czy wiedział pan, że ona i Hexter mieli romans? — zapytałam.

— Tak — odparł wolno Carl, a twarz mu się nachmurzyła. — Wiem, że sobie baraszkowali. To bardzo typowe. Stary facet odkrywa, że nadal mu staje i zaraz potem dochodzi do wniosku, że młoda dziewczyna pragnie go dla jego przymiotów, a nie pieniędzy. Jakież to trywialne.

— Jeśli więc uważa pan, że to nie żona go zabiła, to w takim razie kto? — zapytałam.

— Nie wiem. Może jego rąbnięta córka, Szalona Margot. Wszyscy wiedzą, że ma nierówno pod sufitem. A może jakiś oszalały dentysta z Dubuque, który stracił na giełdzie wszystkie życiowe oszczędności. Kto to może wiedzieć?

— Więc nie uważa pan, że to mógł być ktoś stojący za Deodar Commodities?

— Deodar Commodities? — zapytał z niedowierzaniem Carl Savage. —

Niechże pani nie będzie śmieszna. Przecież Deodar Commodities to tylko przykrywka dla drugiego rachunku Hextera. Liczy pani sobie nie wiadomo ile za godzinę, a nie potrafiła pani tego dotąd odgadnąć? Chryste Panie! Za co ci ludzie pani płacą?

— Chciałabym się upewnić, że dobrze rozumiem — powiedziałam do Carla, kiedy mnie oświecił. — Więc Deodar Commodities to tylko przykrywka dla utajnionej obecności Hextera na rynku? Dlaczego przekraczał dozwolone limity pozycji?

— Widzę, że nadal pani nie rozumie. O to poszło całe to zamieszanie z CFTC. Hexter nie miał zamiaru przekraczać żadnych limitów i z pewnością nie chciał robić nic, co by mogło ściągnąć uwagę na Deodar Commodities.

— To o co w tym wszystkim chodziło? Co chciał ukryć przed CFTC?

— Bart nie chciał niczego ukrywać przed CFTC, tylko przed Pamelą.

— Pamelą? — powtórzyłam zdumiona. — A po co miałby ukrywać coś przed Pamelą?

— Ponieważ Pamela jest niezwykle skąpa. Liczy każdego centa. Tak skąpi bywają tylko albo bardzo bogaci ludzie, albo wyjątkowo biedni. Pamela wysyłała służbę do sklepu spożywczego z wyciętymi z gazety kuponami zniżkowymi. Pewnego dnia Bart przyszedł do pracy, aż kipiąc z wściekłości. Ponoć Pamela postanowiła dla oszczędności przejść na zwykły papier toaletowy. Chryste Panie! Ależ Bart był wtedy wkurzony. — Savage aż się uśmiechnął na wspomnienie tego incydentu. — Bart był jej przeciwieństwem. Pomocnikowi w klubie golfowym dawał studolarowe napiwki. Uwielbiał rozrzutność. Kupił rollsa, bo chciał, żeby cały ten pieprzony świat wiedział, że odniósł sukces. Deodar Commodities było sposobem na przetrwanie związku Barta i Pameli. Przecież, choć trudno w to uwierzyć, Pamela miała nawet zwyczaj sprawdzać księgi firmy. Poprzez Deodar Commodities Bart miał pieniądze, które mógł wydawać bez wiedzy Pameli. Więc po co miałyby go zabijać? I tak trzymała go krótko. Można by raczej przypuszczać, że jeśli już ktoś miałby zostać zamordowany, to na odwrót, prędzej Pamela mogłaby dostać kulkę między oczy.

— Kiedy dyskutowałaś z panem Savage'em, dzwoniła twoja mama — zameldowała Cheryl. — Nie mogąc rozmawiać z tobą, po wrzeszczała na mnie. Wydaje się, że jest bardzo wzburzona tym, że aresztowano panią Hexter i chce wiedzieć, co robisz w tej sprawie. Prosiła, żebyś do niej zadzwoniła.

— Dziękuję. Jeśli będziesz odbierać wszystkie jej telefony, podwoję ci pensję.

— Nie, dziękuję.

— Czy dzwonił jeszcze ktoś?

— Nikt, kto nie mógłby poczekać. — Cheryl wręczyła mi spis pozostałych interesantów. — Nie ma tu dziennikarzy. Wygląda na to, że stałaś się sławna. Dzwonił jeszcze raz ten facet ze *Star*. Teraz proponuje mi pięćsetkę, jeśli znajdę mu coś, żeby mógł obsmarować Hextera. Nie zgodziłam się, ale zasugerowałam, że może udałoby mi się namówić cię do pozowania nago za mniej niż pięćset. Nie był jednak zainteresowany.

— Miał rację. Nie jestem zbyt fotogeniczna.

— Aha, dzwonił też Stephen. Chciał się dowiedzieć, co z *Chicago Magazine*.

— Powiedz, że się zgadzam, ale poprosz, żeby nie umawiał nas przed piątkiem. Chciałabym najpierw skończyć odpowiedź dla CFTC. Mam do ciebie jeszcze jedną prośbę. Zadzwoń do Hexter Commodities i poprosz Victorie Lloyd. Pracuje tam jako goniec, więc możliwe, że dopiero po zamknięciu sesji uda ci się ją złapać. Umów mnie z nią na spotkanie w ten weekend. Ja przyjdę do niej. Będzie wiedziała, o co chodzi.

— Coś jeszcze?

— Zastanawiam się, czy wychodzę gdzieś w ten weekend ze Stephenem?

— W sobotę wieczorem — odparła Cheryl, biorąc z mojego biurka kalendarz. — O ósmej spotykacie się na kolacji z Charliem Canterem, szwedzkim chemikiem, i jego żoną. Wszystko zawsze wypisuję w kalendarzu. Mogłabyś czasem spróbować coś w nim przeczytać.

Późnym popołudniem przyszedł do mnie Ken Kurlander z miną mocno zadowoloną.

— W czym ci mogę pomóc, Ken? — zapytałam, wskazując mu ręką krzesło. — Słyszałam, że zgodzili się wypuścić panią Hexter za kaucją. Czy jest już w domu?

— To oburzające! — powiedział, potrząsając głową. — Prawie dwa miliony dolarów. Co za niesprawiedliwość.

Z pewnym trudem powstrzymałam się od pytania, czy ma na myśli wysokość kwoty, czy fakt aresztowania.

— Kiedy załatwialiśmy dziś rano pewne sprawy w banku, skorzystaliśmy z okazji, żeby opróżnić sejfy depozytowe Barta. Natknęliśmy się na coś, co, mam nadzieję, będziesz mi w stanie objaśnić.

— Nie sądziłam, że uda wam się dostać do tych skrzynek — zauważyłam. — W każdym razie nie wcześniej niż przed rozpoczęciem postępowania spadkowego.

— Za moją poradą Bart nie trzymał depozytów sejfowych pod swoim nazwiskiem — odparł Kurlander. — Zbyt wiele razy miałem okazję obserwować, jak po załatwieniu koniecznych formalności, w chwili gdy otwierano sejf, by dokonać inwentaryzacji, okazywało się, że został opróżniony z wszystkich wartościowych rzeczy przez zachłannych członków rodziny, posiadających dostęp do

klucza. Bart trzymał depozyty sejfowe pod nazwą korporacji rodzinnej, której wraz z Bartem juniorem byliśmy sygnatariuszami.

— Bardzo roztropnie — przyznałam, myśląc jednocześnie, z iloma ciemnymi cechami ludzkiej natury zetknął się Ken przez długie lata swojej praktyki prawniczej. — A co takiego chciałeś mi pokazać?

— Jest to kontrakt dotyczący zakupu pewnego apartamentu w budowie. — Ken wręczył mi dokument. Dotyczył osiedla River North, budowanego przy South Water Street. Musiał to być nie byle jaki apartament, ponieważ całkowita suma zakupu miała przekraczać milion dolarów. Według dokumentu, sześć tygodni wcześniej zapłacono zadatek w wysokości stu tysięcy dolarów. Termin wpłaty następnej raty w wysokości pięciuset tysięcy dolarów upływał piętnastego kwietnia, czyli za trzy dni, a następne pięćset miało zostać wpłacone do piętnastego czerwca.

— To dla mnie coś nowego, zupełnie nie znam tej sprawy — stwierdziłam uczciwie. — Przypuszczam, że skoro mnie o to pytasz, Pamela nic o tym nie wie?

— Rozmawiałem zarówno z Bartonem, jak i z Krissy. Żadne z nich nie słyszało, żeby matka kiedykolwiek wspominała o czymś takim. Kiedy zadzwoniłem do przedsiębiorcy budowlanego, żeby się czegoś więcej dowiedzieć, usłyszałem, że, o ile mu wiadomo, Bart kupował to mieszkanie dla pewnej młodej kobiety.

— Nie chodziło przypadkiem o Margot?

— Kiedy zasugerowałem, że mogło chodzić o jedną z córek, roześmiał się dosyć niemilo. Myślę więc, że możemy założyć, iż mamy tu do czynienia z zupełnie innego rodzaju związkami. Zgodnie z warunkami umowy, jeśli rzeczony pięćset tysięcy nie zostanie wpłacone w terminie, zadatek przepada. Nie mam zbyt wielkiej ochoty w tym tak trudnym dla rodziny momencie kłopotać Bartona tą sprawą, ale kwota, o którą chodzi jest niebagatelna. Niestety, przedsiębiorca budowlany prezentuje bardzo sztywne stanowisko i nie jest skłonny iść na żadne ustępstwa. Twierdzi, że ma kolejkę chętnych na te mieszkania.

— I, oczywiście, nie zaszkodzi mu zgarnąć dodatkowo sto tysięcy, a mieszkanie sprzedać komuś innemu — dodałam.

— No właśnie. Ponieważ odniosłem wrażenie, że jesteście z Bartonem ostatnio w bliższych stosunkach, pomyślałem, że może tobie będzie łatwiej z nim o tym porozmawiać.

— Oczywiście. Pomówię z nim.

Kiedy wyszedł, przez interkom spytałam Cheryl, na kiedy umówiła mnie z Torey Lloyd.

Kolację zjedliśmy z Elliottem Abelmanem w hałaśliwej włoskiej restauracji nad Huronem — U Scooziego, w samym sercu dzielnicy galerii. Dom, w którym mieściła się restauracja, dawniej pełnił funkcję magazynu i wyglądał teraz bardziej jak plan jednego z filmów Felliniego niż miejsce, gdzie przyrządzają własną

mozzarellę i podsmażają czosnek w opalanych drewnem piecach. Z doświadczenia wiedziałam jednak, że, szczególnie gdy chodzi o jedzenie, mogę w pełni zaufać ocenom Elliotta.

Czekał na mnie przy zatłoczonym barze, w dłoniach trzymał dwa kieliszki czerwonego wina.

— Cześć — powiedział, wręczając mi jeden. — Dziękuję, że zgodziłaś się tu ze mną spotkać. Od dziesiątej siedziałem na spotkaniu u Elkina Caufielda. Nie zrobiliśmy nawet przerwy na lunch, więc dosłownie umieram z głodu. — Jedną ręką rozluźnił węzeł krawata.

— Pracujesz nad sprawą Hextera? — zapytałam.

Elliott ujął mnie pod rękę i zaprowadził do odległego końca baru, gdzie zwolniły się dwa stołki.

— Przyznam się, że po twoim wczorajszym telefonie sam przejąłem inicjatywę i zaproponowałem Caufieldowi swoje usługi. W przeszłości robiłem czasem to i owo dla niego, ale teraz, kiedy człowiek jest na swoim, nie może przepuszczać okazji.

— Jak więc wygląda sytuacja?

— Dziesięciosekundowe podsumowanie? Gliniarze uważają, że Pamela zabiła swojego starego w napadzie zazdrości. Ona twierdzi, że tego nie zrobiła.

— Mają jakieś mocne punkty oskarżenia?

— Tylko poszlaki. Wygląda na to, że cała służba w domu Hexterów to Gwatemalczyki i wszyscy chodzą do kościoła w centrum. W niedzielę rano zawsze opuszczają dom o tej samej porze, o wpół do siódmej. Pamela i Bart zostawali sami. Tamtej niedzieli nikt ze służby nie widział rano żadnego z państwa Hexterów, ale kucharka zeznała, że się kłócili około wpół do szóstej. Szła wtedy do kuchni nastawić kawę.

— Powiedziała, o co się kłócili?

— Nie. Słyszała tylko podniesione głosy. W dzień powszedni gazety dostarczane są mniej więcej za piętnaście siódma, ale w niedziele Bart sam musiał po nie jeździć. Pamela nie jest pewna, o której wyjechał po gazetę. W każdym razie wsiadł do swojego rollsa i już nie wrócił. Kilku gliniarzy, z którymi rozmawiałem, twierdzi, że policja ma świadków, jakąś kobietę spacerującą z psem po Parkland Road i faceta z sąsiedztwa, który wyszedł pobiegać. Obydwoje stwierdzają, że słyszeli strzał kilka minut przed siódmą. Jogger widział też rowerzystę w Parkland Road, ale policja nie szukała go zbyt intensywnie, skoro i mężczyzna, i kobieta z pieskiem zgadzają się co do czasu, kiedy słyszeli wystrzał. Pamela utrzymuje, że zeszła do kuchni, nalala sobie kawy i czekała, aż mąż wróci z gazetą, którą mieli zwyczaj razem czytywać przy śniadaniu. Po piętnastu czy dwudziestu minutach zaczęła się niepokoić. Wróciła do sypialni i włożyła dres. Kiedy Barta nadal nie było, wsiadła do wózka golfowego i pojechała go szukać. Czy wszyscy bogaci ludzie jeżdżą po swoich posiadłościach wózkami golfowymi? — zapytał Elliott.

— W Lake Forest nie jest to niczym szczególnym — odparłam. — Dziwię się, że Bart nie pojechał wózkiem.

— Żona twierdzi, że nigdy nie używał wózka. Mówił, że czuje się w nim jak pajac, a poza tym biorąc samochód, nie musiał się ubierać. W każdym razie Pamela była zmartwiona, ponieważ mąż chorował na serce. O ile wiem, dwa lata temu przeszedł zawał serca. Od tamtej pory miał problemy zdrowotne i nieraz zdarzyło mu się zasłabnąć. Pojechała więc go szukać. Kiedy dostrzegła samochód w rowie, natychmiast pomyślała, że mąż ponownie doznał zawału. Otworzyła drzwi samochodu i chwyciła Barta, żeby go stamtąd wyciągnąć. Dopiero wtedy zauważyła, co mu się naprawdę przytrafiło. Mówi, że w momencie, gdy sobie to uświadomiła, doznała szoku. Twierdzi, że jeszcze przez jakiś czas siedziała w wózku, zanim wróciła do domu. Gdy zobaczyła, że ma na dresie krew, zdjęła go i wypłukała pod prysznicem. Cały czas działała jak w transie. Kiedy już się przebrała i doprowadziła do porządku, zadzwoniła do starego przyjaciela o nazwisku Kurlander, który kazał jej zadzwonić pod numer 911. Zgłoszenie Pameli zarejestrowano o godzinie siódmej pięćdziesiąt trzy. Dowodów w sensie fizycznym prawie nie ma. Odciski palców w samochodzie należą do Barta i Pameli. Odciski stóp w okolicy samochodu zidentyfikowano jako należące do ciebie i Pameli. Bliżej krawędzi podjazdu były jeszcze inne odciski, które jednak należały do jakiegoś rowerzysty lub joggera. Bart bez wątplenia zginął z własnej broni, ale broń była dokładnie wyczyszczona.

— A dlaczego policja uważa, że to Pamela go zastrzeliła?

— Policja ustaliła, że Hexterowie klócili się przez cały weekend. Klócili się już w piątek wieczorem, kiedy zaprosili na kolację dzieci. W sobotę grali w golfa, a potem udali się na przyjęcie do klubu i kilkoro ludzi potwierdza, że tam również się klócili. W efekcie Bart wyszedł wcześniej z przyjęcia, a Pamelę musieli odwiedzić do domu znajomi. Przede wszystkim jednak policja uważa za dziwne to, że pani Hexter czekała godzinę ze zgłoszeniem morderstwa. Nie podoba im się również, że najpierw zadzwoniła do prawnika i to, że przyjęła ich nienaganie ubrana i uczesana, tak jakby byli zaproszeni na herbatkę. A już szczególnie to, że na dnie pojemnika na śmieci znaleźli poplamiony krwią dres.

— Widziałam ją tamtego ranka. Była tak spokojna, że aż poczułam się nieswojo.

— No i oczywiście jest problem broni. O ile wiem, pani Hexter powiedziała policji, że mąż nie posiadał broni. A tu się okazuje, że jednak posiadał. Trzymał ją w szufladzie biurka. Miał ten pistolet siedem lat, legalnie zarejestrowany na swoje nazwisko. Pani Hexter utrzymuje, że nic o tym nie wiedziała i że nigdy nie wchodziła do jego gabinetu. Dosyć łatwo jest wyobrazić sobie pisany przez policję scenariusz. Hexterowie się pokłócili. W niedzielę rano, kiedy Barton, trzaskając drzwiami, wyszedł, by pojechać po gazetę, Pamela złapała broń, wskoczyła do wózka golfowego i ruszyła za nim. Bart zatrzymał samochód i opuścił szybę, żeby coś powiedzieć, a Pamela strzeliła. Jego samochód zsunął się do rowu, a ona podeszła do auta upewnić się, że Bart nie żyje. Potem wytarła broń i wrzuciła do samochodu. Robiąc to, powalała się krwią. Wróciła do domu, zdjęła

pobrudzoną odzież, wzięła prysznic i zadzwoniła do znajomego prawnika. Wszystko pasuje jak ulał.

— Więc nad czym pracujesz dla Elkina?

— Sprawa ma charakter poszlakowy. Usiłujemy znaleźć słabe punkty. Instykt mówi mi, żeby przede wszystkim zająć się bronią. Elkin twierdzi, że jedna ze służących widziała w piątek broń w szufladzie. Policja jest przekonana, że nikt oprócz rodziny i służby nie miał do niej dostępu. Wszyscy służący mają alibi.

Zwolnił się dla nas stolik, więc przeszliśmy w głąb restauracji. Zamówiliśmy więcej wina.

— Sprawa zapowiada się interesująco — kontynuował Elliott, studiując równocześnie menu. — Widziałem dziś u Elkina Pamelę Hexter. Zeznając w sądzie, nie zrobi najlepszego wrażenia. Ciągłe powtarza, że skoro tego nie zrobiła, nie mogą jej skazać, lecz mówi to takim tonem, jak gdyby była oskarżona nie o morderstwo, lecz pierdnięcie w miejscu publicznym.

— Może Pamela kogoś osłania — zasugerowałam. — Mówiłeś, że tylko rodzina mogła mieć dostęp do broni. Pamela nie jest głupia. Wie, że jeśli nie ona się tego dopuściła, musiało to zrobić któreś z dzieci. Mają alibi?

— Nie wiem, ale na pewno to sprawdzę. Czy któreś z nich mogłoby stanowić dobry materiał na mordercę?

— Margot jest dosyć niezrównoważona psychicznie i na pewno nie przepadała za ojcem.

Podeszła do nas kelnerka i odebrała zamówienie. *Scalopine* z sosem grzybowym dla Elliotta i *doppino* dla mnie.

— Musisz przyznać, że sprawa wygląda dosyć pikantnie — podsumował Elliott, odrywając kawałek z przyniesionego właśnie na stół świeżego pieczywa.

— Nie stać mnie na taki dystans. Jestem zbyt blisko rodziny. Wiele czasu spędziłam w tym tygodniu z synem Hextera. To dla niego bardzo bolesne przeżycie. Poza tym było kilka momentów, gdy myślałam, że to ja zostanę zakuta w kajdanki.

— Martwiłaś się, co?

— Ruskowski oskarżył mnie o romans z zabitym. Sprawdzano moje rachunki bankowe, przeszukano mieszkanie. Nic nie uświadamia człowiekowi bardziej możliwości zostania oskarżonym o morderstwo niż widok policjantów grzebiących w jego bieliźnie.

— Wyobrażam sobie, jacy zachwyceni byłiby twoi współnicy — wtrącił Elliott.

— Wystarczyło, że moja podobizna pojawiła się w gazecie, a już wpadli w zbiorową histerię. Gdyby mnie aresztowano, mogliby wszyscy dostać zawału. Nie, nie. To by jednak inaczej wyglądało. Jeszcze zanim by mnie wypuszczono za kaucją, moje rzeczy byłyby schludnie popakowane w kartony, a w dziale osobowym czekałby na mnie bezterminowy urlop.

— Sądziłem, że współnicy powinni się wspierać.

— Wspierają się, ale lepiej im to idzie w przypadku tych, którzy przepracowali

w firmie co najmniej dwadzieścia lat. Ja zostałam współnikiem dopiero cztery miesiące temu i nadal są tacy, którzy mają mi za złe, że jestem kobietą i w dodatku młodą.

— Słuchając cię, można odnieść wrażenie, że w Callahan Ross pracują sami starcy. Przecież są tam chyba też jacyś młodzi ludzie?

— Starość jest bardziej stanem umysłu — odparłam.

— Mając taki stosunek do własnego miejsca pracy, nic dziwnego, że nie jesteś tam zbyt popularna.

— Nie traktują mnie jak pariasa — zaprotestowałam. — Nikt we mnie niczym nie rzuca, kiedy przychodzę rano do pracy. Czasem nawet ktoś mnie zaprasza na lunch. Ale tak naprawdę, duża kancelaria prawnicza przypomina trochę szkołę średnią. Szczerze mówiąc, też nie byłam tam szczególnie lubiana. Chciałabym jednak wiedzieć — zapytałam nagle — po co prowokujesz mnie do takich zwierzeń?

— Dlatego, że mnie zaciekawiasz — wyznał Elliott z rozbrajającą szczerością. — Nie mogłem cię rozgryźć. Czy tam, skąd pochodzisz, wszystkie są takie?

— Nigdy nie uważałam się za osobę tuzinkową — powiedziałam.

— I niewielu ludzi za taką cię uważa — odparł Elliott.

Przyniesiono zamówione dania.

Wieczór był przyjemny, więc zrezygnowaliśmy z taksówki. Po drodze do kancelarii Elliott powiedział mi o Torey Lloyd.

— Victoria Lloyd — zaczął, kiedy skręciliśmy w stronę Wells — urodziła się w Pinkerton, w stanie Illinois. Najmłodsza z czworga dzieci. Ojciec był farme-rem, matka zmarła, kiedy Torey miała cztery lata.

— Gdzie w Illinois, na litość boską, znajduje się Pinkerton?

— Na samym południu stanu. Liczy sobie dwa i pół tysiąca mieszkańców. Facet, którego tam posłałem mówi, że oni w tym Pinkerton mają jeszcze kina dla zmotoryzowanych, z obsługą kelnerską. No wiesz, siedzisz sobie w samochodzie, a kelnerka przynosi ci do okna tacę z jedzeniem.

— Fascynujące.

— Pinkerton to małe miasteczko, bardzo religijne. Kiedy Torey ukończyła szesnaście lat, stało się oczywiste, że jej ambicje znacznie przerastają to, co miało do zaoferowania. W dniu, gdy ukończyła szkołę średnią, wsiadła do autobusu i pojechała do Chicago. Próbowwała swych sił jako modelka, pracowała jako kelnerka i chodziła na kursy wieczorowe. Mieszkała z jakimś facetem przez sześć miesięcy, ale nic z tego nie wyszło. Starła się o pracę jako stewardesa, ale trafiła na okres, kiedy właśnie zwalniali. W swoje dwudzieste pierwsze urodziny poznała w barze przy Rush Street niejakiego Savage'a.

— Carla Savage'a, który pracował dla Hexter Commodities?

— Tego samego. Mieszkali razem prawie przez rok, a potem Carl załatwił jej pracę gońca w Hexter Commodities.

— Kiedy więc zamieniła Carla na Barta? — zapytałam.

— Co do tego nadal nie mam pewności, więc przebadalem jej sytuację finansową. Po trzech miesiącach pracy w Hexter Commodities spłaciła wszystkie długi, kupiła nowy samochód, i to od razu lexusa, oraz miała otwarte rachunki kredytowe u Marcusa, Saksa, Neimana i w Bloomies. W domach towarowych zostawiała co miesiąc około dziesięciu tysięcy, nie robiąc żadnych długów. Nigdy nie zgadniesz, na jaki adres szły wszystkie rachunki.

— Hextera?

— Nie. Lake View Towers, a Hexter płacił czynsz.

— Powinam się zatem czuć dowartościowana jako kobieta. Według Ruskowskiego, nocny portier wybrał moje zdjęcie, wskazując na mnie jako dziewczynę, którą Hexter tam odwiedzał.

— Rozmawiałem wczoraj z tym portierem. Cierpi na jaskrę.

— No tak, teraz mogę wrócić do rzeczywistości.

Skęciliśmy nad rzekę, wijącą się koło hali targowej, której ciemne kontury odbijały się w wodzie. Wieczór był zadziwiająco ciepły, a w powietrzu czuło się woń bzu, zwiastującą rychłe nadejście lata.

— Wiem, że nie prosiłaś mnie, żebym ją śledził, ale zatrzymałem się dziś rano na chwilę koło Lake View Towers i udało mi się ją przelotnie zobaczyć, gdy wychodziła do pracy. Rzeczywiście niezła. Nic dziwnego, że Hexter tak się do niej zapalił.

— Oczywiście zdajesz sobie sprawę — zaczęłam po chwili namysłu — że Torey Lloyd może zostać uznana za motyw działania Pameli Hexter. Wczoraj wieczorem, kiedy Elkin przyszedł na posterunek, stwierdził, że to będzie ten rodzaj procesu, który w prasie rozegra się, zanim jeszcze oskarżony trafi na salę sądową. — Poinformowałam Elliotta o kontrakcie na kupno apartamentu w River North, znalezionym w skrytce depozytowej Hextera. — Przyznasz, że kiedy policja się o tym dowie, sprawa nie będzie wyglądała najlepiej dla Pameli.

— Sama Pamela zachowuje się w sposób, który nie jest dla niej najlepszy — odparował Elliott. — W tym jej całkowitym opanowaniu jest coś bardzo nienaturalnego. Nic dziwnego, że gliniarze myślą, że to zrobiła.

W milczeniu przeszliśmy na drugą stronę ulicy. W końcu powiedziałam:

— Kiedy miałam dziesięć lat, mój starszy brat, Teddy, popełnił samobójstwo. Powiesił się w garażu, żeby rodzice, kiedy wrócą z przyjęcia, od razu mogli go zobaczyć. Słyszac krzyki mamy, zesłam na dół. Stała w kuchni i usiłowała nalać sobie szklankę wody, ale ręka tak jej się trzęsła, że nie była w stanie utrzymać szklanki pod kranem. Piętnaście minut później, kiedy przejechała policja, mama była już w pełni opanowana. Pamiętam, że później przyjaciele podziwiali mamę za jej stoicyzm. Dla mnie to nie miało najmniejszego sensu. Pamiętam, że myślałam sobie wtedy, że gdybym to ja umarła, to chciałabym, by po mnie płakano.

— A jak ty się zachowujesz, Kate? Mówisz o ludziach, z których środowiska

pochodzisz, jakbyś do nich nie należała. Płaczesz w obecności innych, czy prezentujesz kamienną twarz?

— Kiedy zmarł mój mąż, płakałam — odparłam cicho. — Była późna noc. Czuwałam przy nim w szpitalu. Od trzech dni był w stanie śpiączki i wiedzieliśmy, że koniec jest bliski. Trzymałam go za rękę, kiedy umarł. Wezwałam pielęgniarkę i powiedziałam jej. Pielęgniarka zdjęła mu z palca obrączkę. Wręczyła mi ją, a potem zamknęła mu powieki. Nie pamiętam, kiedy zaczęłam płakać, ale tamtej nocy wyplakałam wszystkie swoje łzy. Potem chyba nikt już nie widział mnie zapłakanej. Nawet na pogrzebie. Mój ból był zbyt osobisty, żebym go chciała dzielić z innymi. Myślę więc, że chyba się jednak tak bardzo nie różnię od ludzi, wśród których wyrosłam.

— Przepraszam — wyszeptał Elliott. — Nie miałem zamiaru rozbudzać tych bolesnych wspomnień.

— To już trzy lata. Przez długi czas nie potrafiłam nawet wspominać o tym. Nie mogłam się zdobyć, żeby na głos wymówić jego imię. Prawdą jest to, co się mówi o czasie. — Przez chwilę szliśmy w milczeniu. — To już tutaj — powiedziałam. Opustoszała ulica mieniła się bladą poświatą, spływającą z rozświetlonych okien biurowca. Ten spacer, wino i rozmowa o Russelu zupełnie mnie rozkleiły.

— Kiedy spotykasz się z Torey Lloyd?

— W niedzielę po południu.

— Chcesz, żebym z tobą poszedł?

— Nie. Myślę, że Torey będzie się czuć swobodniej, jeśli będziemy same.

Stał blisko mnie. Czułam spokojny rytm jego oddechu i zbyt późno uświadomiłam sobie, że przekroczyliśmy pewną granicę.

— Trzeba się przy tobie mieć na baczności — powiedział, przyciągając mnie lekko do siebie. Musnęłam dłońmi szorstką wełnę jego marynarki.

Kiedy mnie pocałował, poczułam, jak wzbiera we mnie pożądanie. I choć nie wykonał żadnego śmiałego gestu, z trudnością udało mi się od niego oderwać.

Rozdział 18

Oprzytomniałam dopiero po wejściu do budynku. Przez długi czas wydawało mi się, że jestem uodporniona na takie emocjonalne rozchwiania. Trzymałam się swojego uporządkowanego życia i przestraszyłam się, że o mało od niego nie odeszłam za sprawą wiosennego wieczoru i przystojnego mężczyzny.

Mój gabinet wydał mi się zbyt jasno oświetlony i dziwnie obcy. Na biurku leżały góry dokumentów — sprawy do załatwienia. Machinalnie zaczęłam przekładać papiery. Kiedy zadzwonił telefon, wzdrygnęłam się. Słyszac znajomy głos Stephena, poczułam się winna, ale spokojniejsza. Stephen właśnie skończył pracę. Czy chciałam, żeby mnie podwiózł do domu?

Po co? Mój samochód stał zaparkowany w podziemnym garażu. Stephen dobrze o tym wiedział. Dlaczego nie potrafiliśmy nigdy mówić wprost tego, co czujemy. Po co te zastępcze słowa, ta niechęć do bezpośredniości. „Czy chcesz, żebym z tobą pojechał do domu?” Czy ja tego chcę? Zawsze były między nami bariery, których nie potrafiliśmy pokonać.

— Wracasz rano do miasta? — zapytałam.

— Mam o dziesiątej spotkanie z Larsem Berggrenem. Wieczorem jemy z nim i jego żoną kolację — przypomniał Stephen. Dzwonił z samochodu. Słyszałam w tle przytłumione odgłosy klaksonów. — Przywiozę cię z powrotem do miasta, kiedy tylko zechcesz.

— Będę czekać na dole.

Tej nocy kochałam się ze Stephenem, ale czułam się tak zagubiona, że równie dobrze mógłby to być ktokolwiek inny.

Kiedy o ósmej zadzwonił budzik, zaraz potem usłyszałam dźwięk młynka do kawy. Jęknęłam i zakryłam poduszką głowę. Kilka minut później Stephen przyniósł mi kawę i *Tribune*.

— Na pierwszej stronie działu lokalnego Elkin Caufield wyraża oburzenie z powodu aresztowania Pameli Hexter — zrelacjonował Stephen. — Poza tym nic nowego.

Każdy dzień Stephen zaczynał od ćwiczeń gimnastycznych: rozgrzewka, potem dwadzieścia minut na symulatorze łodzi wiosłarskiej, a następnie jeszcze dwadzieścia minut na stepperze. Miał u siebie osobny pokój przeznaczony do ćwiczeń, wyposażony niczym fitness club. Dbal o kondycję fizyczną była dla niego równie oczywista jak mycie zębów. Stał teraz przy łóżku w butach do gimnastyki i krótkich czarnych spodenkach, jego nagi tors lśnił. Pomyślałam, że mógłby się tak zaprezentować na okładce kalendarza wydawanego na cele dobroczynne.

— Jak tam? Dużo masz dziś pracy? — zapytał.

Przeglądałam właśnie artykuł o morderstwie Hextera. Na fotografii, którą opatrzone był tekst, Elkin Caufield wyglądał na bardzo z siebie zadowolonego.

— Tak. Muszę w końcu jakoś wyjaśnić tę sprawę dla CFTC. Jeden z byłych pracowników Hextera twierdzi, że Deodor to tylko kamuflaż przed żoną.

— Więc nie prowadził dwóch rachunków, żeby móc przekraczać limity kontraktowe?

— Widocznie jednak przekroczył — odparłam w zamyśleniu. — Ale Savage uważa, że powinno mu bardzo zależeć, żeby tego nie zrobić. Jakoś się to wszystko kupy nie trzyma.

Stephen przyłożył sobie dwa palce do szyi, by sprawdzić, czy już ochłonął po ćwiczeniach gimnastycznych.

— Czy wiesz coś na temat częstoskurczu komorowego?

— Częstoskurcz komorowy to bardzo szybkie tętno, powstające zazwyczaj w jednej z komór sercowych — odparł Stephen. — A czemu pytasz?

— Hexter nabawił się tego po ciężkim zawale, jakiego doznał. Koroner stwierdził, że jego serce było w tak złym stanie, że gdyby go nie zastrzelono, to i tak by już długo nie pożył. Pamela wspominała, że Bart czasami tracił przytomność.

— Epizodom występowania częstoskurczu nieraz towarzyszy utrata przytomności — potwierdził Stephen. — To bardzo poważne schorzenie dla kogoś, kto przeszedł zawał. Do niedawna jedynym sposobem zapobiegania takim epizodom było wszczepianie pacjentom defibrylatora.

— Barton junior powiedział, że zamiast tego ojciec zażywał jakieś lekarstwo.

— To jeden z naszych specyfików. Opracowaliśmy nową generację amiodaronu — środka stosowanego u pacjentów z częstoskurczem komorowym. Lek nazywa się Ventrinom i jest bardzo skuteczny.

- Mam wrażenie, że znacznie sympatyczniej jest łykać pastylki, niż dać sobie wszczepić jakieś elektryczne urządzenie.
- Mówiłaś, że Hexter mieszkał razem z żoną, prawda?
- Oczywiście — odparłam. — A dlaczego pytasz?
- Jedną z niedogodności stosowania Ventrinomu jest całkowite uzależnienie od tego lekarstwa. Wystarczy, że pacjent nie zażyje leku przez jeden dzień i natychmiast pojawia się zagrożenie wystąpienia częstoskurczu. Dla kogoś z taką historią choroby jak Hexter byłoby to z pewnością zabójcze. Sądzę, że kardiolog wytłumaczył im obojgu wszystkie zagrożenia.
- Co chcesz tym dowieść?
- Azzor Pharmaceuticals ma patent na Ventrinom. Na rynku nie ma konkurencji, więc nie zależy nam na tym, by wyróżniał się w jakiś szczególnie sposób. Są to po prostu zwykłe białe pastylki, takie jak aspiryna czy witaminy, które można dostać od ręki w każdej aptece.
- Więc?
- Więc po co Pamela Hexter miałaby strzelać, skoro wystarczyłoby jej podmienić pastylki i czekać, aż mąż umrze z przyczyn naturalnych?

Najbardziej lubię Callahan Ross w weekendy. W soboty i niedziele jest tu jakoś młodziej. Wiekowi współnicy albo grają w golfa, albo siedzą w klubach, po prostu znikają. Telefony milczą.

Gdy tylko weszłam do swojego gabinetu, zadzwoniłam do detektywa Ruskowskiego i zostawiłam mu wiadomość. Następnie zabrałam się za spadek otrzymany po Hexterze — dokumenty, które mi dostarczono w ostatnim tygodniu. Oprócz formularzy zleceń, w końcu posortowanych i poukładanych w salce konferencyjnej, miałam jeszcze mnóstwo innych papierów, z którymi musiałam się zaznajomić. Do tego dochodziły pudła z domu Hextera, przysłano je w piątek.

Zaczęłam od salki konferencyjnej, gdzie formularze zleceń leżały poukładane w zgrabne sterty. Każda z nich zawierała powiązane w osobne pliki zlecenia z jednego dnia. Sherman przygotował mi listę właścicieli rachunków i przypisane im numery. Dzierżąc w dłoni komputerowy wydruk potwierdzonych transakcji z Izby Rozrachunkowej, zabrałam się za pierwszą stertę i zaczęłam przerzucać karty formularzy. Zrzęda mi mina.

Co ja tu mogłam odkryć w tej masie papierów? Łańcuch komunikacji w handlu giełdowymi kontraktami terminowymi jest przygotowany pod kątem szybkości reagowania. W Hexter Commodities, podobnie jak w innych biurach maklerskich, maklerzy składali zamówienia w imieniu klientów, wypisując blankiety zleceń, które przekazywali maklerowi przy telefonie, a ten z kolei przekazywał informację na dół, gdzie następny makler przy telefonie wypisywał następne zlecenie i przekazywał je gońcowi, który biegiem dostarczał je do maklera na ringu, żeby ten je zrealizował.

Jakoś nie bardzo wierzyłam w zapewnienia Savage'a, że Deodar Commodities

w rzeczywistości należało do Hextera. Wierzyłam jednak, że Bart mógł nie chcieć ujawniać przed żoną wszystkich swoich dochodów. Dlaczego jednak wystawiał się na razy CFTC, naruszając przepisy, szczególnie jeśli wiedział, że Herman Geiss patrzy mu na ręce. Poza tym jeśli to rzeczywiście Hexter stał za oboma rachunkami, to kto w takim razie wymazał zapisy komputerowe i zabrał dokumentację. I, co ważniejsze, dlaczego?

Jednak, w miarę jak upływały godziny, formularze zleceń zdawały się w coraz to większym stopniu potwierdzać słowa Savage'a. Przepisy CFTC nakazywały składanie zleceń zawsze z numerem rachunku. Taka regulacja miała na celu zapobieżenie symetrycznemu rozdziałowi zyskowych i niezyskowych transakcji na dwa rachunki. Sprawdzając formularze zleceń, zauważyłam, że numery rachunków Hextera i Deodar Commodities były wpisywane na zlecenia dopiero po fakcie. Czasami zlecenie było wypisane długopisem, a numer rachunku ołówkiem. Nieraz wydawało się, że numer rachunku był dopisywany zupełnie inną ręką.

Jednak, mimo że usiłowałam dopatrzeć się w tym wszystkim jakiegoś schematu, porównując wykaz zawartych transakcji z formularzami zleceń, zyskowe i niezyskowe transakcje rozkładały się w sposób zupełnie przypadkowy na obydwa rachunki. Jedynym wyjaśnieniem takiego stanu rzeczy była interpretacja Savage'a.

Nie ulegało wątpliwości, że Hexter był winien przekroczenia wielkości limitów. Zawieranie transakcji bez wpisywania numeru rachunków również stanowiło naruszenie przepisów, choć trudno mi było sobie wyobrazić, jaki konkretny zarzut mogłoby tu postawić CFTC, skoro na skutek stosowania tej praktyki nikt nie zyskiwał ani nie tracił. Wydawało się też oczywiste, że alokacji transakcji na obydwa rachunki nie mogła dokonać jedna osoba. Oprócz Hextera musiały o tym wiedzieć jeszcze inne osoby — Savage, makler przy telefonie, makler w ringu. Czy któraś z tych osób zniszczyła informacje dotyczące tego drugiego rachunku? Z pewnością wszyscy mieli taką możliwość, ale jaki motyw?

Spojrzałam na zegarek. Czwarta. Zaczynałam z nadzieją, że mi się rozjaśni w głowie, a tymczasem miałam w niej jeszcze większy zamęt.

Resztę dnia spędziłam w białiznie u Jeanette. Jeanette jest bardzo rzeczową, elegancką kobietą w wieku pięćdziesięciu kilku lat, która otworzyła własny salon, gdy jej najmłodsze dziecko poszło do szkoły średniej. Dostałam jej adres od pewnej, wyjątkowo szycownej pani mecenas, którą poznałam na spotkaniu Stowarzyszenia Prawników. Z czasem odkryłam, że sklep Jeanette — mieszczący się w rzęsiście oświetlonej galerii na piętrze budynku przy Oak Street, wystarczająco daleko na zachód od centrum, żeby czynsz był już znośny — to tajemnica wielu kobiet aktywnych w życiu zawodowym.

Jak zwykle opanowało mnie tu takie uczucie, jakbym się znalazła w jakimś bajkowym Gałgankowie. Wszędzie wznosiły się stosy żakietów, sterty bluzek,

piramidy pudełek z rajstopami. Było mnóstwo staników i majteczek, koszul nocnych i szlafroków oraz niezliczona ilość małych pudełeczek z biżuterią. Po obu stronach dużego, trzyczęściowego lustra, do którego przylepiona była kartka z listą moich potrzeb na lato, stały podłużne kosze, kipiące strojami.

Mimo że opierałam się ciągle ponawianym przez Jeanette próbom zainteresowania mnie światem mody, darzyłam ją prawdziwą sympatią. Wiedziałam, że dla różnych kobiet ubiór znaczył co innego. Moja mama i jej przyjaciółki wręcz obsesyjnie dążyły do perfekcji. Idealnie szczupłe, pięknie uczesane, pozbawione zmarszczek, wnikliwym okiem taksowały garderobę innych pań, usiłując wypatrzyć jakiś słaby punkt. Są też kobiety, dla których ciuchy to zabawa, treść marzeń lub środek do osiągnięcia celu, jakim jest wabienie i podniecanie.

A dla mnie? Dla mnie to część zabiegów związanych z utrzymywaniem właściwego wizerunku Kate Millholland. Mój zawód wymaga stosownego stroju, a ponieważ należę do rodziny Millholland, oczekiwania w tym zakresie są wobec mnie większe niż w stosunku do innych. Lubię konserwatywny ubiór, który nie rzuca się w oczy, wystarczy mi, że moja mama ubiera się jak z żurnala. Jeślibym jednak nie była dobrze ubrana, ludzie zwracaliby na to uwagę.

Rozpoczęłyśmy od kreacji wieczorowych, jakby to było gorzkie lekarstwo, które najlepiej połknąć od razu. Jeanette dobrze wiedziała, co najlepiej od razu mieć z głowy. Potem załatwiłyśmy sprawę żakietu, odzieży sportowej, butów, nowego prochowca, Jeanette wybrała mi nawet suknię koktajlową, nalegając, żebym od razu ją włożyła. Do szóstej zdążyłam dosyć pokaźnie uszczuplić swoje zasoby finansowe i nabawić się lekkiego bólu głowy. Położyłam się na kozetce, a Jeanette załatwiała w tym czasie robotę papierkową. Spojrzałam na kosz odzieży, którą Marina, krawcowa, zaznaczała do różnego rodzaju poprawek. Przy najmniej, pomyślałam, mam spokój do jesieni.

Gdy tylko otworzyłam drzwi mieszkania, usłyszałam, jak Claudia miota się po swojej sypialni, siarczyście przeklinając.

— Claudia?! — zawołałam. — Nic ci nie jest?

Odpowiedzią był potok obsceniczných wyrazów, więc przekroczyłam próg jej komnaty. Claudia stała na krześle w garderobie i starała się dosięgnąć czegoś leżącego na najwyższej półce. Miała na sobie sukienkę na ramiączkach i kowbojskie buty. Z wyjątkiem weekendu, kiedy przyjechali w odwiedziny jej rodzice, nigdy nie widziałam, żeby moja współlokatorka była ubrana w cokolwiek innego niż zielony chirurgiczny dres. Wszystkie miały nadruk „Własność Szpitala Uniwersyteckiego”. Z czasem uznałam tę pieczęć za trafne podsumowanie życia Claudii.

— Ach, to ty — powiedziała moja współlokatorka, wychodząc z garderoby.
— Co się dzieje? — Spoglądałam z niedowierzaniem na sterty odzieży wznoszące się na podłodze.

Claudia opadła ciężko na łóżko i westchnęła.

— Osiągnęłam absolutne dno — jęknęła.

— O czym ty mówisz? — zapytałam z rosnącym niepokojem.

Claudia, którą znałam, była osobą twardą jak skała, chirurgiem na stażu. Żyła pracą, a wszystkie inne potrzeby sprowadziła do minimum. Była albo w szpitalu, albo spała. Czasami zdarzało się, że siedziała w salonie półprzutomna ze zmęczenia, zbierając siły, by pójść do pracy lub dowlec się do łóżka. Suknia oznaczała jakąś zasadniczą zmianę w jej życiu.

— Claudia, co ty wyrabiasz?

— Nie uwierzysz. Mam randkę.

— Randkę? — powtórzyłam jak echo. Claudia nie udzielała się towarzysko. Tej kobiecie ledwie starczało czasu na sen i jedzenie. — To wspaniale, że masz randkę.

— Nie powiedziałam ci jeszcze najgorszego. To dermatolog.

— Tak? Jak mu na imię? Jaki jest?

— Jaki jest? Jest dermatologiem. Niżej już zejść nie można. Człowiek, którego specjalizację można podsumować zdaniem: „Jeśli zbyt mokre, to wysuszyć, jeśli suche, to zwilżyć”. Nie mogę uwierzyć, że dla seksu staczam się tak nisko.

— Obawiam się, że nie nadażam.

— Jadłam dziś lunch w knajpce. Była dziesiąta rano, ale wiem, że to był lunch, bo jadłam hamburgery z tłuczonymi ziemniakami. Siedzieliśmy tam w grupie, zbyt skonani, żeby rozmawiać. Zaczęłam się przyglądać szpitalnym identyfikatorom. Wszyscy mamy je przypięte do dresów, taki jest regulamin. W pierwszym dniu pracy w szpitalu robią ci zdjęcie. Więc przyglądałam się tym zdjęciom, byli na nich opaleni, uczesani, uśmiechnięci ludzie. Potem rozejrzałam się po naszych rzeczywistych twarzach. Wszyscy prezentowali się gorzej niż większość naszych pacjentów. Popatrz tylko na moją kartę identyfikacyjną. — Przeczolgała się przez leżącą na jej łóżku brudną bieliznę i pokazała mi kartę.

Spojrzałam na zdjęcie. W dosyć niezobowiązujący sposób przypominało moją współlokatorkę, ale tamta Claudia miała różowe policzki, makijaż i w oczach wesołe ogniki. Ciemne błyszczące włosy opadały jej na ramiona. Claudia, z którą ja mieszkalam, miała szarą twarz, podkrążone oczy. Wesołe ogniki przytłumił zrezygnowany upór. Nigdy nie widziałam jej z rozpuszczonymi włosami, zawsze nosiła je splecione w warkocz.

— No i? — powiedziałam, oddając jej kartę identyfikacyjną.

— I kiedy tak zaczęłam się zastanawiać nad swoim życiem, wpadłam w głęboką depresję. Tak głęboką, że kiedy ten dermatolog, którego spotkałam raz w życiu na jakiejś konsultacji, zaproponował kolację, zgodziłam się.

— Cieszę się, że wychodzisz — powiedziałam. — Przyda ci się trochę rozrywki.

— Nie rozumiesz. Ja nie chcę nigdzie iść. Nie chcę się dać złapać w tę pętlę.

— O czym ty mówisz? Co jest złego w pójściu na randkę?

— Nie rozumiesz. Jestem chirurgiem. Chirurgia nie należy do tych specjalności, gdzie mówi się „spróbujmy tego przez kilka dni i zobaczymy, czy poskutkuje”. Chirurgia to dziedzina, gdzie albo się coś uda, albo nie. Na sali operacyjnej nikogo nie obchodzi twoje współczucie, uprzejmość czy zaangażowanie. Albo potrafisz to zrobić, albo nie, a jakość twojej pracy podlega ocenie całego zespołu operacyjnego. Tam nie ma miejsca na żadne nonsensy. Człowiek jest tak dobry jak jego praca. I koniec. Jestem dobrym chirurgiem i staram się, żeby ludzie, z którymi pracuję, uważali mnie w pierwszym rzędzie za chirurga, a dopiero potem za kobietę. Jeśli rozejdziesz się, że poszłam z dermatologiem, nie będzie końca docinkom. Będą mi wkładać do szafki w przebieralni kondomy i maść przeciw trądzikowi...

— Nie możesz przecież dla pracy wyrzekać się innych części swojej osobowości — zaprotestowałam.

— I to właśnie ty chcesz mi udzielać lekcji w tej materii? — spytała prowokacyjnie Claudia.

— Nie wiem, o co ci chodzi. Wychodzę.

— Ach tak. Jego sekretarka dzwoni do twojej sekretarki. Widujecie się ze Stephenem tylko dlatego, że każde z was jest zbyt zajęte, by sobie znaleźć kogoś innego. Co byś zrobiła, gdybyś nie miała Stephena? Zadzwoiłabyś do agencji, żeby ci podesłali jakiegoś faceta?

— Jestem pewna, że nie zniżyłabym się aż tak, żeby sobie pozwolić przysłać dermatologa.

Musiałam się uchylić, żeby uniknąć kowbojskiego buta Claudii, który ze świstem przeleciał koło mojego ucha.

Rozdział 19

Następny niedzielny poranek. *The New York Times*, jeszcze nieczytany, leżał w niebieskiej plastikowej obwolucie na stoliku do kawy. Bart Hexter winien mi być dwie niedziele. Aż trudno w to uwierzyć, lecz to dopiero druga niedziela od jego śmierci. Słońca nie było, więc postanowiłam przedłużyć poranny bieg nad jeziorem aż do Shedd Aquarium. Ciągle jeszcze nie doszłam do siebie po kolacji u Charliego Cantera ze szwedzkim chemikiem i jego żoną.

To był pamiętny wieczór. Chemik był wytworny i czarujący. Jego żona, bez wątpienia w swoim własnym języku równie czarująca, po angielsku nie знаła, niestety, ani słowa. Jak tylko usiedliśmy przy stoliku, mężczyźni zagłębili się bez reszty w bardzo profesjonalnej dyskusji na temat nowej generacji czynników blokujących receptory i ich zastosowaniu w leczeniu poważnych schorzeń neurologicznych. My, kobiety, uśmiechałyśmy się do siebie głupkowato przez trzy godziny.

Co gorsza, zawsze uważałam restaurację Charliego Cantera za wyjątkowo pretensjonalną. Przede wszystkim powinno się tam poprzestać na czytaniu menu. Zamówiłam polędwicę wieprzową zapiekaną w cieście, nadziewaną karczochami, smażoną papryką i przybraną pieczarkami. Do tego sos ziołowy. Brzmiało cudownie — przygoda dla podniebienia. I rzeczywiście, tyle że krótka. Może rzeczywiście jestem trochę rozgrymaszona, ale wydaje mi się, że coś jest nie w porządku, kiedy, płacąc lekką rączką za jeden posiłek prawie sto dolarów (bez win), wychodzi się z restauracji głodnym.

Nadal biegnąc, zastanawiałam się, jak Claudii minął wieczór z dermatologiem. Doszłam do wniosku, że jej komentarze co do moich stosunków ze Stephenem trafiły w samo sedno. Tworzyliśmy ze Stephenem parę młodych profesjonalistów, nadającą się na okładkę magazynu. W łóżku dokazywaliśmy cudów. Wielu ludziom to by wystarczyło. Ale ja kiedyś miałam więcej i trudno mi było nie widzieć różnicy.

Kiedy zmarł Russel, uznałam, że pewien rodzaj miłości odszedł na zawsze, byłam tego tak pewna jak człowiek, któremu amputowano nogę, może być pewien, że nic mu jej nie przywróci. Oplakiwałam tę cześć samej siebie tak samo, jak oplakiwałam Russela, a potem skoncentrowałam się na rzeczach, które mi pozostały.

Ale na chodniku przed moją kancelarią, kiedy pocałował mnie Elliott, poczułam, że na moment rozjarzył się we mnie jakiś nie wygasły jeszcze ogień i jeśli nie była to miłość, to w każdym razie musiał to być przejaw jakiegoś podobnego uczucia, do którego, jak widać, byłam jeszcze zdolna. Okrążając jezioro, zastanawiałam się, czy to dobrze.

Gdy tylko znalazłam się w gabinecie, natychmiast otworzyłam jedno z pudeł, które nadeszły z domu Hextera. Cheryl umówiła mnie na drugą na spotkanie z Torey Lloyd w Lake View Towers i jeszcze przed tym spotkaniem chciałam przejrzeć jak najwięcej z tych papierów. Wkrótce jednak okazało się, że to nie takie łatwe.

Hexter miał niezwykłą zdolność szybkiego liczenia, księgowość nie była jednak jego mocną stroną. Nic zatem dziwnego, że ktoś o takim umiłowaniu porządku jak Pamela odczuwał potrzebę patrzenia mu na ręce. W pudle znalazłam koperty z nadrukami siedmiu domów maklerskich — żadna nie była otwierana. Koperty zawierały potwierdzenia zakupu lub sprzedaży albo wydruki stanu konta. Po dwóch godzinach otwierania różnych kopert znalazłam też trzy niezrealizowane czeki na wypłatę dywidendy.

Jedno z pudeł zawierało wyciągi ze wspólnych kont Barta i Pameli. Wszystkie przepasane gumkami, opisane i chronologicznie poukładane — bez wątplenia przez Pamelę. Przystudiowałam je z dużym zainteresowaniem. Historia naszego życia przynajmniej w części pisana jest pieniędzmi, które wydajemy. Niemal wszystkie czeki były wypisywane ręką Pameli i opowiadały historię niebagatelnych wydatków.

Kiedy nadszedł czas, by udać się na spotkanie z Torey Lloyd, zdążyłam się już dowiedzieć wielu interesujących rzeczy. Między nimi i tego, że ogrzewanie domu Barta pochłaniało miesięcznie więcej niż moja sekretarka Cheryl zarabiała w tym samym okresie. Że Hexterowie należeli do siedmiu klubów, między innymi w Palm Springs i Tucson. Że Margot otrzymywała od Barta i Pameli dziesięć tysięcy dolarów miesięcznie, nie licząc tysiąca dwustu wypłacanych jej lekarzowi. I, co najciekawsze, że Bart Hexter, w którego szufladzie biurka znalazłam czterdzieści siedem tysięcy, nigdy nie podejmował z żadnego ze swoich kont więcej niż dziewięćset dolarów miesięcznie.

Zanim dojechałam do Lake View Towers, nabrałam przekonania, że jestem jedyną osobą w Chicago, która pracuje tego popołudnia. Parki nad brzegiem jeziora były przepelnione, wszyscy bawili się i odpoczywali. Rodzice pchali wózki

spacerowe w stronę akwarium, a po alejkach pedałowali cykliści. Psy ganiały za frisbee.

Mieszkanie, które Hexter wynajął swojej utrzymance, znajdowało się na trzydziestym ósmym piętrze wieżowca nad jeziorem. Torey otworzyła mi drzwi i kiwnąwszy głową na powitanie, zaprosiła do środka. Nie wiem, co spodziewałam się tu zobaczyć — może czerwone meble i malowidła na czarnym atlasie — ale wygląd apartamentu mnie zaskoczył. Mieszkanie było duże, jasne i nowoczesne, rozciągał się z niego wspaniały widok na jezioro. Podłogi wykonano z jasnego dębu, a ściany pomalowano na biało. Meble również były białe. Wszystko to służyło wyeksponowaniu kilku znajdujących się we wnętrzu śmiałych dzieł sztuki nowoczesnej.

Układ wnętrza był otwarty, więc w jadalni mogłam dostrzec długi szklany stół, otoczony krzesłami z wysokim oparciem, przypominającymi projekty Franka Lloyd Wrighta. W głębi widać było nowoczesny włoski komplet kuchenny z blatami wykonanymi z różowego granitu. Z danych zawartych w jej teczce osobowej wynikało, że Torey, pracując jako goniec w Hexter Commodities, zarabiała dwadzieścia jeden tysięcy dolarów rocznie, więc z pewnością nie z własnych pieniędzy opłacała ten apartament.

Wskazała mi duży fotel obity kremową skórą, sama zaś wcisnęła się w kąt sofy w tym samym kolorze. Nigdy dotąd nie widziałam jej z bliska i teraz zrozumiałam, dlaczego Elliott wyczekiwał przed budynkiem, by móc się jej przyjrzeć. Twarz Torey miała w sobie coś magnetycznego. Kiedy się tylko na nią spojrzało, trudno było oderwać wzrok. Jednak to nie doskonałość rysów przykuwała uwagę. Oczy miała ogromne, to prawda, przymglony fiolet, wpadający w kolor niebieski lub szary w zależności od oświetlenia, cerę nieskazitelną, usta pełne, a zęby idealnie białe, ale nos z garbkiem i ostro zarysowane kąciki ust sprawiały, że nie przypominała lalki Barbie.

Miała na sobie szare kaszmirowe obcisłe spodnie i tunikę w takim samym kolorze. Na jej szyi wisiał długi złoty łańcuch o niezwykłym splocie. Brylantowe kolczyki w uszach, jeśli tylko prawdziwe, stanowiły niezłą lokatę kapitału. Na lewej dłoni nosiła pierścionek z brylantem o prostym, nowoczesnym kształcie.

— Przysłała panią rodzina, żeby mnie splawić? — spytała, nie usiłując nawet kamuflować wrogości w głosie.

— Nie zamierzam wywierać na pani żadnej presji — powiedziałam uczciwie. — Chciałam tylko porozmawiać. Nic więcej. Gdyby nie to, że syn Barta ma teraz mnóstwo innych rzeczy na głowie, osobiście by się z panią spotkał. Proszę, niech mi pani powie, kiedy zaczął się pani związek z Bartem.

— Prawie zaraz po tym, jak zaczęłam u niego pracować. Udawało mi się grać niedostępną przez jakieś trzy tygodnie. Mieszkałam jeszcze w tym czasie z Carlem i było to dość niezręczne. Ale Carl to drań i wiedziałam, że nasz związek się nie utrzyma. Poza tym kiedy Bart czegoś pragnął, zawsze musiał to dostać. Wiem, co powszechnie myślano, że chodziło mi o jego pieniądze, ale mnie zawsze pociągali przebojowi, silni mężczyźni. Bart zrobił na mnie piorunujące

wrażenie. Od samego początku tłumaczyłam mu, że nie zamierzam zostać utrzymanką bogatego mężczyzny. Chciałam od życia więcej niż tylko ukradkowych spotkań. Dlatego nigdy nie rzuciłam pracy. Chciałam rozpocząć działalność na własny rachunek. W czerwcu Bart miał mi wykupić członkostwo giełdy.

— I od samego początku dawał pani pieniądze?

— To nie było tak. Kiedy zerwałam z Carlem, nie miałam gdzie mieszkać. Bart znalazł mi to mieszkanie. Powiedziałam, że dla mnie zbyt kosztowne, ale Bart stwierdził, że nie będzie się ze mną spotykał w jakiejś norze. Był bardzo hojny. Lubił dawać prezenty. Chciał, żebym miała piękne rzeczy. Nigdy o nic nie prosiłam. Kochałabym go tak samo, gdyby był murarzem.

— No, a jego temperament? — zapytałam.

— Mój tata miał podobny. To mi nie przeszkadzało.

— Po co dzwoniła pani do Bartona? Czego pani od niego oczekuje?

— Tego, co przyrzekł mi jego ojciec. Miał mi kupić apartament w nowo budowanym kompleksie nad rzeką. Wpłacił zadatek i w poniedziałek miał uiścić pierwszą ratę. Chcę też pieniędzy, by móc opłacać czynsz do czasu wybudowania tamtego apartamentu. Potrzebuję pieniędzy na meble i wykup członkostwa giełdy, żeby móc rozpocząć działalność.

— Cóż, pani oczekiwania są dość duże.

— To i tak mniej, niż dostałabym, gdyby ta suka, Pamela, go nie zabiła.

— Zakłada pani, że związek z Bartem miałby trwały charakter. Skąd ta pewność? W każdym razie z jego śmiercią wszystko się zmieniło.

— Trwały — powiedziała Torey, wpatrując się we mnie swymi fioletoowymi oczyma. — W piątek, ostatni raz kiedy się widzieliśmy, przyszedł tutaj i oświadczył mi się. Powiedział, że postanowił rozejść się z Pamelą. I dał mi to. — Ruchem typowym dla wszystkich narzeczonych Torey wyciągnęła lewą rękę i pokazała mi pierścionek.

W kancelarii czekał już na mnie Ruskowski.

— Nie ma pan zwyczaju korzystać z telefonu? — zapytałam, otwierając drzwi gabinetu.

— Lubię widzieć swego rozmówcę.

— Musi pan tracić sporo czasu na dojazdy.

— W Lake Forest nie ma aż tak wielu zabójstw. Teraz, kiedy sprawa Hextera jest już zamknięta, mam więcej czasu.

— Więc nie ma pan żadnych wątpliwości, że to Pamela Hexter zastrzeliła męża?

— Za kogo mnie pani bierze? Gdybym miał jakiegokolwiek wątpliwości, nigdy bym jej nie kazał aresztować, szczególnie kiedy cały kraj patrzy mi na ręce. Zapewniam, nie mam cienia wątpliwości.

— Pytam, bo rozmawiałam ostatnio ze Stephenem Azzorini. Skoro pan wie,

że z nim sypiam, wie pan zapewne, że jest prezesem firmy Azzor Pharmaceuticals. Mówiliśmy o chorobie Hextera. Czy słyszał pan, że Hexter przeszedł zawał, który o mało nie zakończył się dla niego śmiertelnie?

— Jasne. Koroner mi to powiedział.

— A wie pan, że w efekcie przebytego zawału nabawił się schorzenia nazywanego częstoskurczem komorowym? Czasem zdarzało mu się tracić z tego powodu przytomność.

— Tak, wiem, że brał jakieś leki na serce.

— Brał lek o nazwie Ventrinom. Do niedawna chorym z częstoskurczem komorowym wszczepiano do klatki piersiowej defibrylator. Ventrinom to stosunkowo nowy lek, który eliminuje potrzebę stosowania defibrylatora.

— Bardzo ciekawe, panno Millholland, ale co z tego ma wynikać?

— Jediną wadą Ventrinomu — ciągnęłam dalej — jest to, że organizm się całkowicie uzależnia od leku. Jeśli ma się za sobą taką historię choroby jak Hexter i zapomni zażyć lek, można mieć niemal stuprocentową pewność, że nastąpi atak częstoskurczu, który okaże się śmiertelny. Czy wie pan, że Ventrinom z wyglądu niczym się nie różni od zwykłych, białych tabletek, takich jak aspiryna czy witaminy?

— I co z tego?

— Po co Pamela Hexter miałaby zabijać męża z pistoletu, ryzykując nie tylko to, że zabójstwo zostanie wykryte, ale i konieczność wystawienia się na niewątpliwie w tych okolicznościach zainteresowanie mediów, kiedy wystarczyłoby jej podmienić lek nasercowy na witaminy. Śmierć Barta byłaby zupełnie naturalna.

— Pani zakłada, że zabójstwo Hextera to akt premedytacji. Ja nie szedłem takim tokiem rozumowania. Dwa dni przed tym, jak został zamordowany, Hexter wszedł do Tiffany'ego i wydał osiemdziesiąt tysięcy dolarów na pierścionek zaręczynowy. Potem poprosił dwudziestoczteroletnią panienkę, pracującą u niego jako goniec, by została drugą panią Hexter. Problem w tym, że pierwsza pani Hexter nie wykazała szczególnego entuzjazmu dla tego pomysłu. Nie trzeba jakiegoś szczególnego geniuszu kryminalistycznego, żeby się domyślić, co było dalej. On jej o tym mówi. Ona dostaje szału. Załatwia go. A plus B równa się C. Nieszczęśliwi ludzie co dzień strzelają do swoich mężów lub małżonek. Bywają nerwowi, wyrównują rachunki. To, że Pamela ma kupę forsy, nie znaczy, iż jest inna.

— I tu się pan myli, jest inna. Nigdy nie była w sklepie spożywczym, ani nie czyściła toalety. Nigdy nie znajdowała się w sytuacji bez wyjścia. Wszystkie życiowe problemy załatwiała za pomocą pieniędzy. Więc dlaczego, na litość boską, w tym przypadku uciekałaby się do pistoletu?

— Emocje, po prostu — upierał się Ruskowski. — Pamela zareagowała jak zwykła, zdradzona kobieta.

— Błąd w założeniu — powiedziałam. — Pamela ma tyle wspólnego ze zwykłą kobietą co Buszmen z Borneo.

Kiedy Elliott zadzwonił, proponując spotkanie, z pewnymi oporami zaprosiłam go do kancelarii. Nadal czułam się zakłopotana tym, co się ostatnio między nami wydarzyło i nie bardzo wiedziałam, jak mam się zachować. Żeby nie rozważać tej kwestii, czekając na niego wykreśliłam numer Bartona, który zgodził się spotkać ze mną następnego dnia w Hexter Commodi ties.

Elliott pojawił się ubrany w niebieską kurtkę, dzinsy i biały podkoszulek. W jednej ręce trzymał bukiet szkarłatnych tulipanów, w drugiej torbę pomarańczy.

— To dla ciebie — oznajmił, kładąc obydwie dary na moim biurku. — Zatrzymałem się po drodze, żeby ci kupić kwiaty, ale te pomarańcze wyglądały tak smakowicie. Założę się, że jadasz za mało owoców.

— Dziękuję — odparłam trochę zakłopotana.

— Chciałbym cię przeprosić za ostatni wieczór.

— To nie tylko twoja wina — powiedziałam ostrożnie.

— Wiem, że jesteś związana z kimś innym. Trochę się zapomniałem. Przepraszam.

Chciałam wyjaśnić, że wcale nie jestem pewna, czy jestem związana z kimś innym, że w ogóle niczego ostatnio nie jestem pewna, ale słowa ułożyły się w zdanie:

— Przeprosiny przyjęte.

— Masz wolną chwilę? Spędziłem cały weekend na sprawdzaniu dzieci Hextera. W bardzo interesującą rodzinę wdepnąłeś.

— Co znalazłeś?

— Przede wszystkim Barton nie ma alibi. Jego żona była wtedy z dziećmi u rodziców w Wisconsin. Barton został sam w domu. Za pierwszym razem, kiedy matka zadzwoniła, żeby mu powiedzieć o morderstwie odezwała się automatyczna sekretarka. Barton twierdzi, że brał prysznic, ale kto go tam wie? Miał dość czasu, żeby pojechać do Lake Forest i z powrotem.

— Nie wierzę, że to mógł być Barton.

— On zyskuje najwięcej na śmierci Hextera. Dziedziczy miliony.

— Nie znasz Bartona. On nie chce tych milionów. Cały świat mu się przez to przewrócił, jemu i jego rodzinie.

— Fakt pozostaje faktem, Barton nie ma alibi.

— A co z Margot?

— Margot ponoć była w łóżku, u siebie w mieszkaniu. Jej „partner życiowy”, Brooke Winkleman to potwierdza. Nie mam powodów, żeby im nie wierzyć, ale Margot ma za sobą taką historię psychicznych odchyłów, że nawet Freud by się nią zainteresował. Nie robi sekretu z tego, że nienawdziła ojca, mimo że on zawsze trzymał jej stronę. Czy wiesz, że Margot jest w ciąży?

— Słyszałam.

— Powiedziała mi, że jest pewna, iż gdyby ojciec się dowiedział, natychmiast pozbawiłby ją dopływu gotówki. I co, zły motyw?

— Wiadomo ci, dlaczego tak bardzo nienawdziła ojca?

— Zapytałem o to. Otóż kiedy miała trzynaście lat, ojciec pojawił się na uroczystości zakończenia szkoły z niejaką Loretą Resch, aktualną kochanką. Dopiero co zmarła babcia Margot, a matka wyjechała do Palm Beach. Myślę, że dziewczyna była w najbardziej trudnym okresie. Tyle się mówi o kłopotach z młodzieżą. Margot przeszła to wszystko: seks, narkotyki, wschodnie religie i dwie próby samobójcze. Relatywnie rzecz biorąc, wyszła z tego obronną ręką. Możesz mi nie wierzyć, ale świetnie sobie radzi na studiach psychologicznych.

— Nic w rodzinie Hexterów nie jest mnie w stanie zadziwić.

— Poczekaj, aż usłyszysz o Krissy.

— Słucham.

— Elkina zaciekawiała ta kłótnia Hexterów w przeddzień zabójstwa. Policja przywiązywała do tego duże znaczenie, a Pamela nie chciała na ten temat mówić, twierdząc, że nie było żadnej kłótni, tylko zwykły u Barta napad złego humoru. Ludzie obecni na przyjęciu również nabrali wody w usta. Z polecenia Elkina udałem się więc do klubu, w nadziei, że któraś z kelnerek coś powie.

— No i?

— I powiedziała całkiem sporo. Brała ją grypa i większość czasu spędziła w toalecie dla personelu. Ściana toalety przylega do szatni członków klubu. Kelnerka twierdzi, że podsłuchiwała gwałtowną kłótnię pomiędzy Bartem i Krissy.

— Bart i Krissy?

— Tak. Wszyscy zakładali, że Bart pokłócił się z Pamelą, ale, kiedy wrócił do stolika, tylko odreagował awanturę z Krissy.

— Ale o co poszło?

— Bart z kilkoma innymi mężczyznami zamierzał przejść do palarni na cygaro, ale okazało się, że zostawił swoje kubańskie cygara w kieszeni płaszcza. Kiedy wszedł do szatni, o mało się nie potknął o Krissy, która ścisnęła się tam z jakimś Bradem Cranshawem.

— Ja też ich widziałam! — zawołałam. — Po pogrzebie przypadkowo trafiłam do sali bilardowej w domu Hextera, gdzie Krissy i ten facet zabawiali się na stole bilardowym. A gdzie był jej mąż?

— W Baltimore, grał tam w polo. Wrócił dopiero w niedzielę koło południa. Kelnerka twierdzi, że Hexter się wściekł. Nazwał Krissy zdzirą i zagroził jej, że jeśli się nie poprawi, wyrzuci ją z domu i wydziedziczy.

— A co ona na to?

— Mówiła bardzo wiele, na końcu obiecując, że Bart jeszcze pożałuje swoich słów.

— Mogła go zabić?

— Oczywiście, że mogła. Mieszka tam przecież. Wystarczyło jej po prostu podejść do końca podjazdu i poczekać, aż Bart będzie wracał z gazetą. Fourey, jak już wiesz, był w Baltimore, a ich syn spędzał noc u drugich dziadków.

— Teraz się nie dziwię, że Pamela nie chce współpracować z policją. Jeśli, jak twierdzi policja, prawdą jest, iż tylko członek rodziny mógł mieć dostęp do tej broni, wszystko, co Pamela powie, żeby się oczyścić z zarzutów, obróci się przeciw jej dzieciom.

— Na koniec zachowałem najciekawszą wiadomość — powiedział Elliott z diabelskim uśmiechem.

— Co?

— Zgadnij, kto jest tą dziewczyną na tych świńskich zdjęciach.

— Kto?

— No, zgadnij.

— Nie wiem. Margot?

— Nie.

— Torey?

— Nie

— Nie Torey? No to kto?

— Pokojówka. Elena Olarte.

Rozdział 20

Sypiał z pokojówką? — spytałam z niedowierzaniem. Nie sypiał — odparł Elliott. — W każdym razie tak zrozumiałem. Elena twierdzi, że zdjęcia były rodzajem oferty handlowej dla Bartona.

— Żartujesz.

— Powtarzam tylko słowa pokojówki. Nie miała zbytnej ochoty szorować toalet, więc pomyślała, że skoro Bart i Pamela wciąż się kłóca, to może uda jej się zainteresować go czymś innym.

— Ale kto robił te zdjęcia?

— To jest najlepsze w tym wszystkim — odparł Elliott. — Wyobraź sobie, że jej siostra. Po prostu pewnego pięknego popołudnia wyszły sobie na małą sesję zdjęciową. Nie wątpię, że te zdjęcia musiały wzbudzić w laboratorium fotograficznym ogromne zainteresowanie.

— Ale utrzymuje, że nie sypiała z Hexterem? — wtrąciłam. — I bądź tu mądry. Jak myślisz, można wierzyć, że w szufladzie biurka Barta widziała pistolet? Może jednak kłamie? Bardzo dużo od tego zależy.

— Może kłamać — przyznał niechętnie Elliott. — I możesz być pewna, że kiedy pojawi się na miejscu dla świadków, Elkin postara się ją odmalować jako nędną intrygantkę, zdolną do wszystkiego. To stary trik, polegający na wykorzystaniu życia seksualnego kobiety przeciwko niej. Ale oczywiście to, że chciała się przespać z Hexterem wcale nie musi znaczyć, że jest kłamczucha. Zresztą w jakim celu? Skoro Hexter nie żyje, to wszystkie jej nadzieje na jakieś układy i tak wzięły w łeb.

— Ciągłe mam wrażenie, że ona coś knuje — powiedziałam — ale również nie bardzo widzę powód.

— Spróbuj sobie wyobrazić, kim był Hexter w oczach ubogiej dziewczyny z Gwatemali.

— Albo ubogiej dziewczyny z małego miasteczka w Illinois — dodałam.

— Zgadza się. A jak ci poszło z Torey Lloyd? Udało ci się z nią szczerze porozmawiać?

— To było bardzo ciekawe spotkanie. Jej żądania mogą się wydać uzasadnione, jeśli się weźmie pod uwagę pewną rzecz.

— Jeśli się weźmie pod uwagę co?

— Ano to, że dwa dni przed śmiercią Hexter przyszedł do niej i oświadczył, że opuszcza żonę. Poprosił Torey o rękę i dał jej pierścionek zaręczynowy za osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

— Żartujesz!

— Nie. Pokazała mi pierścionek, a Ruskowski powiedział mi, ile kosztował.

— Niesamowite. Ława przysięgłych będzie teraz jeść oskarżycielowi z ręki. Skoro to wszystko wyszło na jaw, to nie wiem, czy Elkin będzie próbował namawiać Pamelę, żeby prosiła o niski wymiar kary.

— Mam nadzieję, że nie — powiedziałam.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie wierzę, żeby to ona go zabiła. — Podzieliłam się z nim wiadomościami o stanie zdrowia Hextera i Ventrinomie. Przyznałam też, że Ruskowski nie był przekonany tą argumentacją.

— Sam nie wiem, co o tym sądzić — wyrzucił Elliott, kiedy skończyłam. — Chyba skłaniałbym się ku stanowisku Ruskowskiego. Raczej nie ma szans na przekonanie taką argumentacją ławy przysięgłych.

— Teraz nie chodzi o to, co sobie pomyśli ława przysięgłych — przypomniałam. — Członkowie ławy przysięgłych oglądają zbyt wiele telewizji. Mówię o tym, co się naprawdę zdarzyło. Wystarczy spojrzeć na Pamelę. To kobieta, która wszystko planuje, wszystko robi z namysłem, kalkuluje. Tacy ludzie nie powodują się impulesem, nie chwytają w pierwszym odruchu za pistolet.

— Może Hexter w końcu przebrał miarę. Nie miała z nim łatwego życia. Może właśnie ta sprawa z Torey była ostatnią kroplą.

— Zakładając, że jej o tym powiedział. A poza tym przez wszystkie te lata Pamela zdążyła się już przyzwyczać do jego charakteru. Czy sądzisz, że nie myślała o tym, co się stanie, jeśli Bart nie zażyje swoich pastylek? Co?

— Więc wierzysz, że Pamela nie wiedziała, iż Bart ma pistolet? We własnym domu?

— Widziałeś ten dom. Jest tak duży, że w zachodnim skrzydle mogłaby się zagnieździć banda Cyganów i nikt by ich tam nie wykrył aż do wiosennych porządków. Założę się, że są tam pokoje, do których Pamela nie zaglądała od lat. Powiedziała mi, że gabinet Hextera był jedynym miejscem, w którym mógł palić. Jeśli nienawidziła dymu, prawdopodobnie nigdy tam nie wchodziła. Poza tym jest jeszcze jedna rzecz. Ruskowski, zdaje się, to zignorował.

— Co takiego?

— W dniu, w którym Hexter został zabity, miał mi przekazać wyciągi ze swojego rachunku sojowego i rachunku firmy Deodar Commodities. Te dokumenty

gdzieś zniknęły. Zniknęły też duplikaty. Z pamięci komputera stosowne zapisy wymazano w dzień po zabójstwie. I jeszcze coś. W gabinecie Hextera w jego domu znalazłam sporo gotówki. Pamela była straszną sknerą, a Bart lubił szastać pieniędzmi. Samo utrzymywanie Torey Lloyd kosztowało go fortunę. Skąd miał te pieniądze?

— Nie mam pojęcia. Skąd?

— Zgodnie z tym, co mówi Carl Savage, Hexter przeprowadzał również transakcje pod przykrywką firmy Deodar Commodities. Firma ta służyła Hexterowi do ukrywania pieniędzy przed Pamelą. Według mnie, ktoś w Hexter Commodities dowiedział się o tym i szantażował Hextera. W pewnym momencie sprawa wymknęła się spod kontroli.

— W takim razie należałoby się spodziewać, że to raczej szantażysta skończy z kulką w głowie, a nie Hexter.

— Jeszcze nie dopracowałam tej teorii w szczegółach. Wiem tylko jedno. Rozwiązanie Ruskowskiego nie bierze pod uwagę wszystkich aspektów sprawy.

Niedzielną wieczór spędziłam samotnie na oszklonym balkonie naszego salonu. Kiedy się tu wprowadziłyśmy z Claudią, nasz kwartał był jednym z najbezpieczniejszych w Chicago. W wieżowcu po drugiej stronie ulicy mieszkał Harold Washington, pierwszy czarny burmistrz Chicago i przed tamtym domem zawsze stał radiowóz policyjny. Niestety, burmistrz zmarł na zawał serca, a nasz kącik Hyde Parku ponownie pogrążył się w wielkomijskim bagnie, z jakiego na krótko został wyciągnięty.

Siedziałam przy oknie przez kilka godzin, powoli sącząc czerwone wino i usiłując uporządkować wydarzenia ubiegłego tygodnia. Na stoliku w salonie stało dwanaście żółtych róż wetkniętych w napełniony wodą słoik po majonezie. Na bileciku dołączonym do kwiatów widniało: „Jesteś cudowna — Jeff.

Obserwując sceny z życia ulicy, próbowałam połączyć ze sobą wszystko, co wiedziałam o śmierci Hextera. Ruskowski wychodził z założenia, że jeśli usunąć to co nieistotne, sprawa morderstwa sprowadza się do seksu. Jest jednak takie powiedzenie, że w życiu biznesmena wszystko co ważne wymaga księgowego. Byłam pewna, że jeśli usunąć wszystko co nieistotne, sprawa sprowadzała się do dolarów i centów. Problem w tym, że choćbym nie wiem ile razy badała bilans strat i zysków wynikający ze śmierci Hextera, mój wynik nigdy nie był taki jak Ruskowskiego.

Kiedy w poniedziałek przybyłam do Hexter Commodities, zdziwiłam się, widząc za biurkiem Hextera brodatego młodego mężczyznę w brzydkiej flanelowej koszuli i dżinsach, zapatrzonego w ekran monitora.

— O kurczę. Już tu pani jest — bąknął, podnosząc wzrok. — Profesor Hexter mówił, że będzie potrzebował tego pokoju na spotkanie, ale musiałem stracić rachubę czasu. Zaraz wychodzę.

— Dziękuję — powiedziała wyciągając do niego rękę. — Jestem Kate Millholland.

— Kurt Loovis. Jestem jednym z doktorantów profesora Hextera. Wie pani, te rzeczywiste transakcje kontraktami terminowymi to jest naprawdę coś. To eksploracja nowych obszarów w matematyce. — Roześmiał się nerwowo, zbierając papiery. — Całkowicie dziewiczych.

Barton przyszedł kilka minut po wyjściu swojego studenta. Wyglądał na zmęczonego, lecz zrelaksowanego. Jego wzrok powędrował zaraz z tablicy cen na ekran monitora.

— Czy zastałaś tu kogoś? — zapytał, wciąż patrząc na ekran.

— Tak. Przedstawił mi się.

— To jeden z moich asystentów. Weźmie urlop razem ze mną. Spróbujemy sprawdzić, czy będziemy w stanie przełożyć teorię chaosu na technikę podejmowania strategicznych decyzji przy transakcjach zawieranych przez Hexter Commodities.

— To wspaniale — powiedziała. — Wiem, że masz dużo pracy, ale chciałam cię poinformować o wynikach mojej rozmowy z Torey Lloyd.

— Z kim?

— Tą młodą kobietą, która twierdzi, że miała romans z twoim ojcem.

— Ach tak, racja. Zupełnie o tym zapomniałem.

— Nie ma wątpliwości co do tego, że utrzymywała z twoim ojcem związek przez prawie trzy lata.

— Więc myślisz, że rzeczywiście zamierzał jej kupić ten apartament? Właściwie, dlaczego nie? Jeśli już ojciec coś robił, to zawsze w wielkim stylu.

— Tak, ale chodzi o coś więcej. Bart kupował ten apartament dla nich obojga. — Przerwałam, żeby nabrać powietrza w płuca. — Nie chciałabym, żebyś się tego dowiedział od kogoś innego. W piątek, zanim wrócił do domu na kolację, ojciec zatrzymał się u Torey. Powiedział jej, że rozchodzi się z twoją matką i poprosił ją, by za niego wyszła.

— To nie może być prawdą. Na pewno zmyśla.

— Dał jej pierścionek zaręczynowy od Tiffany'ego. Ruskowski to sprawdził.

Barton westchnął głęboko i drżącą ręką zaczesał włosy.

— Nadal pozostaje kwestia, co dalej zrobić z tym apartamentem — przypomniałam mu. — Uważam, że lepiej będzie, jeśli, zgodnie z umową, wpłacisz dziś drugą ratę. Załatwię to z Kenem. Przynajmniej nie przepadnie zadatek. Sądzę, że na jakiś czas uciszy to pannę Lloyd, a potem trzeba będzie postanowić co dalej. Apartament można ostatecznie później sprzedać.

— Rób, co uznasz za stosowne — odparł Barton drewnianym głosem.

Rozległo się pukanie i do środka wpadł zdyszany Tim.

— Przepraszam, ale dzwoni twoja żona. Mówi, że to ważna sprawa — wyrzucił z siebie.

Barton sięgnął po słuchawkę. Przez chwilę słuchał w skupieniu.

— Gdzie jesteś? Nic się nie martw. Będę za dziesięć minut. — Zerwał się na nogi i odłożył słuchawkę.

— Co się stało? — zapytałam.

— Jane jest w szpitalu. Podczas próby z orkiestrą zaczęły jej odchodzić wody. Skurcze są coraz częstsze. Jadę.

— Powodzenia! — zawołałam, ale wyszedł tak szybko, że na pewno nie słyszał.

Siedziałam przy dużym mahoniowym biurku Barta Hextera i przeglądałam wykaz czeków wystawionych Deodar Commodities przez Hexter Commodities w ciągu ostatnich trzech lat. Loretta przysłała młodą kobietę z księgowości, która mi wyjaśniła, że anulowane czeki były wręczane wyłącznie Timowi albo samemu Bartowi. Poprosiłam, żeby spróbowała znaleźć jakieś anulowane czeki, ale byłam pewna, że jej się to nie uda.

— Przepraszam — usłyszałam nad sobą męski głos. — Szukam pana Barta Hextera.

Podniosłam wzrok. Tuż przy mnie stał posłaniec, jeden z tych kamikaze na motocyklach, którzy przeciskają się przez największe korki uliczne i jadą pod prąd, wszystko w imię szybkiej dostawy przesyłki. Chłopak miał na sobie żółtą kurtkę z nazwą firmy kurierskiej, czarne spodnie motocyklowe i purpurowy kask. W rękę trzymał przesyłkę.

— Seniora czy juniora?

— Nie wiedziałem, że jest też junior — odparł, najwyraźniej zaskoczony, widząc mnie na miejscu Hextera. — To jest dla tego starszego faceta, który tu zawsze siedzi.

W drzwiach pojawił się Tim Hexter z plikiem papierów w ręce.

— Cześć, Gary — powiedział. — Mogę to od ciebie wziąć.

— Wiesz przecież, że muszę to dostarczyć do rąk własnych pana Hextera — upomniał go doręczyciel.

— Czy ty, chłopie, nie czytujesz gazet? — zapytał Tim. — Hexter nie żyje. Ktoś go zastrzelił. Więc lepiej mi to daj.

— Nie ma mowy. Zawiozę to z powrotem do firmy. Mój szef do was zadzwoni.

— Nie wygłupiaj się, Gary, tylko mi to oddaj — zniecierpliwiał się Tim.

— Nie mogę — upierał się posłaniec, mocniej ściskając pakunek, jak gdyby się obawiał, że Tim mu go wyrwie. — Mam doręczyć panu Bartowi Hexterowi do rąk własnych.

— On ma ręce sześć stóp pod ziemią! — wrzasnął Tim.

— Pan pozwoli, ja się tym zajmę. — Tim spojrział na mnie z niechęcią i cofnął się do drzwi, żeby stamtąd z pochmurną miną obserwować moje usiłowania.

Sprawa przesyłki kurierskiej zajęła o wiele więcej czasu, niż powinna. Młody człowiek w kasku motocyklowym był zatrudniony przez firmę kurierską o nazwie Couriers International, która specjalizowała się w dostarczaniu przesyłek międzynarodowych. Bart Hexter miał z nimi kontrakt na comiesięczną regularną dostawę i, jak mi wyjaśnił przez telefon szef działu ekspedycyjnego, w warunkach umowy zastrzeżono, że każda przesyłka musi być dostarczona do rąk własnych Barta Hextera. Niestety, w umowie zabrakło klauzuli, co robić na wypadek śmierci odbiorcy. Była to jedna z tych idiotycznych sytuacji, które pochłaniają mnóstwo czasu. Wiedziałam, że w końcu dostanę tę przesyłkę. Wszyscy w firmie kurierskiej też tak uważali, lecz w niczym nie zmniejszyło to ich obaw, że mogą zostać podani do sądu, gdyby się okazało, iż nie powinni tego robić.

W końcu udało mi się dotrzeć do prezesa firmy kurierskiej, który zgodził mi się wydać dokumenty, jeśli podpiszę zatwierdzone przez ich prawnika oświadczenie, że przyjmuję na siebie wszelką odpowiedzialność w związku z przejęciem pakunku. Podyktowałam Cheryl przez telefon coś, co powinno zrobić właściwe wrażenie, a moja sekretarka przesłała tekst oświadczenia faksem do biura prawnego Couriers International.

W końcu, prawie dwie godziny później, podpisałam stosowne papiery i otrzymałam pakunek z dokumentami, dużą brązową kopertę bez adresu zwrotnego. Byłam już solidnie spóźniona na spotkanie z dwoma współnikami, więc wrzuciłam tylko kopertę do teczki, żeby ją później przekazać Bartonowi.

Kiedy wróciłam do siebie, Cheryl od razu podsunęła mi telefon.

— Dzwoni Barton — szepnęła.

— No i jak? Chłopak? — zapytałam.

— Chłopak — odparł. — Ale jest też i dziewczyna.

— Co?

— Bliźniaki! — zawołał szczęśliwy ojciec. — Nic dziwnego, że Jane była taka gruba i tak źle się czuła. Najpierw urodził się chłopiec. Wszyscy podziwialiśmy maleństwo, ale Jane nadal miała skurcze. Dziewczynka pojawiła się półtorej minuty później.

— No to macie czwórkę. Gratulacje. A jak się czuje Jane?

— Bardzo dobrze. Prosi, żeby cię pozdrowić i... co takiego? — przerwał. — Mam ci powtórzyć, że cuda zdarzają się co dzień.

Wybiegłam z gabinetu i popędziłam do sali konferencyjnej na czterdziestym drugim piętrze, gdzie umówiłam się na spotkanie z dwoma współnikami Callahan Ross, którzy mieli już sporo doświadczeń z CFTC. Miałam nadzieję, że wspólnie uda nam się opracować jakąś rozsądną strategię. Kiedy wyjaśniłam współnikom wszystkie szczegóły, uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli firma przyzna się do popełnienia wykroczenia. Przy odrobinie szczęścia powinno mi

się udać przekonać komisję, że za wszelkie nieprawidłowości winę ponosi oświście Bart Hexter. Może potrafię wtedy nakłonić Geissa, żeby wyznaczył niezbyt dotkliwą karę?

Kiedy skończyliśmy, Cheryl już wyszła na kurs postępowania proceduralnego w sprawach cywilnych, na który chodziła w poniedziałki i środy, ale na biurku zostawiła mi wiadomość od Carla Savage'a: „Mam pewne dokumenty, które mogą panią zainteresować, dotyczące Deodar Commodities. Proszę przyjść o wpół do piątej na siódme piętro Merca”.

Spojrzałam na zegarek. Była już za piętnaście piąta. Chwyciłam teczkę i pobiegłam do drzwi. Kiedy znalazłam się w recepcji, uświadomiłam sobie, że w szafce w gabinecie zostawiłam torebkę i musiałam poprosić Lilian, recepcjonistkę, żeby mi pożyczyła na taksówkę. Na zewnątrz siał drobny deszcz. Ulice lśniły, a parasolki wykwitły jak polne kwiaty, kiedy pierwsza fala spieszących do domu ludzi pojąwała się na chodnikach.

CBOT i Merc to dwie najpotężniejsze giełdy, na których handluje się kontraktami terminowymi. Chociaż obydwie starają się na zewnątrz sprawiać wrażenie jednolitego frontu, w rzeczywistości są tak różne jak budynki, w których się mieszczą. Gmach Chicago Board of Trade jest arcydziełem sztuki art deco, pomnikiem kapitalizmu i ostoją starych wyjadaczy giełdowych. Chicago Mercantile Exchange jest relatywnie nową giełdą i w jej podwójnych wieżach z różowego granitu transakcje przeprowadzają ludzie młodszy, bardziej krzykliwi, agresywni i ostentacyjnie obnoszący się z bogactwem.

W holu budynku z trudem torowałam sobie drogę do windy w tłumie ludzi wychodzących z gmachu po skończonym dniu pracy. Wreszcie, nieco zirytowana, nacisnęłam siódemkę. Kiedy wysiadłam na siódmym piętrze, przywitała mnie całkowita ciemność. Zaskoczona, mrugałam oczami, starając się przyzwyczaić do mroku tylko nieznacznie rozjaśnionego mdłą poświatą padającą z podświetlonego napisu nad szybem windy.

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, gdzie jestem. Merc został wybudowany z myślą o planowanym rozroście. Nad piętrem, gdzie mieściła się gwarna sala transakcyjna, znajdowało się jeszcze niezagospodarowane piętro, następna sala transakcyjna miała zostać uruchomiona dopiero pod koniec roku. Widocznie biura znajdują się w północnej części budynku, a ja wsiałam do niewłaściwej windy, tłumaczyłam sobie. Jeszcze tego mi brakowało, tak jakbym już nie dość była spóźniona.

Przyszła sala transakcyjna miała rozmiary jak dwa boiska piłki nożnej, a wysokość jak trzy normalne piętra. Dosyć niesamowite wrażenie sprawiała ta pustka w jednym z najruchliwszych miejsc na świecie.

Gdy dotknął mojej ręki, wzdrygnęłam się. Odwróciłam się szybko, spodziewając się zobaczyć Carla Savage'a. Widok postaci w masce mnie zamurował. W mroku dostrzegłam, że w ręce wzniesionej jak do uderzenia trzymał chyba kawałek rurki. W efekcie błyskawicznej analizy, będącej wynikiem gwałtownego przyływu adrenaliny, uznałam, że nie mam szans na ucieczkę. Instynktownie zrozumiałam, że w ciemności i na obcym dla mnie terenie napastnik ma przewagę.

Zamiast uciekać, rzuciłam się na posadzkę i przetoczyłam, chwytając napastnika za kostki.

Z jękiem runął na posadzkę. Zerwałam się i chwytając obiema dłońmi za rączkę dyplomatki, zamachnęłam się z całej siły. Twarda konstrukcja walizeczki z głuchym łomotem trafiła w cel. Usłyszałam zduszone przekleństwo i dźwięk czegoś ciężkiego upadającego na posadzkę. Miałam nadzieję, że to ta rurka. Zamachnęłam się ponownie, ale zdążył już wstać i przechwycił moją walizeczkę w locie. Przez ułamek sekundy staliśmy naprzeciw siebie, ciężko dysząc i ciągnąc w przeciwne strony aktówkę, jak dzieci, które usiłują sobie wyrwać zabawkę.

Raptownie pochyliłam się i z całej siły wyrznęłam go głową w podbródek. Usłyszałam stuknięcie zębów i jęk bólu. Na moment jego chwyt na mojej walizeczce zelżał. Wyrwałam mu ją i jeszcze raz zamachnęłam się, celując w głowę. Z satysfakcją poczułam, że trafiłam i rzuciłam się do ucieczki.

Gorączkowo naciskałam guziki windy, a potem desperacko zaczęłam szukać wyjścia ewakuacyjnego. Znalazłam drzwi, ale były zamknięte. Zrozpaczona waliłam w nie pięściami. Po chwili cofnęłam się w stronę windy i przywarłam do ściany naprzeciw drzwi do szybu. Sądziłam, że chcąc mnie dopaść, napastnik podejdzie do windy, a wtedy będę go mogła zaatakować od tyłu. Nasłuchiwałam odgłosu kroków, usiłując przytłumić swój własny, głośny i chrapliwy oddech.

Nerwy miałam w strzępach. Modliłam się, żeby w końcu przyjechała winda. Wyobrażałam sobie, jak jedzie tu, zatrzymując się na każdym piętrze. Przerazenie ścisnęło mi żołądek. Strach sprawiał, że każda sekunda trwała wieki. Kiedy w końcu usłyszałam dzwonek windy, gotowa byłam do skoku. Serce waliło mi jak oszalałe, kiedy dygocząc z napięcia usiłowałam dojrzeć cień mojego prześladowcy. Wiedziałam, że w świetle windy łatwo mnie będzie zauważyć. Gdy tylko jej drzwi rozsunęły się bezgłośnie, zalewając potokiem światła przestrzeń przed szybem, nabrałam powietrza w płuca i rzuciłam się do wnętrza. Prosto w objęcia zdumionego Elliotta Abelmana.

Rozdział 21

Drzwi zamknęły się, a ja przywarłam do Elliotta, dysząc spazmatycznie. — Co się stało, Kate? — zapytał, przytulając mnie. — Krwawisz. Próbowałam zapłamać nad sobą, ale trzęsłam się jak po kąpeli w lodowatej wodzie. Chciałam mu wyjaśnić, ale długo nie potrafiłam wydobyć z siebie ani słowa.

Wysiedliśmy na parterze. Tłumy interesantów w holu działały na mnie uspokajająco, ale serce nadal waliło. Uświadomiłam sobie nagle, że mam porwaną spódnicę, zniszczone pończochy i włosy w strąkach. Z obawą dotknęłam głowy i syknęłam z bólu. Na palcach poczułam krew, na szczęście nie moją. Miałam w tym momencie nadzieję, że mój prześladowca wykrwawi się na śmierć.

Elliott pociągnął mnie w stosunkowo spokojny róg między skrytkami Federal Express. Powoli, urywanym głosem, zrelacjonowałam, co mi się przydarzyło. Kiedy udało mi się go przekonać, że choć jestem nadal roztrzęsiona, nic mi się nie stało, odszedł, by powiadomić ochronę.

— Posłali kilku ludzi na siódme piętro — poinformował mnie, kiedy za moment wrócił — ale jestem pewien, że ten ktoś już zdążył stamtąd zniknąć.

— A ty co tu robisz? — zapytałam w końcu.

— Byłam w kancelarii, ale dopiero co wyszłaś. Recepcjonistka powiedziała, że na jakieś spotkanie. Martwiła się, ponieważ dała ci pieniądze na taksówkę tylko w jedną stronę, a tymczasem zaczęło lać. Poprosiłem, żeby sprawdziła w zostawionych dla ciebie wiadomościach, gdzie miałaś iść. Pomyślałem, że stanę się twoim Galahadem *. Nawet nie przypuszczałem, jak bardzo będziesz tego potrzebować.

* Galahad - jeden z dwunastu rycerzy Okrągłego Stołu, dzielny i cnotliwy (przyp. red.)

— Ktoś zastawił na mnie pułapkę — wyjąkałam, nadal nieco oszołomiona — i kiedy przyszedłam na miejsce spotkania, zaatakował.

— Mężczyzna czy kobieta?

— Nie wiem. Wydawało mi się, że mężczyzna, ale tak naprawdę trudno mi powiedzieć. W każdym razie ktokolwiek to był, trzymał w ręce jakąś rurkę. To wszystko wydarzyło się tak nagle.

— Czego chciał?

— Myślę, że chciał mnie zabić — odparłam, czując, jak dreszcz przebiegł mi po plecach. Miałam dużo szczęścia, że udało mi się wywinąć. Napastnik nie spodziewał się, że będę walczyć.

— Ale dlaczego ktoś chciałby cię zabić?

— Nie wiem. Och, Elliott. To było potworne. Tak się bałam — zaskalałam, przypominając sobie tamten paraliżujący strach.

— No, no — powiedział cicho Elliott. — Nie musisz wylewać łez na skrzynkę pocztową, skoro masz obok całkiem dobry rękaw.

Placz przyniósł mi ulgę, ale po kilku minutach poczułam, że wyglądam dosyć komicznie, rycząc Elliottowi w rękaw w holu Chicago Mercantile Exchange. Nie bez wysiłku udało mi się wziąć w garść. Elliott zaoferował mi chusteczkę, a ja już wiedziałam, co z nią zrobić. Niektóre kobiety, kiedy sobie popłaczą, wyglądają wrzuszająco, ja należę do tych, które wyglądają okropnie — czerwone oczy i plamista twarz.

— Masz świadomość, Kate, że to się mogło zakończyć zupełnie inaczej? — spytał z poważną miną Elliott.

— Wiem, dziękuję, że przyszedłeś mi z pomocą.

— Nie podejrzewasz, kto to mógł być?

— Ktoś, kto wiedział, że interesuję się dokumentami Deodar Commodities. Tylko że teraz wie już o tym połowa Chicago. To wszystko nie ma sensu. A właściwie, dlaczego, mnie szukałeś?

— Na pewno dobrze się czujesz?

— Tak. A czemu pytasz?

— Pamela Hexter usiłowała dziś po południu popełnić samobójstwo. Połknęła dużą dawkę pastylek nasennych. Znalaziono ją zupełnie przypadkowo. Krissy zatrzasnęła u siebie w domu klucze do mieszkania. U matki trzyma zapasowe. Na szczęście.

— W jakim stanie jest Pamela?

— Jak na razie krytycznym. Jest na oddziale intensywnej terapii. No, w każdym razie, Krissy zadzwoniła do Kena Kurlandera, który z kolei zadzwonił do Elkina. Bardzo im zależy, żeby się to nie dostało do prasy. Obawiają się, że jeśli oskarżyciel się dowie, może się domagać odwołania zgody na zwolnienie za kaucją.

— To pewne — przytaknęłam.

— Usiłowali znaleźć Bartona, ale bez rezultatu. Wszyscy w Hexter Commodities skończyli już pracę, a w jego domu nikt nie podnosi słuchawki. Elkin poprosił, żebym go spróbował odnaleźć. Pomyślałem, że ty możesz wiedzieć.

— Wiem — odparłam. — Jego żona urodziła dziś bliźniaki. Jestem pewna, że nadal jest u niej w szpitalu.

- A wiesz, w którym? — zapytał Elliott.
- Northwestern Memorial.
- Jaki ten świat mały — westchnął Elliott. — Właśnie tam zabrali Pamelę.

W jasno oświetlonej poczekalni oddziału położniczego poinformowaliśmy Bartona o tym, co się wydarzyło.

— Tylko nie mówcie Jane — poprosił. — Jest taka szczęśliwa. Tak bardzo pragnęła mieć córkę. Nie chcę, żeby problemy w mojej rodzinie zepsuły jej ten dzień.

— Nie piśniemy słowem — obiecałam.

— Czy wiadomo, dlaczego to zrobiła? — zapytał znużonym głosem Barton.

— Zostawiła list — odparł Elliott. — Pana siostra miała na tyle przytomności umysłu, żeby go schować przed sanitariuszami. Czytał go Elkin Caufield i, jak twierdzi, nie ma w nim nic, co można by uznać za przyznanie się do winy. Elkin i Kurlander starają się stwarzać wrażenie, że pani Hexter pomyłkowo wzięła za dużą dawkę pastylek. Wydaje mi się, że lekarz nie zamierza prostować tej teorii.

— Doktor Pollard jest starym przyjacielem rodziny — wyjaśnił Barton.

— Byłoby wskazane, żeby jak najszybciej skontaktował się pan z Elkinem. Bardzo chciałby z panem porozmawiać — zasugerował Elliott.

— Może w takim razie idźcie obaj zadzwonić, a ja poszukam damskiej toalety. Trochę się doprowadzę do porządku i pójdę odwiedzić Jane. Nie martw się, Bart, nie wspomnę o Pameli.

Jane siedziała podparta poduszkami na łóżku i adresowała zawiadomienia o narodzinach dzieci.

— Kiedy miał się urodzić James byłem ogromnie przesądna. Nie robiliśmy wcześniej niczego. Pamiętam, że nawet nie pozwoliłam Bartonowi kupić łóżeczka. Wszystko przygotowywał, kiedy już byłam w szpitalu. Za trzecim razem trochę zmadrzałam. Gdybym nie kupiła wcześniej tych kopert, to chyba skończyłabym wysyłać zawiadomienia, gdy dzieci by szły do przedszkola.

— A więc trzecie i czwarte — powiedziałam.

— Nadal w to nie mogę uwierzyć — westchnęła Jane. — Czy wiesz, jaka to w obecnych czasach niecodzienna rzecz urodzić bliźnięta? Powinnaś widzieć miny wszystkich na sali porodowej. Istny cyrk. Myślę, że Barton nie miał pojęcia, co się dzieje, dopóki nie dostał do rąk drugiego dziecka. Do końca życia nie zapomnę wyrazu jego twarzy.

Przeszliśmy z Elliottem spacerem kilka przecznic od szpitala i weszliśmy do japońskiej restauracji o nazwie Hatsuhana. Usiedliśmy wśród jasnego drewna i papierowych przepierzeń przy barze *sushi*. Popijając piwo *Tsing Tao* i pogryzając

bułkę kalifornijską, zastanawialiśmy się, kto mógł nastawać na moje życie. Po trzech piwach i mnóstwie *sushi* nadal nie mieliśmy żadnej odpowiedzi.

— Problem w tym — powiedział Elliott — że kiedy ktoś uzna, że trzeba ci roztrzaskać czaszkę, zazwyczaj nie rezygnuje z pomysłu.

— Co więc proponujesz? Nie mogę przecież spędzić reszty życia, chowając się pod biurkiem.

— Uważam, że nie powinnaś wracać do domu. Twoja współlokatorka też chyba nie powinna spać dzisiaj w domu.

— Zadzwońię do niej. Może się przespać w dyżurce w szpitalu.

— A ty masz gdzie spać?

Przeprosiłam Elliotta na chwilę i skierowałam się do wiszącego przy wejściu telefonu. Asystent Stephena, Richard Humanski, przypomniał mi, że Stephen wraca z Nowego Jorku dopiero jutro. Wróciłam do stolika.

— I jak? — zapytał Elliott.

— Myślę, że chyba trochę przesadzasz.

— Kate, nadal masz we włosach zaschniętą krew — przypomniał mi Elliott.

— Prześpię się więc w hotelu — westchnęłam z rezygnacją.

— Nie. Prześpij się u mnie.

Spojrzałam na niego.

— Zapraszam cię, jestem przecież twoim rycerzem — powiedział.

Elliott mieszkał w sąsiedztwie De Paul University na piętrze ładnie odrestaurowanego domu z czerwonej cegły. Mieszkanie składało się z dużego salonu, dwóch sypialni, mieszczących się w mansardach, i jednego pokoju w wieżyczce, który służył Elliottowi za gabinet. Kuchnia była niewielka, pomalowana na jasnożółty kolor i sprawiała takie wrażenie, jakby ktoś w niej rzeczywiście gotował. Czułam się tu trochę niezręcznie, a Elliott, zwykle tak swobodny, również sprawiał wrażenie spiętego.

Dobrze, że było już późno i obydwójce byliśmy zmęczeni. Gdy ja podziwiałam mieszkanie, Elliott wyciągał świeży ręcznik, nową szczoteczkę do zębów, nową kostkę mydła i czysty podkoszulek, żebym miała w czym spać.

Mój pokój był ładnie urządzone. Łóżko przykryto narzutą, a w oknach wisiały zasłony. Miał nawet własną łazienkę z zachęcającym do wzięcia kąpeli prysznicem. Ujawniła mi się nowa cecha osobowości Elliotta — dbałość o dom.

— O której musisz być w pracy? — zapytał, trzymając rękę na gałce drzwi gościnnej sypialni.

— Chciałabym zacząć wcześniej. Nadal wisi nade mną konieczność przygotowania do piątku odpowiedzi na zarzuty CFTC. Ale nie martw się, po prostu złapię taksówkę.

— Nie ma mowy. Dopóki się nie dowiem, o co tu chodzi, będę cię odprowadzał pod same drzwi kancelarii. Myślę, że możemy zaplanować wyjście o siódmej trzydzieści. Nie za wcześniej?

- Bardzo dobra pora — odparłam.
- No to dobranoc — powiedział Elliott.
- Dobranoc.

Kiedy zamknął za sobą drzwi, odetchnęłam z ulgą. Nawet w najbardziej niewinnych sytuacjach zawsze istnieje element napięcia między kobietą i mężczyzną. Zauważyłam to, podróżując nieraz w sprawach służbowych z męskimi przedstawicielami firmy. Byli to sympatyczni ludzie, których lubiłam; mężczyźni, z których żonami się przyjaźniłam i którzy nigdy w świecie nie przekroczyli by granic przyzwoitości. Jednak późnym wieczorem, kiedy wkładałam klucz do zamka pokoju hotelowego, zawsze przychodził taki moment, kiedy inne możliwości wydawały się bardzo bliskie.

Ciesząc się, że mam już ten moment za sobą, zrzuciłam buty i siadłam na łóżku. Miałam wrażenie, że od rana, kiedy wstałam pełna zapału do pracy, upłynął już jakiś niesamowicie długi czas. Zegar wskazywał 22:46. Przyszło mi na myśl, że jest coś bardzo śmierdzącego w tej sprawie Hextera, lecz za każdym razem, kiedy udawało mi się złożyć jakąś część łamigłówki, jakaś inna część przestawała pasować.

Zdjęłam ubranie i pieczołowicie złożyłam je na krześle. W lustrze nad kómką mogłam podziwiać szybko ciemniejące sińce na ręce i piersiach. Przeszłam do łazienki. Wzięłam długi prysznic, delektując się gorącą wodą i tym, że nadal żyję.

Umyłam włosy. Spływająca z nich woda była najpierw czerwona, potem różowa, aż wreszcie przezroczysta. Zakręciłam kurki i wytarłam się, a następnie włożyłam granatowy podkoszulek z białym napisem: „Chicagopolice”.

Usiadłam na łóżku, czując, że jestem wykończona. Spojrzałam na dyplomatkę. Trochę zbyt późno uświadomiłam sobie, że powinnam dostarczyć ją policji do zbadania odcisków palców. Otworzyłam walizeczkę, chcąc jeszcze rzucić okiem na kalendarz, żeby sprawdzić mój jutrzejszy rozkład dnia i zauważyłam zapomnianą kopertę, którą kurier przywiózł do biura Hextera.

Jak mogłam zapomnieć oddać ją Bartonowi! Z drugiej strony, tyle się na niego ostatnio zważyło. Uznałam, że lepiej będzie, jeśli sama sprawdzę, czy jest tam coś rzeczywiście pilnego. Otworzyłam dużą kopertę, w środku znajdowały się trzy mniejsze. Rozłożyłam je na łóżku. Na wszystkich trzech w lewym górnym rogu widniał firmowy napis: „Bank of Bermuda”. Wszystkie były zaadresowane do kogoś o nazwisku S. Bean. Otworzyłam te trzy koperty i wyłożyłam ich zawartość na łóżku.

— Elliott! — zawołałam, czując jak narasta we mnie podniecenie. — Elliott, choć tu szybko!

Pojawił się w okamgnieniu, ubrany tylko w spodenki gimnastyczne, z rewolwerem w dłoni i śladami pasty do zębów na ustach.

— Co się stało?! — zawołał.

— Wiem już, o co chodziło temu napastnikowi — powiedziałam. — On nie chciał mnie zabić, chciał tylko tego.

Rozdział 22

Zbudziłam się z takim uczuciem, jakbym całą noc grała w futbol. Szczególnie bolały mnie ramiona od wczorajszego przeciągania walizeczki. Z trudem zwlekłam się z łóżka i wciągnęłam te same ciuchy co poprzedniego dnia. Na kołnierzyku bluzki zauważyłam kilka szkarłatnych plamek.

Zastałam Elliotta w kuchni przy śniadaniu — jajecznicą, grzanki i grapefruit. Czytał sportową stronę gazety.

— Na kuchence są jajka — powiedział, wstając od stołu — zaraz zrobię grzanki.

— Nie, dziękuję — powiedziałam, wzdrygając się, — Żeby móc coś rano zjeść, najpierw muszę trochę popracować. Czy w dzbanku jest kawa?

— Tak. Filiżanki są w szafce nad ekspresem. Śmietanka i cukier stoją na stole.

— Dziękuję, pijam czarną.

— Jesteś pewna, że nie zjesz przynajmniej banana albo czegoś innego? — dopytywał się Elliott. — Mam jeszcze płatki kukurydziane.

— Zawsze jadasz takie solidne śniadanie? — zapytałam, nalewając sobie kawę do filiżanki.

— Oczywiście jajek codziennie nie jadam, ale lubię się i zjeść porządne śniadanie.

— Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem, bo ja to nawet nie wiem, czy kuchenka w naszym mieszkaniu działa.

— Będziesz się śmiać, ale rzeczą, której najbardziej nie cierpiałem w wojsku, było jedzenie gotowych porcji, podawanych na metalowych tackach. Od tamtej pory zawsze sam gotuję i jadam z talerzy. To, że się mieszka samemu, nie musi oznaczać, że się źle jada.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałam.

— Nie wydaje mi się, żebym świadomie lekceważyła kwestię odżywiania

— powiedziała w zadumie, nalewając sobie jeszcze jedną filiżankę kawy. — Po prostu gotowanie, sprzątanie i robienie zakupów zabiera mnóstwo czasu, którego potrzebuję na pracę.

— Dziwi mnie, że nie odczuwasz takiej potrzeby, szczególnie jeśli się weźmie pod uwagę środowisko, w którym się wychowałaś.

— Może to przekora — podsunęłam. — Wyrosłam w domu, gdzie komfortowe i wygodne życie było rodzajem pracy na pełnym etacie. Powinieneś kiedyś zobaczyć, jak wygląda dom moich rodziców. Istne cacko. Wrzucisz coś do kosza na śmieci, zaraz zjawia się ktoś, żeby go wypróżnić. Nigdy nie widziałam, żeby na stole poniewierała się jakaś butelka po ketchupie, papierowa serwetka lub karton po mleku. Jako dziecko bawiłam się w taką grę. Rano, po umyciu, poświęcałam dziesięć minut na to, by ręcznik złożyć perfekcyjnie. Po powrocie ze szkoły sprawdzałam i bez względu na to jak idealnie udało mi się złożyć ręcznik, okazywało się, że służąca składała go jeszcze raz, bardziej perfekcyjnie. To, że teraz nie muszę się o to martwić jest dla mnie szczególnie rodzajem wolności.

— Ale jest to również wolność od dobrego jedzenia — wtrącił Elliott. — Jesteś pewna, że nie skosztujesz tego grapefruita? Są bardzo dobre. Moja mama przysłała mi je z Florydy.

— Nie, dziękuję — odparłam, uśmiechając się na tę jego wybredność. — Czy piszą coś o Pameli?

— Czytałem tylko dział sportowy. — Podał mi gazetę i zabrał się do sprzątnia ze stołu. — Rozmawiałem już z Elkinem. Powiedział, że Pamelę przeniesiono z oddziału intensywnej terapii. Nie uważa, żeby jej usiłowanie samobójcze można było uznać za przyznanie się do winy. Podobnie jak ty, jest zdania, że obecna sytuacja zachwiała jej równowagę psychiczną. Jeśli nie ona zabiła męża, to ma świadomość, że zrobiło to któreś z jej dzieci. Pewnie uznała, że najlepiej będzie sięgnąć po pastylki, wybierając najmniej bolesne rozwiązanie.

— Nic o tym nie piszą w *Tribune*.

— To już coś.

— Czy Caufield chce, żebyś zawęził śledztwo do dzieci?

— Nie. Pamela z pewnością nie życzy sobie, żeby za jej pieniądze szukano dowodów przeciw jej dzieciom. Elkin chce jakichś faktów, które pozwoliłyby podważyć wartość zeznań pokojówki. Spróbuję też dowiedzieć się, kto się wczoraj na ciebie zasadził. Jakie masz plany na dziś?

— Jadę na Bermudy.

Elliott asystował mi przez cały ranek. Najpierw podwiózł mnie do mojego mieszkania, żebym mogła się przebrać i zabrać kilka rzeczy. Mając w pamięci naszą poranną dyskusję, czułam się trochę speszona wyglądem naszego gospodarstwa domowego. Ku mojemu zaskoczeniu Claudia wróciła już do domu i z sympatycznie wyglądającym jasnowłosym człowiekiem przy stole w kuchni jedli

bagietki. Trochę nieśmiało przedstawiła Jeffa McConnella. Wyjaśniła, że właśnie skończyli dyżur i wpadli na śniadanie.

Gdy poszłam do sypialni, żeby się przebrać, Elliott usiadł w salonie i sięgnął po telefon. Z głębi garderoby wydostałam kremową sukienkę, znalazłam jakieś jasne czółenka, zabrałam jeszcze kilka innych rzeczy i z szuflady na bieliznę wyciągnęłam paszport.

Potem zatrzymaliśmy się w kancelarii, musiałam porozmawiać z Kurlandem, istniała szansa, że coś wiedział o tych zagranicznych kontaktach bankowych. Poza tym potrzebna mi była kopia aktu zgonu Hextera. Ze swojego gabinetu zabrałam dokumenty, dotyczące sprawy z CFTC. Upewniłam się, że mam baterie do mojego małego dyktafonu i do walkmana, którego zawsze słucham podczas podróży. Gdy zamykałam walizkę, odezwał się interkom. Cheryl właśnie załatwiła bilet na samolot i rezerwację hotelu. Przypomniała mi też o koncercie muzyki kameralnej, na który miałam iść ze Stephenem. Poprosiłam, żeby odwołała to wyjście. Elliott przyglądał mi się spod przymrużonych powiek.

W samolocie na Bermudy czułam się całkowicie wyalienowana. Byłam jedyłą osobą lecącą tam służbowo, wszyscy inni zaczęli wakacje. Skuliłam się na siedzeniu, wrzuciłam do walkmana kasetę i usiłowałam zapomnieć o tej niesprawiedliwości losu.

Kiedy wysiadłam z samolotu, oblepiło mnie ciepłe, wilgotne powietrze. Nagle wszystko wydało mi się jakieś nierealne, ja sama zaś, z moją walizką, schludnym ubiorem i rajstopami klejącymi się do nóg, kimś zupełnie nieprzystającym do otoczenia. Stałam w kolejce do odprawy, okazałam paszport i zostałam oficjalnie powitana na Bermudach. Mając tylko podręczny bagaż, nie musiałam tkwić przy pasie transportowym, wyszłam z hali przylotowej na słońce i skinęłam na taksówkę.

Bermudy są byłą kolonią brytyjską i nadal czuje się tu tę brytyjskość — począwszy od cockneya*, którym mówią taksówkarze, a skończywszy na lewostronnym ruchu i autach pełzających z maksymalną dopuszczalną prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę. Drogi są w większości wąskie i kręte, obrzeżone żywopłotami z hibiskusa i oleandrów.

* Cockney (ang.) - wymowa charakterystyczna dla niewykształconych warstw Londynu (przyp. red.)

Cheryl zarezerwowała mi miejsce Hamilton Princess, jednym z dużych luksusowych hoteli przy nabrzeżu portowym. Kierowca zawiózł mnie tam, jadąc dumnie Front Street i wskazując po drodze miejsca, gdzie można tanio kupić swetry szetlandzkie i irlandzką bieliznę. Tłumy pieszych, rowery, mopedy i konne wozy tamowały ruch. Przy molo cumowały dwa statki wycieczkowe, wielkie i białe.

Zapłaciłam za taksówkę i przekazałam mój skromny bagaż portierowi

ubranemu, jakżeby inaczej, w nieskazitelnie białe bermudy. Chicago z jego problemami wydawało mi się teraz takie odległe.

Formalności meldunkowych dopełniono szybko. Wręczyłam chłopcu hotelowemu napiwek, przyjął go z dużym entuzjazmem, i zostałam sama w słonecznym, przestronnym apartamencie z widokiem na morze. Zrzuciłam buty, ściągnęłam lepiące się rajstopy i poczęstowałam się dietetyczną coca-colą z minibarku. Usiadłam na łóżku, żeby zadzwonić do kancelarii. Cheryl podniosła słuchawkę po pierwszym sygnale.

- Sekretariat mecenas Millholland — oznajmiła radośnie.
- To ja, Kate. Sądząc z głosu, humor masz szampański.
- Jasne. Nie ma szefowej, więc jest się z czego cieszyć.
- Miło wiedzieć, że tak bardzo za mną tęsknisz. Ktoś dzwonił?
- Stephen z Nowego Jorku, twoja mama, Barton Hexter, Steve Potash z Overdrive i Roger Prendergast w sprawie Mascot Manufacturing. Chyba w końcu znaleźli kupca, który chce z tobą porozmawiać.
- Czego chciał Barton?
- Prosił, żebyś się z nim skontaktowała. Aha, dzwonił też godzinę temu Elliott Abelman. Masz na siebie uważać, nalegał, żeby ci to powtórzyć. O co mu chodziło? Czego się tam możesz obawiać?
- Po prostu nie chce, żebym się za bardzo spaliła na słońcu — skłamałam.

Wszystko w Bank of Bermuda kojarzyło się z cichym imperialnym dostojnictwem. Hol był obszerny i chłodny, wyłożony szlifowanym marmurem. Wentylatory pod sufitem cicho szumiały, a klientów obsługiwali ulizani kasjerzy o dziwnym akcencie. Przeszedłszy przez ręce kilku sekretarek dotarłam do gabinetu niejakiego Edmonda Martindale, płowowłosego Brytyjczyka, który od samego początku mi się nie spodobał. Na wstępie oświadczył, że jest w pełni do mojej dyspozycji.

Podziękowałam mu, że znalazł czas, żeby się ze mną spotkać, mimo iż nie byłam w stanie wcześniej się z nim umówić. Wyjaśniłam, że jestem prawnikiem z Chicago i przyjechałam z pewną delikatną misją.

- Jeden z moich klientów, pan Hexter, zmarł niespodziewanie dziesięć dni temu.
- Wypadek samochodowy? — zapytał Martindale tonem uprzejmego z troskania.
- Nie. Został zastrzelony.
- O Boże!
- Pan Hexter był bardzo zamożnym człowiekiem, lecz pozostawił swoje sprawy finansowe w pewnym nieporządku. Dopiero wczoraj zwróciłam uwagę, że posiadał kilka kont również w państwa banku. Nie założył ich pod własnym nazwiskiem.
- Sprawa może być troszkę skomplikowana — stwierdził bankier.
- Mam ze sobą ostatnie wyciągi i świadectwo zgonu mojego klienta. Jestem

przekonana, że to wystarczy do wszczęcia procedury mającej na celu zamknięcie jego rachunków. Mam również nadzieję, że wasz bank będzie mi mógł dostarczyć wykaz operacji przeprowadzonych na tych rachunkach, wydają się one mieć związek z transakcjami, w sprawie których prowadzone jest dochodzenie przeciw firmie pana Hextera przez jedną z amerykańskich agend rządowych.

W odpowiedzi pan Martindale wydał dźwięk, który można by uznać za cmoknięcie.

— Proszę, niech mi pani da te wyciągi, sprawdzę je w kartotece. To nie powinno mi zająć dłużej niż kilka minut. Tymczasem proponuję pani wypicie herbaty.

Martindale wyszedł, a jego sekretarka, mniej więcej pięćdziesięcioletnia, w dwusoczewkowych okularach, wniosła tacę z zastawą do herbaty, przyozdobioną znakiem firmowym banku. Kiedy piłam drugą filiżankę, wrócił Martindale. Z wyrazu jego twarzy zaraz poznałam, że nie otrzymam od niego tego, po co tu przyszedłam.

— Zapewne pani wie, iż prawo bankowe na Bermudach jest bardzo surowe. Jednym z jego podstawowych kanonów jest nienaruszalność tajemnicy rachunku bankowego, co sprawia, że nasze banki cieszą się zaufaniem nawet zagranicznych klientów.

— Ale chyba w przepisach surowego prawa bankowego na Bermudach znajdują się klauzule na wypadek śmierci klienta?

— Owszem. Kiedy Bart Hexter otwierał u nas rachunki, na pełnomocnika wyznaczył pana Williama Hextera, swojego brata. Teraz, kiedy dowiedzieliśmy się o śmierci pani klienta, wysłaliśmy panu Williamowi Hexterowi stosowną notyfikację.

— Billy Hexter zginął w wypadku samochodowym sześć miesięcy temu.

— W takim razie nie jestem w stanie nic dla pani zrobić — powiedział stanowczo Martindale.

— Jeśli przefaksuję wam świadectwo zgonu jego brata, to można będzie ruszyć sprawę? Wasz klient nie żyje, jego pełnomocnik również...

— No tak, ale to są rachunki wspólne — wtrącił Martindale. — Każdy z nich ma kontrsygnatariusza, a o ile nam wiadomo, kontrsygnatariusz żyje i ma się dobrze.

— Skąd pan wie? — zapytałam, ogarnięta nagle jakimś złym przeczuciem.

— Ponieważ właśnie dziś rano z jednego z rachunków wypłacono pokązną sumę pieniędzy.

Rozdział 23

Staralam się, jak mogłam przekonać Edmonda Martindale’a, żeby mi wyjawiał tożsamość kontrsygnatariusza rachunków Hextera. O mało na kolana przed nim nie padłam. I byłabym to zrobiła, gdyby istniał choć cień szansy, że odniosłoby to pożądaną skuteczną. Jednak każda próba rozbijała się o mur prawa do nienaruszalności tajemnicy rachunku bankowego. Jakich bym argumentów użyła, zawsze spotykałam się z tą samą odpowiedzią: „Bart Hexter założył te rachunki, żeby chronić tożsamość własną oraz kontrsygnatariusza”.

Opuściłam bank zniechęcona i w podłym nastroju. Informacje, które chciałam zdobyć na Bermudach, w dalszym ciągu były poza moim zasięgiem, a te, które otrzymałam, bardzo mnie zaniepokoiły. Ruszyłam bez celu w stronę narbrzeża, bezskutecznie usiłując uporządkować myśli.

Mimo że było już późno, słońce nadal stało wysoko na niebie, więc wstąpiłam do małego, krzykliwie udekorowanego sklepiku z artykułami dla turystów. Kupiłam duży podkoszulek, ręcznik i kostium kąpielowy. Wybrałam najskromniejszy, a mimo to byłam pewna, że mogłabym go złożyć i wysłać listem do Cheryl. Kiedy zrobiłam zakupy, wezwałam taksówkę i kazałam się zawieźć na plażę Horseshoe.

Taksówkarz zgodził się przyjechać po mnie za półtorej godziny. Plaża roiała się od opalonych ludzi, którzy przygotowywali się do powrotu do swoich hoteli. Przebrałam się w kostium, ubranie i dyplomatkę złożyłam w wynajętej skrytce i ruszyłam w stronę oceanu.

Było cudownie: biały piasek, tak drobny jak pył, bezchmurne niebo i woda o niewiarygodnie intensywnym kolorze akwamarynu. Rozłożyłam ręcznik i, nieco skrzępowana swoją białą skórą i mikroskopijnym kostiumikiem, wbiegłam do wody, rozpryskując fale. Wypląnęłam daleko — drobiną upojona bezkresem oceanu. Zanurkowałam, poczułam, jak włosy rozsypują mi się na plecach i oplatają

mnie niczym jedwabiste wodorosty. Przewróciłam się na plecy, mrużąc oczy od światła słonecznego. Przyleciałam na Bermudy, żeby otrzymać odpowiedzi, ale znalazłam się w ślepych zaułku. Po śmierci Hexter stał się dla mnie bardziej uciążliwy niż za życia. Do diabła z nim, pomyślałam. Przez dłuższy czas dawałam się unosić łagodnie falującej wodzie.

Kiedy wróciłam do hotelu, dowiedziałam się, że jest dla mnie wiadomość. Edmond Martindale prosił, żebym do niego zadzwoniła. Zrobiłam to natychmiast.

— Sporo się zastanawiałem nad pani problemem — powiedział z akcentem, który słyszy się na polach krykietowych Eton. — Omawiany był również w gromadzie najwyższego kierownictwa banku. Dziś wieczorem wydajemy z żoną proszoną kolację, ale później chciałbym jeszcze raz przedyskutować pani sprawę. Mam nadzieję, że będzie pani mogła wpaść do nas wieczorem.

— Ależ oczywiście — odparłam. — Gdzie pan mieszka?

Podał mi adres.

— Powiedzmy o wpół do jedenastej, jeśli to nie jest dla pani zbyt późno. Wolałbym, żeby moi goście zdążyli wyjść przed pani przybyciem. A właściwie, to umówmy się, iż nasze spotkanie w ogóle nie miało miejsca...

Martindale mieszkał w głębi łądu, jeśli w ogóle można użyć takiego określenia do wyspy, która w najszerszym miejscu nie ma nawet trzech mil, w hrabstwie Somerset. Miał duży, różowo otynkowany, typowo kolonialny dom. Dach był biały i spadzisty, jak we wszystkich domach na wyspie, ułatwiało to odprowadzanie wody deszczowej do zbiornika. Do domu wiodła dróżka obrosnięta pnączem bougainvillei. W niedalekim sąsiedztwie znajdował się cmentarz spowity księżycowym światłem. Stojące w równych rzędach pobielane betonowe nagrobki przydawały otoczeniu aury niesamowitości. Nocną ciszę zakłócało jedynie kumkanie żab.

Bankier czekał na mnie na ganek, przepaszając, że tak późną porę wybrał na spotkanie. Miał na sobie lniane spodnie i koszulę z krótkimi rękawami. Wprowadził mnie do środka i przedstawił swojej żonie Polly. Przyjęłam propozycję wypicia whisky z wodą sodową, którą, brytyjskim zwyczajem, Martindale zmieszał z wodą z syfonu, nie dodając lodu. Wyszliśmy na taras od strony długiego, wąskiego ogrodu i usiedliśmy na krzesłach z kutego żelaza.

— Mimo że w prasie takie wyspiarskie banki jak nasz przedstawiane są zazwyczaj jako miejsca, gdzie pierze się brudne pieniądze pochodzące z handlu narkotykami i Bóg wie czego, w rzeczywistości raczej unikamy takich sytuacji — zaczął konfidencjonalnie Martindale. — Ale nie możemy odpowiadać za działania naszych klientów, żaden bank nie może. Wspomniała pani dziś po południu, że firma pana Hextera jest obiektem dochodzenia rządowego. Czy rachunki w naszym banku mogą z tym mieć jakiś związek?

— Tak, ale nie bezpośredni. Mam powody, by wierzyć, że pan Hexter utrzymywał te rachunki z powodów czysto osobistych. Jego dzieci, które odziedziczyły firmę, usiłują uporządkować sprawy finansowe. Jednak bez znajomości tożsamości kontrsygnatariusza nie są w stanie nic zrobić. Oczywiście, jeśli były to wspólne rachunki, należy zakładać, że Bart Hexter zamierzał dzielić złożone na nich pieniądze z kontrsygnatariuszem. Jednak trudno mi uwierzyć, że aprobowałby likwidację przez niego tych rachunków bez powiadamiania spadkobierców.

— Nie do banku należy odgadywanie intencji naszych klientów — zauważył mój gospodarz.

— Ale to dużo pieniędzy.

— Owszem, to rzeczywiście sporo pieniędzy — z etońskim zaśpiewem przyznał bankier.

— Telefonicznie wyraził pan gotowość przyjęcia mi z pomocą — przypomniałam. — Nieoficjalną.

— Tak. Absolutnie nieoficjalną. Gdyby pani kiedykolwiek wspomniała komuś o tej rozmowie, zdecydowanie się wyprę. Jeśli będzie trzeba, pod przysięgą i z zupełnie czystym sumieniem.

— Rozumiem.

— Obawiam się jednak, że nie będę w stanie dać pani tego, czego pani najbardziej po mnie oczekuje.

— Czyli drugiego nazwiska na rachunku — powiedziałam z rozczarowaniem.

— Ujawnienie tego nazwiska stanowiłoby podstawę do oskarżenia banku o naruszenie zasady tajności rachunku bankowego i mogłoby się nawet stać podstawą do wytoczenia bankowi procesu, co, oczywiście, wiązałoby się z utratą wielu klientów.

Nie zamierzałam tracić czasu na tłumaczenie mu, że uważam to za wielce nieprawdopodobne. Wszyscy bankierzy są tacy sami. Działają jak prostytutki, ale dbają o reputację jak dziewice. Nic ich nie zmieni.

— Co więc może mi pan wyjawić? — zapytałam.

— Postanowiłem przekazać pani informacje dotyczące samych rachunków, w nadziei, że to pomoże pani odkryć tożsamość kontrsygnatariusza. Mam kopie wyciągów, które pani przekażę, oczywiście, nie może się pani powoływać, że ma je ode mnie.

Wszedł do domu i po chwili wrócił z plikiem dokumentów.

— Te trzy rachunki zostały założone czwartego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Akurat wtedy zacząłem pracować w tym banku i to ja załatwiałem ich otwarcie. Muszę przyznać, że nawet jak na standardy obowiązujące na Bermudach, warunki dotyczące tajności kont, jakich zażyczyli sobie klienci, były bardzo ekstremalne.

— Który z tych dwóch ludzi załatwiał sprawę?

— Pan Hexter.

— Czy kontrsygnatariusz jest mężczyzną?

— To słuszne założenie — odparł Martindale. — Ale nic więcej pani o nim nie powiem. Rachunki miały otrzymać specjalne numery, a wszelka korespondencja z bankiem miała się odbywać poprzez międzynarodową firmę kurierską. Lokaty miały wpływać albo czekiem przez kuriera, albo transferem telegraficznym. Transakcje można było przeprowadzać telefonicznie, jeśli dzwoniący podał nazwisko Silver albo Bean oraz dziewięciocyfrowy kod.

— Dziewięciocyfrowy? Żadnych liter?

— Żadnych liter. Oczywiście gotówkę każdy z właścicieli mógł podejmować tylko osobiście.

— Czy bank ma inną możliwość identyfikacji poza numerem kodowym? — zapytałam.

— Mamy w kartotece fotografie.

— Czy mogłabym je obejrzeć?

— Obawiam się, że nie — odparł Martindale. — Choć wydaje mi się, że gdyby podała pani numer kodowy, bank spojrzałby przychylniej na taką prośbę.

— Powiedział pan, że z rachunku w poniedziałek zostały wytransferowane pieniądze. Czy może mi pan powiedzieć, gdzie te pieniądze zostały przekazane?

— Na inny rachunek w naszym banku, ale będący własnością już tylko pana Silvera.

— Kiedy ten rachunek został otwarty?

— Sześć miesięcy temu.

— Czy dokonywano jeszcze jakichś innych transferów ze wspólnego rachunku na konto pana Silvera?

— Tak. Trzech w ostatnich trzech miesiącach. Wszystkie powyżej miliona dolarów. Otrzymaliśmy również zlecenie przygotowania następnego transferu w kwocie pięciuset tysięcy dolarów na najbliższy piątek.

— Kiedy bank otrzymał to zlecenie?

— W zeszły piątek. Na przygotowanie wypłaty tak dużej ilości zagranicznej waluty potrzebujemy pięć dni.

— Czy jest coś, o czym jeszcze mógłby mi pan powiedzieć? — zapytałam.

— Od dnia, kiedy otworzono u nas pierwsze rachunki, pan Bean nigdy się tu osobiście nie pojawił. Z tego, co wiem, wszystkie wypłaty gotówkowe podejmował pan Silver.

Długo nie kładłam się spać tej nocy, sprawdzając dokładnie wszystkie wyciągi bankowe, otrzymane od Martindale'a i szukając jakiegoś schematu wpłat i wypłat. Rachunki zostały otworzone równocześnie, każdy początkową, skromną wpłatą dziewięć tysięcy dolarów amerykańskich. Potem następowały wpłaty w różnej wysokości, ale zawsze duże, dokonywane bez jakiegś szczególnej regularności.

Wiedziałam, że są przepisy dotyczące wysokości kwot wwożonych do kraju.

Prawo celne wymagało pisemnego zgłoszenia gotówki i papierów wartościowych, przekraczających kwotę dziesięciu tysięcy dolarów. Ale pięćset studolárovych banknotów łatwo można schować, a z doświadczenia wiem, że amerykańscy celnicy szukają raczej narkotyków, a nie ukrytych pieniędzy.

Z dokumentacji wynikało, że od chwili założenia rachunków wpłaty napływały w postaci transferów telegraficznych z Hexter Commodities lub depozytów czekowych, a wypłaty odbywały się w formie gotówki. W ostatnich sześciu miesiącach ten schemat radykalnie się zmienił. Mówił o tym Martindale i potwierdzały to wyciągi.

Pieniądze na rachunkach w banku na Bermudach z pewnością mogły stanowić motyw zabójstwa. Najbardziej podejrzany wydawał mi się Carl Savage. Konta na Bermudach zostały założone w czasie, gdy pracował z Hexterem na tyle długo, że mógł już zdobyć jego zaufanie, a poza tym wydawał się najbardziej odpowiednim współnikiem do manipulacji giełdowych. No i nie można zapominać, że Hexter skradł Savage'owi Torey Lloyd.

Zauważyłam jednak pewne luki w mojej teorii. Po pierwsze, jeśli to Savage chciał przenieść pieniądze z tych rachunków na swoje konto, to po co mu ta cała awantura z Bartonem o wyższe wynagrodzenie? Czy ludzka chciwość rzeczywiście nie zna granic? Po drugie, nie użyłby własnego nazwiska po to, by mnie zwabić do Merca. Inną sprawą było, jak Savage mógł wejść w posiadanie broni Hextera?

Rozdział 24

Mój samolot wylądował na lotnisku O'Hare kilka minut po czwartej. Szybko udałam się na postój taksówek. W drodze do kancelarii po raz tysięczny roztrząsałam wszystko, co się wydarzyło. Pani Titlebaum twierdzi, że ostatni dzień w Hexter Commodities Bart spędził w parszywym nastroju i że awanturował się z każdym, kto miał pecha wejść mu w drogę. Tego popołudnia zadzwonił do Kena Kurlandera, żeby się z nim pilnie umówić; prawdopodobnie, by dokonać jakichś zmian w testamencie. Jediną osobą, z którą Hexter nie kłócił się w piątek była Torey Lloyd, co więcej, podarował jej pierścionek zaręczynowy. Ale kiedy zjawił się w Lake Forest, powrócił mu poprzedni humor, a rodzinna kolacja zmieniła się w ostrą wymianę zdań. Wszyscy twierdzą, że podczas imprezy golfowej w sobotę zachowywał się poprawnie, ale wieczorem przyłapał Krissy w niedwuznacznej sytuacji. Ostro ją zbeształ i wyszedł z przyjęcia wściekły, nie czekając na żonę. W niedzielę rano kucharka podsłuchiwała kłótnię Hexterów. Niedługo potem Bart Hexter już nie żył.

Jakich zmian Bart chciał dokonać w testamencie? Czyżby Margot zadzwoniła do ojca, żeby mu obwieścić, że jest w ciąży? A może do listy spadkobierców chciał dopisać nazwisko Torey? Niestety, Ken Kurlander ma rację — nigdy już nie poznamy zamiarów Hextera, zabrał je ze sobą. Nie mogłam jednak przestać o tym myśleć.

Jeszcze bardziej zagadkowa wydawała się sprawa wypłat z banku na Bermudach. Martindale zdradził mi, że ostatnie transfery zostały przekazane na nowe konto, założone wyłącznie na nazwisko tajemniczego kontrsygnatariusza. Z wyciągów wynikało, że pierwszy transfer został zlecony w tym samym dniu, kiedy pobrano gotówką sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Wydawało się rozsądne założyć, że podczas którejś podróży na Bermudy po odbiór gotówki, kontrsygnatariusz skorzystał z okazji i otworzył sobie osobny rachunek.

Byłam pewna, że Bart nic nie wiedział o tych telegraficznych transferach. To by wyjaśniało sprawę niedoszlęgo przekazu na pięćset tysięcy dolarów. Bez wątpienia Bart chciał przelać tę kwotę jako zapłatę raty za apartament dla Torey. Ten, kto wydał wcześniejsze zlecenie wytransferowania pieniędzy z tego rachunku, musiałby wiedzieć, że nie ma na nim wystarczającej ilości pieniędzy. Bart, ze swoim nonszalanckim stosunkiem do różnych dokumentów, wolał polegać na własnej pamięci, niż sprawdzać wyciągi bankowe, i mógłby jej zapewne ufać, gdyby nie to, że ktoś kradł pieniądze z jego konta.

Kiedy znalazłam się w swoim gabinecie, Cheryl przekazała mi wszystkie wiadomości. Poleciłam jej zadzwonić do Hexter Commodities, żeby wiedzieć, czy kogoś tam jeszcze zastanę. Przejrzałam pocztę i przerzuciłam informacje o telefonach. Nie było nic, co by nie mogło poczekać.

Wyciągałam właśnie z szafy płaszcz i torebkę, kiedy weszła Cheryl z informacją, że mogę jechać do Hexter Commodities. Okazało się, że biuro świeci już pustkami. Recepcjonistka czekała na mnie naburmuszona, z płaszczem w ręku.

— Barton junior odbiera żonę i dzieci ze szpitala — rzekła, zamykając szufladę biurka. — Ale postara się przyjechać tu jak najszybciej.

— Czy jest pani Titlebaum? — zapytałam.

— Już poszła — odpowiedziała recepcjonistka.

— A Tim?

— Wyszedł. Będzie mnie pani jeszcze potrzebować? Codziennie wracam tym pociągiem o piątej czterdzieści do Schaumburga...

— Więc nikogo już nie ma? Loretty też?

— Też już wyszła. Ma pani całe biuro do swojej dyspozycji, dopóki nie przyjdzie pan Barton.

Przeszłam przez pusty parkiet do gabinetu Hextera. Przez ostatni tydzień spędziłam sporo czasu na przeglądaniu dokumentów zamordowanego, ale tym razem szukałam czegoś konkretnego — dziewięciocyfrowego kodu, który mógłby otworzyć wszystkie konta na Bermudach.

Siedząc przy biurku Barta, przeglądałam jego notatnik z adresami i inne papiery, spisując te numery, które wydawały mi się obiecujące. Numer jego polisy ubezpieczeniowej, skopiowany z jakichś dokumentów bankowych budził duże nadzieje — dziewięć cyfr. Wypróbuję go w poniedziałek u Martindale'a.

Zakończyłam poszukiwania w gabinecie Hextera i przeniosłam się do królestwa pani Titlebaum. Usiłowałam się nie zniechęcać. Hexter miał fotograficzną pamięć do liczb i prawdopodobnie nigdy nie potrzebował zapisywać tego numeru, ale mógł go podać swojej sekretarce albo osobistemu asystentowi. Badając biurko pani Titlebaum, znalazłam kilka możliwych numerów. Szczególnie dwa, zapisane obok siebie w stojącym na biurku kalendarzu, zwróciły moją uwagę.

Były to prawdopodobnie numery jakiejś loterii, ale je zapisałam.

Przechodząc, znużona już tymi poszukiwaniami, do gabinetu Tima, uświadomiłam sobie, że niezbyt się nadaję do mrówczej pracy śledczego. Poza tym szperanie w cudzych rzeczach sprawiało, że czułam się jak złodziej. Martwiło mnie też, że lista potencjalnych numerów rosła i zastanawiałam się, ile cierpliwości będzie miał Bank of Bermuda, żeby ze mną grać w zgadywanke.

Z westchnieniem siadłam za biurkiem Tima, wśród pamiętek Chicago Cubs. W rogu biurka Tim przykleił taśmą kalendarz wiosennych rozgrywek swojej ulubionej drużyny. Na marginesie dat zaznaczył wyniki tych, które już się odbyły. Otworzyłam środkową górną szufladę biurka. Na moment oniemiałam. Ułożone w równym rzędzie, leżały tam firmowe pudełka zapalek z różnych restauracji na Bermudach.

Przez chwilę siedziałam nieruchomo, myśląc nad tym, jak wielką jestem idiotką. Dzwoniły mi w uszach słowa detektywa Ruskowskiego o tym, że my, prawnicy, wszystko co proste zawsze potrafimy skomplikować. Ależ oczywiście! Mój mózdek nadawał się tylko do tego, żeby go posolić, zagotować, utrzyć i podać z maselkiem. No jasne! To był Tim, ten sługus. To on jeździł na Bermudy. Lojalny bratanek, któremu Hexter na tyle zaufał, że uczynił go współwłaścicielem rachunków w Bank of Bermuda. Uczepiłam się Savage'a, a ileż bardziej oczywista była tu postać Tima. Savage nie mógł sobie pozwolić na częste wyjazdy. Poza tym Tim należał do rodziny, a Hexter wierzył w rodzinną lojalność.

Rodzina. Jakaż byłam głupia. Policja stwierdziła, że tylko członkowie rodziny mogli mieć dostęp do broni Hextera. Elliott i ja zakładaliśmy, że to znaczyło żona i troje dzieci. Ale Tim był jego bratankiem. Pani Titlebaum mówiła mi nawet, że Tim chodził w soboty do domu Hextera, żeby mu zanieść tygodniowe sprawozdanie z przeprowadzonych transakcji. Że też nie potrafiłam skojarzyć tak oczywistych faktów. W zeszłą sobotę Bart z Pamelą udali się na rozgrywki golfowe, ale Tim mógł skorzystać z okazji, pójść do gabinetu Hextera, zabrać z jego teczki dokumenty dotyczące Deodar Commodities i wyjąć z szuflady pistolet.

Moja nowa teoria wyjaśniała tak wiele: zły nastrój Hextera, jego zamiar zmiany testamentu. Prawdopodobnie postanowił wydziedziczyć bratanka po tym, jak, usiłując przetransferować pieniądze na spłatę raty za mieszkanie Torey, dowiedział się, że konto świeci pustkami. Nic dziwnego, że Bart użalał się w piątek, że wszyscy tylko patrzą, jak by mu wbić nóż w plecy.

Usłyszałam, że ktoś przekręca gałkę w drzwiach.

— Barton?! — zawołałam, podekscytowana własnym odkryciem.

— Niestety, nie — powiedział posępnym głosem Tim.

— Pani sekretarka powiedziała mi, że wyjeżdżała pani wczoraj na Bermudy. Udała się pani podróż? — zapytał, zbliżając się do mnie. Usiadł na krawędzi biurka i spojrzał na otwartą szufladę. Jego masywna sylwetka górowała nade mną. W ręce trzymał myśliwski nóż.

Milczałam.

— Mam nadzieję, że dobrze się pani bawiła, ponieważ będzie to zapewne ostatnia podróż w pani życiu, no, może raczej przedostatnia.

— Zadzwońłam na policję. Już tu jadą — skłamałam.

— Nie sądzę — odparł z ironią Tim. — Myślę, że pani blefuje. Kiedy usunę panią z drogi, skończą się moje problemy.

— Myli się pan — powiedziałam, czując rosnącą panikę. — Pozbycie się mnie niczego nie rozwiąże. Ten, kto po mnie przejmie badanie sprawy, wystartuje z miejsca, gdzie ja skończę. To byłby pański ogromny błąd.

— Zanim się zorientują, co się z panią stało, mnie już tu od dawna nie będzie. Na świecie jest wiele pięknych, ciepłych miejsc, gdzie rosną palmy, gdzie człowiek może się ukryć z czterema milionami dolarów. Leżąc na plaży i popijając *piña colada* będę myślał o pani gnijących zwłokach.

— Aż trudno mi uwierzyć, że mogłeś być tak głupi, by okradać Hextera. Sądziłeś, że to ci ujdzie na sucho? — zapytałam, przechodząc do ofensywy. — Już wtedy, kiedy na mnie napadłeś w Mercu, byłeś przegrany. Ciekawe, jak się czułeś z głębą pełną krwi?

— Zamknij mordę — syknął.

— Pojechałeś mordować na swoim rowerku — ciągnęłam dalej, nie spuszczać wzroku z noża. — Mogę sobie wyobrazić, ile uciechy będą z tego miały gazety. Wiesz, że policja znalazła odciski twoich butów w miejscu, gdzie czekałeś na Hextera? To są dowody, których zabicie mnie już nie usunie.

— Zamknij tę cholerną mordę!

— Spartaczysz wszystko, za co się weźmiesz, Tim. Hexter polecił ci rozłożyć transakcje na różne rachunki, ale ty ulokowałeś ich zbyt wiele na rachunku Deodara, przez co ściągnęliście na siebie CFTC. Musiało ci się nieźle dostać od Hextera, kiedy się dowiedział, ile twoje niedbalstwo będzie go kosztowało. Ale to było nic w porównaniu z tym, co się działo, kiedy się dowiedział, że go okradasz. Trzeba było być wyjątkowym tępakiem, żeby zrobić coś takiego.

— Wszystko by się udało! — wrzasnął Tim. — Tylko tej idiotce Torey zachciało się pieprzonego apartamentu. Bart nigdy nie sprawdzał tych świstków, które mu przysyłali z banku. Skąd miałem wiedzieć, że wybierze akurat ten rachunek, z którego nigdy nie korzystał?

— I dlatego go zabiłeś?

— Skurwiel zasłużył sobie na to. Jeszcze przed tym wypadkiem tata błagał go, żeby mu pożyczył pieniędzy. Wierzyście grozili, że mu poprzetrącają rzepki w kolanach. Ale mój pieprzony wuj powiedział, że nigdy by do niczego nie doszedł, gdyby wydawał pieniądze na takich nieudaczników.

— To dlaczego ukradłeś te pieniądze? Żeby wyrównać rachunki?

— Żeby stąd spierdolić — odparł, dysząc ciężko. — Czy myślisz, że zamierzam spędzić resztę życia w ciągłym poniżeniu po to, by jego dzieci stawały się coraz bogatsze? Co?

Czując przyływ adrenaliny, byłam gotowa do działania.

— Myślę, że resztę życia spędzisz w więzieniu. Tak kończą tacy jak ty! — krzyknęłam, zrywając się z krzesła i łapiąc go za nadgarstek. Przez chwilę zmagaliśmy się w ciszy, koncentrując się na nożu i starając się go odsunąć jak najdalej od siebie, nie zauważyłam, że Tim sięgnął po jeden z wyeksponowanych na ścianie kijów baseballowych. Kiedy się zorientowałam, było już za późno.

Odzyskałam świadomość w jakiejś małej zamkniętej przestrzeni, skulona w pozycji embrionalnej. Głowa bolała mnie tak bardzo, iż wydawało mi się, że zaraz zwymiotuję. Po chwili uświadomiłam sobie, że już to zrobiłam. Starając się opanować atak dreszczy, usiłowałam stwierdzić, gdzie jestem. Spróbowałam się podnieść, ale natychmiast uderzyłam o coś głową. W całkowitej ciemności rękami macałam wokół siebie.

Dotykem wyczułam jakiś szorstki materiał przypominający dywan. Słyszałam również jakiś hałas, ciągle dudnienie, ale dopiero po chwili doszłam do wniosku, że to nie w głowie mi huczy, lecz że jest to dźwięk dochodzący z zewnątrz.

Było zbyt mało miejsca, żebym się mogła poruszyć. Spanikowana i zdeorientowana, szamotałam się w swoim ciasnym więzieniu. W końcu zrozumiałam, że znajduję się wewnątrz czegoś i że tym czymś jest bagażnik samochodu. Ponownie zaczęłam dotykem badać wnętrze bagażnika. Wyczułam coś ostrego, metalowego. Palcami sprawdziłam, że są to końcówki jakiegoś kabla elektrycznego. Nadal macając w ciemności, wyczułam znajomą pękatość mojej torebki, jakiś ręcznik, który czuć było benzyną oraz rękaw mojego prochowca, śliski od krwi i wymiocin.

— Tim! — krzyknęłam. — Tim! Słyszysz mnie?

— Czego chcesz, kurwo? — dotarła do mnie jego przytłumiona odpowiedź.

— Dokąd mnie wiesziesz?

— To przecież nie ma dla ciebie żadnego znaczenia. I tak stamtąd nie wrócisz.

— Zamordowanie mnie nie rozwiąże twoich problemów. Wręcz przeciwnie. Policja będzie cię szukać z jeszcze większą determinacją. Czy wierzysz w to, że udało ci się wynieść mnie z budynku giełdy, nie będąc przez nikogo zauważonym? Gliny już pewnie za nami jadą.

— Pomarzyć dobra rzecz. Wsadziłem cię do jednego z tych głębokich wózków na pocztę. Od góry położyłem kilka worków z listami. Nie hudy się, że ktoś cię szuka.

Nagle samochód zwolnił i zmienił kierunek. Skręciliśmy na jakąś drogę

o gorszej nawierzchni. Już wkrótce, pomyślałam, starając się nie tracić zimnej krwi. Wiedziałam, że w pewnym momencie Tim się zatrzyma i nadal będzie miał ten swój nóż.

Tim wyłączył silnik i auto zatrzymało się powoli. Wstrzymałam oddech, czas stanął w miejscu. Usłyszałam, jak otwierają się drzwi samochodu. W tym momencie zapomniałam o paraliżującym strachu, skoncentrowałam się na czymś innym.

Udało mi się tak przekręcić w bagażniku, że leżałam teraz na boku z podciągniętymi pod siebie nogami. Modliłam się, żeby mi nie przeszkodziła burta bagażnika.

Nie pamiętam, co Tim powiedział, kiedy go otworzył. Pamiętam tylko zalew księżycowego światła, które wobec ciemności panujących w bagażniku wydało mi się bardzo jasne, i pociski, które jak na zwolnionym filmie pompowałam w Tima Hextera z mojego niemal przeze mnie zapomnianego automatycznego rewolweru kaliber 38, który udało mi się wydobyć z torebki.

Zamierzałam wpakować w niego wszystkie pociski, ale już po trzecim Tim zatoczył się i upadł na mnie martwy. Czułam ciepło jego ciała i obrzydliwą wilgoć krwi, która na mnie sphywała, lepkiej i gorącej.

Nagle poczułam, że brak mi powietrza, zaczęłam krzyczeć. Skończyła się chwila maksymalnej koncentracji i opanowania, na jaką się zdobyłam i coś się we mnie załamało. Musiałam natychmiast wydostać się z bagażnika, zrzucić z siebie ten potworny ciężar trupa.

Potyając się, odeszłam od samochodu. Nogi miałam ścierpnięte od wielogodzinnego przebywania w bagażniku i tak mi się trzęsły, jakbym się znajdowała na chybotałej łodzi. Zatoczyłam się, ręką trafiłam na coś szorstkiego. Kora drzewa.

Chwyliłam za pień obydwoma rękami i zwymiotowałam.

Rozdział 25

Kiedy powracam myślą do sprawy zabójstwa Barta Hextera, zawsze zaczynam od tamtej niedzieli, gdy mieliśmy się spotkać, a kończę na dniu w którym zastrzeliłam Tima. Nawet w sennych koszmarach też tak ją przeżywam. Ale, oczywiście, to nie był jeszcze koniec.

Minęło trochę czasu, zanim zdołałam się przemóc i wrócić do samochodu. Musiałam. Było ciemno, nie wiedziałam, gdzie jestem. Miałam na sobie krew Tima i pobrudzone wymiocinami buty.

Obeszłam samochód od przodu. W stacyjce nie było kluczyków. Podeszłam do bagażnika, w zamku też ich nie było. Tułów Tima tkwił w bagażniku, ale nogi wystawały groteskowo na zewnątrz. Odwróciłam głowę. Szukałam na klęczkach w trawie w nadziei, że klucze mogły mu wypaść. Bez rezultatu.

Zebrałam się na odwagę i sięgnęłam do kieszeni Tima, w końcu znalazłam kluczyki. Potem, nie zastanawiając się długo, wepchnęłam nogi Tima do bagażnika i zatrasnęłam pokrywę — podobnie jak on to musiał zrobić ze mną.

Wsunęłam się za kierownicę. Jadąc prosto przed siebie, dotarłam do stacji benzynowej. Tam zaś, czując na sobie przerażony wzrok młodocianego pracownika stacji, podeszłam do telefonu i wykręciłam numer 911. Poinformowałam policję, że wiozę w bagażniku trupa.

Nie czułam się dobrze. Kręciło mi się w głowie i było mi zimno. Miałam wrażenie, że w żołądku lata mi tysiąc motyli. W przeciągu kilku minut stacja benzynowa zapełniła się policjantami — przybyli ludzie z Biura Szeryfa, policja drogowa, wozy patrolowe i służba sanitarna. Wszyscy wydawali się bardzo podekscytowani.

Zabrano mnie do Biura Szeryfa, skąd pozwolono mi zadzwonić do Stephena Azzoriniego. Może nie w pełni potrafiłam zrozumieć swoje uczucia do Stephena, wiedziałam jednak, że kiedy Russel leżał umierający w szpitalu, to w tych najcięższych chwilach tylko wsparcie Stephena pomogło mi przetrwać. Byłam

pewna, że zawsze, kiedy będę potrzebować pomocnej dłoni, mogę na niego liczyć.

Resztę wieczoru przypominam sobie tylko we fragmentach. Rozmawiali ze mną jacyś detektywi, lekarze i prokuratorzy. Początkowo nie mogli się zdecydować, czy jestem oszalałą zbrodniarką, czy dzielną ofiarą, która wywinęła się swemu oprawcy, więc traktowali mnie na zmianę raz tak, raz tak. Kiedy już wszystkim wszystko wielokrotnie poopowiadałam, pod koniec niemal histerycznie krzyżąc, pojawił się Ruskowski i musiałam wszystko wyjaśniać od początku.

Była gdzieś czwarta nad ranem, kiedy mnie w końcu wypuścili. Stephen czekał na mnie, siedząc samotnie na składanym krześle w holu. Tak bardzo się ucieszyłam na jego widok, że aż nogi się pode mną ugięły ze wzruszenia.

— Mówili, że trzeba cię będzie podwieźć do domu — powiedział nieśmiało. — A może chcesz porozmawiać?

Spojrzałam na jego przystojną twarz i nagle poczułam, jak bardzo jestem zmęczona. Wiedziałam, że rano, jak tylko się zbudzę, zadzwonię do Elliotta, żeby mu wszystko opowiedzieć. Teraz jednak nie miałam siły, żeby całą historię wyjaśniać od nowa.

— Nie — odparłam z wdzięcznością. — Nie teraz.